

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/78

1954



• «La Culture» • Revue mensuelle •

JÓZEF WITTLIN : ODYSSEJA

PAWEŁ HOSTOWIEC :

PAMIĘTNIK
NIEŚPIESZNEGO PRZECHODNIA

JULIUSZ MIEROSZEWSKI : NIEMCY...

SPIS RZECZY :

Juliusz Mieroszewski :	<i>Niemcy</i>	3
Georges Bernanos :	<i>Brat Marcin</i>	14
Paweł Hostowiec :	<i>Notatnik nieśpiesznego prze- chodnia</i>	23



Józef Wittlin :	<i>Pro domo mea</i>	37
	<i>Odysei pieśń pierwsza</i>	53
	<i>Odysei pieśń piąta</i>	63



Jan Ulatowski :	<i>Jeden samotny człowiek</i>	76
Karol Zbyszewski :	<i>Polscy pisarze są bez szans</i> ..	82

ARCHIWUM POLITYCZNE

Łukasz Winiarski :	<i>List z Jugosławii (dokończenie)</i>	88
Londyńczyk :	<i>Federacja Ośmiu</i>	98
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	101

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Stanisław Zarzewski :	<i>Czy Stanom grozi kryzys?</i> ..	105
W. Zal. :	<i>Próby oceny polskiej gospo- darki</i>	116

KSIĄŻKI

Czesław Miłosz :	<i>Dwight Macdonald</i>	122
Janusz Jasieńczyk :	<i>Krok w tył</i>	129
(tor.) :	<i>Polskie wydawnictwa artys- tyczne</i>	137
Michał K. Pawlikowski :	<i>Duchy na strychu</i>	140
(j) :	<i>Notatki wydawnicze</i>	144
(j) :	<i>Przegląd miesięczników</i>	147
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	150



M. Sokolnicki, Arcybp. J. Gawlina, M. Kukiel, W.M. Drzewieniecki, S.W. Szab- łowski, M. Sambor, J.B. Rudnyćkyj, S. Zochowski :	<i>Listy do Redakcji</i>	152
--	--------------------------------	-----



—	<i>Résumé en langue française</i> ..	159
---	--------------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1954

INSTITUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Eukasz Roman WINIARSKI, ur. 2. 8. 1909 w Warszawie. Studia filozoficzne w Warszawie i Paryżu. Od roku 1935 członek redakcji „Kuriera Polskiego” w Warszawie. Od listopada 1939 pracuje w prasie konspiracyjnej we Lwowie i w Warszawie. Aresztowany przez Gestapo w sierpniu 1942 — Pawiak, Oświęcim, Gross Rosen, Sachsenhausen. Po zakończeniu wojny — w Szwecji, gdzie pracuje jako dziennikarz specjalizując się w sprawach krajowych. Opublikował tom przekładów liryki szwedzkiej (1952), wykańcza większą pracę krytyczną pt. *Dogmatyka sowiecka w świetle nauki*, publikowaną częściowo w czasopismach. Od roku 1946 redaktor „Wiadomości Polskich” w Sztokholmie.

Praca Amb. Michała Sokolnickiego pt. NIEMCY PO WIELKIEJ PRZEGRANEJ drukowana w nr 11/73, 12/74 i 3/77 „Kultury” ukazała się w wydaniu książkowym.

Cena egzemplarza 250 frs (lub równowartość).

Do nabycia w Redakcji „Kultury” i w przedstawicielstwach.



P. 9486 Chr. Arch.

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, PARIS (XVIII*)

Niemcy...

Pamięci Paula Richtera

Pragnę zacząć ten szkic od osobistych i odległych wspomnień. Jeżeli jednak ośmielam się pisać w pierwszej osobie i zaprzątać uwagę Czytelnika fragmentem autobiograficznym — czynię to w przekonaniu, że moje doświadczenia stanowią dobrą ilustrację złożonego i emocjonalnego zjawiska, które określamy generalizującym mianem stosunków polsko-niemieckich.

Mój ojciec był wojskowym lekarzem armii austriackiej i wychował się i wyrósł w kręgu kultury niemieckiej. Był dobrym Polakiem ale odróżniał politykę niemiecką od kultury niemieckiej. W naszej bibliotece większość stanowiły książki w języku niemieckim. Ojciec z zamiłowań był lingwistą i wolny czas poświęcał studiom filologicznym. Prenumerował szereg niemieckich naukowych czasopism i uważał (wydaje się nie bez racji) że filologia klasyczna, której był zamilowanym wielbicielem, najwyżej stała w Niemczech.

Moja matka umarła gdy byłem kilkuletnim dzieckiem. Wówczas ojciec, który w związku ze swoją służbą dużo przebywał poza domem — nasze wychowanie powierzył młodej nauczycielce niemieckiej rodem z Wrocławia. Fräulein Fuchs była u nas w domu przez lat 12. Ja i mój brat kochaliśmy ją niemal jak matkę. Była idealnie dobra, mądra i o wprost anielskiej wyrozumiałości i cierpliwości. Bardzo szybko staliśmy się dziećmi dwujęzycznymi. Przez wiele lat mówiłem równie płynnie po niemiecku jak po polsku. Czytać i pisać nauczyłem się najpierw po niemiecku a później po polsku. Po niemiecku pisałem błędnie natomiast z polską ortografią „wojowałem” przez całe gimnazjum.

Od dziecka byłem pod wielkim urokiem literatury niemieckiej. Jako dziecko i jako chłopiec przeczytałem niepomniernie więcej książek niemieckich niż polskich.

A jakież były polityczne owoce tej kulturalnej ekspansji? Wychowany przez Niemkę w kulcie dla wszystkiego co niemieckie, moją znajomość niemieczyny zużytkowałem do walki przeciwko Niemcom. Do wybuchu wojny byłem referentem prasy nie-

mieckiej w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym” w Krakowie. Dziennik ten nazywał „Völkischer Beobachter” (nie bez racji) najbardziej anty-niemieckim pismem Europy. W czasie wojny, służąc w wojsku, w miarę moich możliwości słowem drukowanym i mówionym przez radio kontynuowałem tę walkę. Tak oto w praktyce wygląda niemiecki imperializm!

Nic nie wydaje mi się równie śmieszne jak posądzanie Niemców o imperializm. Gdyby mój ojciec był oficerem armii brytyjskiej, gdyby zamiast Fräulein Fuchs z Wrocławia wychowała mnie Miss Green z Clapham Common byłbym dziś zapewne obywatelem brytyjskim. Pisałbym po angielsku i na sprawy tego świata patrzyłbym z perspektywy brytyjskiej.

Niemcy nie są imperialistami. Politycy niemieccy obracają w niwecz pracę i trud tysięcy niemieckich nauczycielek, tysięcy niemieckich profesorów oraz paraliżują wpływ wielkiej literatury i kultury niemieckiej. W ten sposób ekspansja kultury niemieckiej obraca się przeciwko Niemcom gdyż zamiast jednak przyjaćciół uzbraja ekspertów do walki przeciwko Niemcom.

Niemcy nie są imperialistami — są tylko zdobywcami. Imperializm bowiem obliczony na daleką metę pokoleń polega na zjednywaniu sobie przyjaciół i na umacnianiu wpływów kultury mądrą polityką.

Nie imperializm lecz zdobywcze nastawienie Niemców jest niewysychającym źródłem europejskich nacjonalizmów. Wszystkie europejskie nacjonalizmy, łącznie z polskim, są w pewnej mierze niemieckiego pochodzenia. Najbardziej wysoko-procentowy polski nacjonalizm wywodzi się z Poznańskiego tj. z byłego zaboru pruskiego. Niemcom zawdzięczamy „Rotę” M. Kopnickiej, która jest naszym drugim hymnem narodowym o potężnym naboju nacjonalistycznym.

Cała polityka francuska na terenie Europy obraca się wokół zagadnienia niemieckiego. Choć po zwycięstwie w pierwszej wojnie światowej Francuzi nie zdołali się już podnieść i w czasie drugiej wojny częściowo skapitulowali, to niemniej jestem pewien, że do dziś Niemcy są owym jedynym narodem na kontynencie przeciwko któremu Francuzi w razie konieczności chwyciliby jeszcze za broń. Byłoby zadaniem znacznie łatwiejszym zmobilizować nacjonalizm francuski przeciwko Niemcom niż przeciwko Rosjanom.

Gdyby Niemcy przestali być nacjonalistami i potencjalnymi zaborcami — gdyby „zbrytanizowali” swą mentalność polityczną sytuacja w Europie na przestrzeni jednego pokolenia uległaby całkowitej metamorfozie. Nastąpiłby generalny odpyw nacjonalizmu, którego główną i zasadniczą pożywką jest częściowo realne, częściowo urojone a częściowo już legendarne „zagrożenie niemieckie”. Polacy przestaliby śpiewać: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz” — gdyż słowa tego hymnu wydałyby się nagłe komiczne. Europejscy mężowie stanu utraciliby jeden z głównych tematów konferencyjnych a mianowicie co należy zrobić by nie dopuścić do odrodzenia militarizmu niemieckiego.

Naczelnym celem nowoczesnej polityki niemieckiej winno być dążenie do odnacionalizowania Europy. Albowiem nacjonalistyczna Europa to jest potencjalna koalicja anty-niemiecka. Historia ostatnich lat trzydziestu wykazuje jasno, że narody europejskie (łącznie z Anglią) nie umiały zdobyć się na solidarność w żadnej dziedzinie z wyjątkiem — w sprawie Niemiec. W dziedzinie budowy sojuszu anty-niemieckiego osiągnęto jedność niepomierzenie doskonalszą niż ta, która cementuje sojusz atlantycki.

W nacjonalistycznej Europie żaden z problemów niemieckich nie może być rozwiązany, gdyż nacjonalistyczna Europa składa się z samych „spornych kwestii”, zatargów, pretensji, rewizjonizmów i... mniejszości narodowych. W takiej atmosferze politycznej bezsensowny problem autostrady eksterytorialnej urasta do *casus belli* a zatarg o współużywalność jednego portu o pięknej architekturze i staroświeckich urządzeniach grozi wybuchem światowej katastrofy.

Osobiście nie wierzę w powodzenie jakiegokolwiek wielkiej inicjatywy europejskiej bez udziału Niemiec. Przebudować można Europę tylko poprzez Niemcy i jestem przekonany, że w federacyjnej przebudowie Europy kryje się wielka szansa przyszłych Niemiec. Jeżeli jej nie dostrzegą będą nadal tylko tym czym byli dotąd — to jest wielkim „małym państwem”, które wygrywa wszystkie europejskie kampanie i przegrywa wszystkie wojny światowe.



Jest coś fascynującego w kwestii niemieckiej. Niemcy przegrali drugą wojnę światową ale utajone źródła ich narodowego dynamizmu i wprost niespożytej energii pozostały nietknięte.

Przemysłowa odbudowa Niemiec zachodnich budzi podziw świata. Na przestrzeni ostatnich trzech lat eksport niemiecki wzrósł siedmiokrotnie i Niemcy wykazują dziś najkorzystniejszy bilans płatniczy z wszystkich krajów europejskich. Jeżeli weźmiemy za podstawę produkcję przemysłową z roku 1948 i określimy ją cyfrą 100 to wzrost wytwórczości w r. 1951 wyrazi się dla Niemiec indeksem 214, dla Wielkiej Brytanii 117 a dla Francji tylko 125. W pewnych dziedzinach rozbudowy postęp jest wprost niewiarygodny. Niemcy, które niemal do wczoraj obłożone były zakazami produkcyjnymi dziś w budownictwie okrętowym zajmują drugie miejsce bezpośrednio po Wielkiej Brytanii.

Niemcy się nie zmienili. Są pracowici, oszczędni, energiczni. Jak trzeba chętnie pracują w soboty i w niedziele i konkurencja z nimi staje się z każdym miesiącem trudniejsza.

Lecz owe imponujące cyfry kryją w sobie pewien fatalizm. Prasa angielska, francuska a nawet amerykańska pełna jest niepokoju a obserwatorzy i korespondenci zadają sobie pytanie czy fakt, iż Niemcy się nie zmienili oznacza, że w ogóle się nie zmienili? Czy oznacza to, że w chwili gdy odzyskują statut mocarstwowy podejmą bezwzględna politykę rewizjonizmów i rewindykacji?

Studiując prasę niemiecką odnosi się wrażenie, że społeczeństwo niemieckie nie zdaje sobie sprawy z wymiarów owej nieufności. Owa nieufność jest potężnym czynnikiem politycznym tym bardziej, że jest ustawicznie podsycana przez nieprzejeżdżanych wrogów Niemiec (każdyh Niemiec), których nie brak ani na kontynencie ani w Anglii ani w Ameryce. Typowy Niemiec reaguje na tego rodzaju nastroje klasyczną uwagą: „Nienawidzą nas bo się nas boją!” Dziesiątki razy słyszałem to zdanie. Słyszałem je nawet z ust moich niemieckich przyjaciół — ludzi o wybitnej inteligencji i dalekich od wszelkiego szowinizmu. W tym słowie „boją się nas” brzmi zawsze podźwięk naiwnej buty.

Przeciętny Niemiec może sobie dziś powiedzieć, że rozbrojone Niemcy bez pancernych dywizji i bez sztabu generalnego budzą nadal lęk w świecie i ów lęk odgrywa niepoślednią rolę w polityce wielkich mocarstw z Rosją włącznie. Lecz jakkolwiek świadomość, że rozbrojone Niemcy budzą lęk może łagodzić kompleks klęski i przegranej to jednak ów lęk, w bilansie politycznym współczesnych Niemiec, nie figuruje po stronie aktywów. Lęk jest potencjonalną nienawiścią. Ci, którzy dziś Niemców się boją będą gotowi jutro aktywnie ich nienawidzić. Polityka niemiecka powinna uparcie i celowo dążyć do rozkładowania tego olbrzymiego potencjału nieufności gdyż inaczej Niemcy nie odegrają tej roli w przyszłym układzie europejskim do jakiej są powołani na skutek swej liczebności, położenia geograficznego i potęgi przemysłowej. W gruncie rzeczy Niemcy, jak żaden inny naród po tej stronie „żelaznej kurtyny”, potrzebują przyjaciół. Albowiem wielkiej polityki nie robi się rękami podbitych satelitów tylko rękami sojuszników.

Niestety odnoszę wrażenie, iż Niemcy nie porzucili jeszcze swej tradycyjnej a dziś anachronistycznej wiary, że kardynalnym elementem potęgi politycznej jest przestrzeń. Tak nie jest. Kardynalnym elementem potęgi politycznej jest nie przestrzeń lecz lojalna współpraca narodów ową przestrzeń zamieszkujących. Był okres kiedy Trzecia Rzesza dławila się nadmiarem przestrzeni. Ale pod koniec ta przestrzeń skurczyła się do powierzchni kilku metrów kwadratowych berlińskiego schronu Hitlera, w którym on i Goebbels zeszli z tego świata. Brytyjski Commonwealth, który obejmuje jedną czwartą część globu trwa jednak do dziś.

Osobiście nie mogę oprzeć się uczuciu zdumienia i pesymizmu gdy w prasie niemieckiej na jednej stronie czytam cyfry świadczące o tym, że Niemcy już dziś są światową potęgą przemysłową a na drugiej stronie tego samego pisma czytam olbrzymi artykuł z którego wynika, że w polityce niemieckiej — jeżeli chodzi o wschód Europy — istnieje tylko jedno zagadnienie a mianowicie granica na Odrze i Nisie. Ewentualna federacja środkowo-wschodnio-europejska, stosunek tej nowej jednostki politycznej do Niemiec, wykorzystanie polityczne antyrosyjskiej postawy Czechów, Słowaków, Polaków, Węgrów, Rumunów — to wszystko są zagadnienia nie ważne. Ważne są znów tylko granice, które dzielić mają dwa wrogie sobie narody i kon-

tynuować w ten sposób tradycję niepokoju i napięcia w Europie środkowo-wschodniej. Czy współcześni Niemcy myślą tak jak ich ojcowie kategoriami „niemieckiej ziemi” z powoływaniem się na dzieła „Ritterorden” dokonane w XIII stuleciu?

Prowadzenie sporów na temat, kto ma „rację” w sprawie granicy na Odrze i Nisie nie prowadzi do niczego. Zawsze się znajdzie 10 czy 15 profesorów i specjalistów niemieckich, którzy udowodnią, że Niemcy mają rację i zawsze znajdzie się 10 czy 15 profesorów i specjalistów polskich, którzy udowodnią, że Polacy mają rację.

W moim zrozumieniu istotne punkty tego problemu są następujące:

Przede wszystkim chciałbym zaznaczyć, że w rozważaniu tej sprawy odrzucam argumentację szeroko stosowaną przez polskich publicystów, w myśl której ziemie nad Odrą i Nisą winny pozostać przy Polsce bo zwrócone Niemcom stałyby się dla nich bazą żywnościową i źródłem taniej siły roboczej. W konsekwencji supremacja przemysłu niemieckiego nad innymi przemysłami europejskimi stałaby się nieunikniona. Odrzucam wszelkie argumenty, których celem jest wykazać, iż leży nie tylko w interesie Polski ale całej Europy by Niemcy były możliwie najsłabsze.

Po pierwsze wydaje mi się rzeczą naiwną w stosunku do 80-milionowego narodu planować na lata politykę „odchudzającą” a powtórę jest rzeczą oczywistą, że dla tego typu polityki nigdy nie zjedna się ani jednego Niemca. Tego typu argumenty nie zmierzają rzecz prosta do przekonania Niemców lecz są adresowane do nieistniejącego na razie trybunału czy konferencji międzynarodowej, która miałaby w sprawie granicy polsko-niemieckiej powziąć finalną decyzję. Moim zadaniem w niniejszym szkicu nie jest apelowanie do arbitrów lecz bezpośrednio do Niemców — bo niezależnie kto i kiedy będzie nasz spór rozstrzygał jeżeli pragniemy się porozumieć musimy porozumieć się sami. Przyszłość stosunków polsko-niemieckich zależy od porozumienia a nie od wyroku takiej czy innej międzynarodowej konferencji.

Polska prasa komunistyczna prowadzi celową kampanię anty-niemiecką i wychowuje nowe pokolenie Polaków w nienawiści do Niemiec. Jest rzeczą charakterystyczną, że prasa krajowa poświęca niezmiernie mało miejsca „przyjaźni” dla wschodnich „ludowych” Niemiec, natomiast całe kolumny wypełnione są napaściami na Niemcy zachodnie. To uparte identyfikowanie rządu Niemiec zachodnich z hitleryzmem ma na celu aktywizowanie nienawiści Polaków drogą stawiania znaku równania pomiędzy hitleryzmem a niemieczyzną. Kluczową rolę w tej propagandzie nienawiści odgrywają ziemie nad Odrą i Nisą. Dzień po dniu wytwarza się w psychice narodu polskiego poczucie śmiertelnego zagrożenia ze strony odwiecznego wroga, który przygotowuje się do odwetu i zaboru.

W krajach komunistycznych wszystko dzieje się na rozkaz z góry. Nie ulega wątpliwości, że kampania nienawiści do Niemiec dyktowana jest z Moskwy. Nie ulega również najmniejszej

wątpliwości, że nieoczekiwane posunięcie Stalina, który jedną ręką zagarnął nasze ziemie wschodnie a drugą ręką przesunął nasze zachodnie granice nad Odrę i Nisę — zmierzało do podwójnego celu. Chodziło mu o osłabienie Niemiec i o wykopanie wieczystej przepaści między Polakami a Niemcami.

Trzeba jednak powiedzieć z całą szczerością i otwartością, że choć ziemie nad Odrą i Nisą dostaliśmy z rąk Stalina i mimo, że zarówno Stalin jak i Sowiety są przez Polaków znienawidzone — dziś ziemie te przez 99'9 % Polaków uważane są za integralną część Polski. Każdej Polski — obecnie okupowanej a w przyszłości uwolnionej i niepodległej. I to jest fakt z którym każdy polityk czy to polski czy niemiecki musi się liczyć. Politycznie jest rzeczą bez jakiegokolwiek znaczenia jeżeli polski intelektualista czy literat wyrazi pogląd, że ziemie nad Odrą i Nisą są niemieckimi prowincjami i powinny być Niemcom zwrócone. W ocenie tego problemu poglądy indywidualne pisarzy czy publicystów nie odgrywają żadnej roli. Istotne jest natomiast, że w oparciu o bardzo dokładne i pewne dane musimy przyjąć za pewnik, że znakomita większość Polaków w Kraju i znakomita większość Polaków na emigracji uważa ziemie nad Odrą i Nisą za część składową obszaru Polski. Nie opinie takich czy innych autorów lecz przekonanie i wola większości narodu tworzą rzeczywistość polityczną na której musimy się opierać jeżeli pragniemy by rozwiązania nasze miały związek z realną sytuacją.

W powyższym świetle problem tych ziem rozpatrywany z punktu widzenia realistycznej polityki niemieckiej sprowadza się do następującej alternatywy : albo Niemcy swą przyszłą politykę w stosunku do Europy środkowo-wschodniej pragną oprzeć na współpracy polsko-niemieckiej — albo oceniają, że odzyskanie prowincji nad Odrą i Nisą jest dla interesów Niemiec tak ważne, iż dla propagandy tego programu warto przekreślić wszelkie możliwości współpracy między Polską a Niemcami.

Ponieważ obojście bardzo bym pragnął, by stosunki polsko-niemieckie ułożyły się jak najlepiej uważam za swój obowiązek przedstawić niesfalszowany i nieocukrzony obraz sytuacji. Nie przysłużyłbym się idei współpracy polsko-niemieckiej gdybym zaczął zapewniać Niemców, że Polacy uważają ziemie nad Odrą i Nisą za podarek sowiecki, który dziś jest a jutro go nie będzie. Twierdzenie p. Józefa Mackiewicza, że nie można mówić o „ziemiach odzyskanych” gdy się straciło całe państwo z punktu widzenia formalnej logiki jest słuszne. Ale Polacy w Kraju nie rozpatrują sytuacji formalno-logicznie i nie uważają, że stracili państwo. Państwo polskie jest okupowane ale niemniej istnieje i pod tym względem nie można porównywać obecnej okupacji sowieckiej z sytuacją zaborcą sprzed 1918 roku. Wówczas istniał tylko naród polski, który żył pod trzema zaborami — natomiast państwo polskie nie istniało ani *de facto* ani *de jure*.

Polityka nie jest matematyką i w polityce niemal zawsze istnieją dwie „racje”. Sytuacje w których role są kontrastowo rozpisane — biali Niemcy przeciw czarnym Polakom (lub na

odwrot) są w gruncie rzeczy niezmiernie rzadkie. Najtrudniejsze bywają konflikty, które określić można jako : słuszność przeciwko słuszności.

Jeżeli chodzi o ziemie nad Odrą i Nisą tak Niemcy jak i Polacy dysponują bardzo silnymi i przekonującymi argumentami. Możliwe jest więc tylko takie rozwiązanie, które nie oznaczałoby klęski ani dla jednej strony ani dla drugiej.

Oceniając realnie całość zagadnienia Niemcy powinni zdać sobie sprawę, że Polacy górują nad nimi w jednym niezmiernie ważnym szczególe a mianowicie są w faktycznym posiadaniu tych ziem. Konferencja berlińska wykazała jeszcze raz, że Sowiety wycofają się z Europy tylko na skutek nacisku a nie w następstwie negocjacji. Na ów „nacisk” możemy czekać 15 a może 20 lat. Emigranci i wysiedleńcy mają zrozumiałą skłonność do mierzenia perspektyw historycznych miarą lat własnego życia. Innymi słowy pragnęliby dożyć zmian, które zapewniłyby im powrót. Te tendencje jak każde *wishful-thinking* w znacznym stopniu utrudniają obiektywną ocenę. Jest wysoce prawdopodobne, że ani do „nacisku” ani do ultimatum, ani do wojny nie dojdzie na przestrzeni najbliższych 10 czy 15 lat a tym samym przez ten okres czasu statut obecny ziem nad Odrą i Nisą nie ulegnie zmianie. Jest rzeczą oczywistą, że czas w tym wypadku nie pracuje na korzyść Niemiec. Za lat 15 na ziemiach nad Odrą i Nisą wejdzie w życie nowe pokolenie urodzone na tych ziemiach już za „polskich czasów” — zaś w Niemczech zachodnich procent tych, którzy pragnęliby wrócić w swe rodzinne strony za Odrę stopniowo bardzo wydatnie. Już w perspektywie dziesięciu lat sprawa traci na ostrości i dynamice. Ci, którzy dziś potępiają (i słusznie) masowe przymusowe przesiedlenia ludności nie będą mogli proponować odpolszczenia ziem nad Odrą i Nisą drogą wysiedleń i będą musieli pogodzić się z faktem, że ludność osiadła na tych ziemiach w 99 % jest rdzennie polska.

Z punktu widzenia niemieckiego ów problem przedstawiałby się niepomniernie korzystniej gdyby mógł być dyskutowany w dwa czy w trzy lata po zakończeniu wojny. To samo zagadnienie zmieni swą treść w 15 czy w 20 lat po układzie w Jalcie.

Politycy niemieccy i publicyści winni w moim przekonaniu problem ziem nad Odrą i Nisą rozpatrywać nie w perspektywie miesięcy lecz w perspektywie lat a wówczas zagadnienie to dojrza w bardziej realnym świetle.

Dziś jest niezmiernie trudno wypracować formułę kompromisową ponieważ formuła ta zależy funkcjonalnie od daty kiedy będzie mogła być wprowadzona w życie. Gdyby obecny stan przetrwał pół wieku — problem w ogóle przestanie być problemem. W moim rozumieniu rozpatrując przyszły statut tych ziem trzeba mieć na uwadze dwa czynniki. Ilu w danym momencie będzie Niemców uprawnionych do powrotu — oraz jaki procent z tej liczby zechce ze swych uprawnień skorzystać i powrócić. Dziś byłyby to jeszcze poważne cyfry ale za 10 czy 15 lat gotowych powrócić będzie znikomy odsetek.

Wydać się, że polityczni pisarze niemieccy jeszcze nie w pełni zdają sobie sprawę z konsekwencji polityki ludnościowej państw komunistycznych. I dawniej stosowano nacisk kulturalny, administracyjny i polityczny ale nie wysiedlano setek tysięcy ludzi, nie przesuwano całych grup narodowościowych z jednego obszaru na drugi. Rządy pruskie nie głaśniały Polaków ale przecież nigdy ich wagonami nie wywożono i dzięki temu w 1918 r. Polacy byli, żyli i na ogół dobrze im się powodziło zarówno w Poznańskim jak i w samym Poznaniu. W tej epoce można było mówić o samostanowieniu, o prawie do ojczystej ziemi, można było organizować plebiscyty itp. Lecz dziś wszystko to wygląda inaczej.

Ostatni raz byłem we Lwowie we wrześniu 1939 roku. Nie wydaje mi się by mogło istnieć miasto bardziej polskie jak ów Lwów z tragicznych dni wrześniowych. Lecz dziś Lwów jest jeszcze mniej polski niż Wrocław jest niemiecki. Polaków wywieziono. Wywieziono również w znacznym procencie miejscowych Ukraińców. Rządy zabórce pruski czy austriacki z sielanckiej epoki sprzed pierwszej wojny światowej nie odpolszczyłyby Lwowa przez 300 lat tak dokładnie jak zrobiły to Sowiety w ciągu trzech miesięcy. I jak przy takich metodach polityki ludnościowej można się powoływać i opierać na samostanowieniu, prawie do ojczystej ziemi, plebiscytach i innych instytucjach europejskiego prawa narodów? Polaków we Lwowie nie ma i żaden plebiscyt czy referendum faktu tego nie zmieni. Jeżeli obecny stan rzeczy przetrwa 30 lat — jeżeli całkowicie wymrą polscy Lwowianie — nasze prawa do Lwowa staną się czysto historyczne. Będziemy mogli sobie wówczas powiedzieć, że Lwów był kiedyś polskim miastem w którym żyli Polacy ale to było tak dawno, że nikt z żyjących tego nie pamięta. W ciągu owych trzydziestu lat wyrosło nowe pokolenie dla którego nie polski Lwów będzie ojczystym miastem. Czy za 30 czy 50 lat gdyby powstała taka możliwość należałoby ludzi tam urodzonych i osiadłych wysiedlić a na ich miejsce osadzić Polaków z których żaden Lwowa nie widział na oczy?

To są straszliwe zagadnienia. Wydać mi się, że prawa do ziemi nie traci się nigdy jeżeli na tej ziemi się trwa, jeżeli na tej ziemi można żyć i być obecnym choćby w wozie Drzymały. Ale jeżeli dana ziemia przestaje być *de facto* polska, jeżeli uprawiają ją, budują na niej — rodzą się i umierają nie Polacy — tytuł do tej ziemi wiotczeje z każdym dziesięcioleciem.

W moim przekonaniu nie istnieje racja stanu, która by usprawiedliwiała wysiedlanie setek tysięcy ludzi. I dlatego musimy sobie trzeźwo zdać sprawę z faktu, że przy metodach jakie stosują reżimy komunistyczne — jeżeli obecny stan potrwa długo — powrót w dawne granice byłby tylko możliwy drogą masowych wysiedleń i niekończących się wędrówek ludów. Tak Niemcy jak i Polacy muszą liczyć się z tym, że nie powrócimy do *status quo* ani w sensie terytorialnym ani w jakimkolwiek innym.

Osobiście — jeżeli chodzi o polskie ziemie wschodnie zabra-

ne przez Sowiety — jestem pesymistą. Czas pracuje tam przeciw nam. Nawet jeżeli się przyjmie, że wyzwolenie krajów Europy wschodniej nastąpi na skutek zwycięskiej wojny — zainteresowane narody będą broniły nie *status quo* z 1939 roku lecz sytuacji terytorialnej jaka wytworzyła się po roku 1945. Polacy będą bronili ziem nad Odrą i Nisą — Ukraińcy będą bronili wschodnich ziem odłączonych od Polski przez Sowietów.

Zdaję sobie sprawę, że hurra-patrioci wykrzykną w tym miejscu zgodnym chórem, że rzekam się Lwowa i polskich ziem wschodnich. Niczego się nie rzekam — przewiduję jednak, że re-polonizacja tych obszarów, które zawsze posiadały znaczny odsetek ludności nie-polskiej — w 20 czy w 30 lat po r. 1945 — może się okazać po prostu niemożliwa.

Nie chciałbym wywołać wrażeń, że istnieje jakiś związek przyczynowy pomiędzy utratą naszych ziem wschodnich na rzecz Sowietów a utratą przez Niemcy ziem nad Odrą i Nisą na rzecz Polski. Między tymi dwoma faktami nie ma żadnego związku przyczynowego, istnieją natomiast pewne analogie. Wbrew emigracyjnej wierze sądzę, że obecny układ w Europie środkowo-wschodniej będzie trwał jeszcze lata. Jeżeli kiedyś dojdzie do generalnego uporządkowania tych spraw przypuszczam, że reprezentanci wielkich mocarstw oprą się raczej na stanie faktycznym a nie na legalizmie terytorialnym sprzed ...czwierć wieku. Albowiem ów legalizm stać będzie w całkowitej sprzeczności z etnograficznym obrazem odnośnych ziem, z orientacją ekonomiczną, z interesem miejscowej ludności. Za 10 lat od dziś tj. w r. 1964 nowe pokolenie urodzone na tych ziemiach będzie liczyło 20 lat. Przeciwno tym ludziom trudno będzie wysunąć zarzut, że są ludnością kolonizatorską, napływową czy narzuconą. Ludzie ci będą tworzyli nową autentyczną warstwę autochtonów i prawa ich do tych ziem będą niezaprzeczalne.

Zasada legalizmu terytorialnego opierać się będzie wówczas wyłącznie na tytule historycznym. Nie może być żadnego porównania między sytuacją jaka wytworzyła się w tym rejonie Europy po pierwszej wojnie światowej a sytuacją jaką zastaniemy tam po ewentualnym wycofaniu się Rosji. Obecna Polska, której granice obejmują ziemie nad Odrą i Nisą jest dziś krajem niemal bez mniejszości narodowych. Jeżeli za lat 10 czy 15 mielibyśmy przeprowadzić rewizję granic w oparciu o jak najbardziej obiektywną analizę etnograficzną — okaże się, że obecne granice nie wymagają żadnej korektury.

Rozpatrując ten cykl zagadnień musimy mieć ustawicznie w pamięci, że państwo totalne dysponujące przestrzenią 1/6 powierzchni globu jest w możności przeprowadzać zmiany terytorialne i etnograficzne o charakterze nieodwracalnym. Rosja jest autorką wielu nieodwracalnych zmian.

Z punktu widzenia niemieckiego istnieje zawsze jeszcze jedna możliwość załatwienia problemu Odry i Nisy a mianowicie drogą bezpośredniego przetargu z Rosją. Obserwując jednak politykę Sowietów w stosunku do Niemiec należałoby wnioskować,

że minimalną ceną za podjęcie tego tematu musiałoby być ustanowienie ogólnoniemieckiego rządu... *friendly to the Soviet Union*. Innymi słowy mogłoby to być rozważane jako ewentualna premia dla zjednoczonych Niemiec satelickich. Ci, którzy jeszcze ciągle uważają, iż istnieje możliwość choćby potencjalna porozumienia sowiecko-niemieckiego na zasadach normalnego sojuszu — nie rozumują realnie. Rosja nie ma nic do zaoferowania Niemcom ani w Europie ani gdziekolwiek indziej. Rosja wybiera zawsze politykę najmniejszego ryzyka. Z wszystkich możliwych kombinacji najmniej ryzykowną drogą wiodącą do opanowania kontynentu — jest niedopuszczenie do zjednoczenia Niemiec i odtworzenia niemieckiej potęgi wojennej. Jak długo Niemcy są podzielone i rozbrojone — europejska równowaga sił może być utrzymana tylko sztucznie dywizjami amerykańskimi, których linie zaopatrzenia sięgają poza Atlantyk. Taki stan rzeczy uniemożliwia jakąkolwiek stabilizację w Europie i stwarza niewyczerpane możliwości „kuszenia” Francji (np. „odwrócenie sojuszu”) gdyż wydaje się rzeczą prawdopodobną, iż przy takim układzie w razie wybuchu konfliktu — Europa kontynentalna w pierwszej fazie działań dostałaby się pod okupację sowiecką. Innymi słowy obecna sytuacja umożliwia Rosji paraliżowanie Niemiec i częściowo Francji a więc dwóch kluczowych państw na kontynencie. Należy uznać za pewne, że żadna inna „kombinacja” nie zapewniłaby Sowietom bez jakiegokolwiek ryzyka takich olbrzymich korzyści strategicznych i politycznych.

Na emigracji pisze się wiele na tematy federacyjne. Jak dotąd to jest wszystko papierowa architektura. Osobiście interesuję się tą sprawą od kilku lat i skłaniam się do poglądu, iż jakikolwiek środkowo-wschodnio-europejski związek regionalny pomyślany jako konstrukcja wyraźnie antyniemiecka nie miałby szans realizacji i nie spełniłby swej roli (ponieważ by się nie narodził). Z drugiej jednak strony nie wytrzymuje krytyki pogląd tych licznych kół niemieckich, które każdy projekt związku regionalnego państw Europy wschodniej oceniają za manifestację antyniemiecką. W sfederalizowanej Europie będzie rzeczą nie do pomyślenia by regionalne związki spełniać miały rolę koalicji — jedne zwrócone przeciwko drugim. Jeżeli by w przyszłości powstał związek regionalny państw Europy środkowo-wschodniej takiego czy innego typu — to będzie leżało zarówno w interesie Niemiec jak i tegoż związku by wzajemne stosunki ułożyły się jak najprzyjaźniej. To jest bowiem kardynalnym warunkiem współpracy gospodarczej, kulturalnej i zbliżenia na wszystkich innych polach.

Polska jest największym krajem Europy środkowo-wschodniej. Stosunki polsko-niemieckie wywrą decydujący wpływ na ukształtowanie się klimatu politycznego w tej części Europy. Jeżeli Niemcy będą trwali w nieprzejednanej postawie w odniesie-

niu do problemu ziem nad Odrą i Nisą — w Europie środkowo-wschodniej nie nastąpi odprężenie a Polacy przyjmą postawę, iż każdy wróg Niemiec jest automatycznie naszym sojusznikiem. Niemcy na tej drodze — być może — mogliby nie dopuścić do powstania regionalnego związku federacyjnego z udziałem Polski. Ale to w żadnym wypadku nie byłoby niemieckim zwycięstwem. Jeżeli zarówno Niemcy jak i my wyłączamy wojnę jako instrument regulowania spraw spornych pomiędzy nami — wówczas tylko w ramach rozwiązań federacyjnych jest rzeczą możliwą znaleźć formułę kompromisu dla tego typu problemów jak granica na Odrze i Nisie.

Jeżeli Niemcy podejną do tych spraw z wyobraźnią i świeżą koncepcją współpracy, jeżeli wielką polityką potrafią zabrakować przepaść na Odrze i Nisie — w ogólnym długofalowym rozrachunku zyskają coś niepomiernie więcej niż Wrocław i coś znacznie więcej niż Gdańsk.

Juliusz MIEROSZEWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie,
Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.

Brat Marcin

Któż ośmieli się twierdzić, że to tragiczne przeznaczenie nikomu dzisiaj nie zagraża i że nie mogłoby się zdarzyć ponownie zerwanie, takie, do którego płomienne dusze prowadzi napotkane niezrozumienie lub wrażenie samotności?

W każdym razie Bernanos dochodząc poprzez swą bolesną świadomość do zadziwiająco ostrej wizji, może nam pomóc do zrozumienia tego co się dzieje kiedy rozpacz sięga po najodporniejsze serca i rzuca je w bunt. W chwili, kiedy pozory kazatyby wierzyć, że Kościół nie jest po stronie tych którzy cierpią trzeba czegoś więcej niż odwagi optymistów, aby cierpieć przez Kościół.

A. BEGUIN

Od wielu miesięcy pragnąłem napisać te strony, ale od wielu więcej miesięcy, od wielu lat nie piszę nigdy tego co bym niecierpliwie pisać pragnął i to jest chyba wielka łaska Boża, może największa jakiej w życiu dostąpiłem. Kiedy wreszcie przystępuję do pracy odpływa pragnienie, umiera miłość, co najmniej pozornie, bo zdaje mi się niekiedy, że uchodzi jedynie w głąb mojej istoty, w najdalsze zapadnie mojej świadomości. Przystępując do pisania nie lubię już mojej książki, ale chcę ją napisać wolą niezdolną i — jeśli mogę użyć, nie narażając się na śmieszność, tego określenia w stosunku do prac tak skromnych jak moje — wolą tragiczną, wolą nagą, zredukowaną do samej istoty rzeczy, podobnie jak zredukowany jest krajobraz pożarty słońcem. Tak jest, kiedy zaczynam pisać książkę dawno już od niej odszedłem, ale piszę ją jedynie w celu odnalezienia za wszelką cenę zatraczonego źródła, tego ruchu duszy, który je wydał.

W godzinie poprzedzającej chrzest bojowy wiele rzeczy niepokoi młodego żołnierza, który by chciał się odznaczyć — zapomina jednak o wszystkim z chwilą ruszenia do ataku. Ame-

(*) Powyższy fragment, zatytułowany „Frère Martin”, znaleziony został w dwa lata po śmierci pisarza, w Brazylii, w domu, w którym Bernanos mieszkał przez czas ostatniej wojny. Fragment ten — jedyny jaki się zachował z zamierzonej przez Bernanosa, ale nie napisanej książki o Lutrze, ogłoszony był po raz pierwszy w paryskim miesięczniku „Esprit” w październiku 1951 roku.

rykańscy korespondenci wojenni, w celu przypodobania się kinowej publiczności i, być może, oszczędzając także miłość własną tchórzów — czerpią oszalamiającą psychologię walczącego żołnierza z elementarnych podręczników neuropatii. Tym korespondentom będzie się może zdawało, że — moim zdaniem — żołnierz idący do ataku, nie myśli o niczym. Tak nie jest: On myśli, ale zupełnie o czymś innym niż pięć minut przedtem, a już na pewno ostatnią jego troską jest postawa jaką zajmie wobec śmierci. Niepokoi się na przykład, czy spełni dobrze powierzone mu zadanie, obawia się czy zdoła utrzymać się w szeregu na swoim odcinku albo rozważy, czy w czasie najbliższego odpoczynku otworzy bez upoważnienia konserwę z „żelaznej porcji”. Ta niezależność jest zresztą mniej heroiczna niż mogłoby się zdawać: dowodzi jedynie, że żołnierz walczący posiada mocno zakorzenione atawizmy wojskowe, że w ogniu walki zatracca skłonność do introspekcji odnajdując skromne, zawodowe refleksy dobrego żołnierza, dbałego o to by nie narażać się na cztery dni paki.

Nie lękam się aresztu, ale przyznam się, że przystępując do tej książki już nie pamiętam prawie co mnie wtedy ku niej skłoniło i wyznaje ze wstydem, że myślę teraz znacznie mniej o tym co będzie pisał aniżeli o tym jak to napiszę. Przemawianie do katolików jest zawsze niebezpiecznym przedsięwzięciem, tym bardziej niebezpiecznym dla takiego biedaka jak ja, który ani z bliska ani z daleka nie należy do kościoła nauczającego. Nie myślcie jednak abym wobec tego doznawał czegokolwiek co by przypominało uczucia empiryka, znachora, względem dyplomowanych lekarzy! Nie dyplom robi księdza ale sakrament. Dosyć się nasłuchałem kazań w swoim życiu aby sobie wyobrazić co człowiek wykształcony a niewierzący może sądzić o tego rodzaju literaturze. Ale ja właśnie jej słucham nie jako kulturalny, wierzący człowiek. W dziewięciu wypadkach na dziesięć mam przyczyny sądzić ją surowiej jeszcze aniżeli kto inny, nie mam bowiem dla mnie nawet uroku nowości... Ale mniejsza z tym! Muszę jednak przestrzec czytelnika dobrej woli przed zbyt pośpiesznymi sądami. Jest tajemnica w Kościele! Nikt nie ma prawa, nie wpadając w śmieszna sprzeczność, żądać od niedowiarka by wierzył w tajemnicę Kościoła. O ile jednak widzimy, że ktoś jest do Kościoła pociągnięty, czyż nie należy go uprzedzić, że traci absolutnie czas, zajmując się błahostkami, zamiast szukać w Kościele jedynie Chrystusa?... Tak jest, niechaj szuka Chrystusa, albo da temu spokój. Bo jeśli nie szuka Chrystusa w Kościele, samego Chrystusa, stanie się niezawodnie, wbrew sobie, ofiarą i wspólnikiem miernoty, która go na wstępie zgorszyła, stanie się jej częścią i będzie zmuszony wraz z nią się potępić...

Nie, to nie dyplom robi księdza ale sakrament, mocą sakramentu ksiądz naucza. Niedowiarek może mieć wątpliwości co do realności sakramentu, myliłby się jednak odrzucając *a priori* hipotezę tej realności. Instytucja, która przypisuje sobie prawo rządu dusz, prawo roztrząsania sumień musi gruntować te upraw-

nienia na czymś innym jak tylko na odpowiednich zdolnościach członków swego profesorskiego ciała, każdy zaś rozsądny człowiek będzie się strzegł ferowania sądów o Kościele nauczającym wzorowanych na poglądach Wielkiego Mistrza Uniwersytetu, jego doktorów i adiunktów. Jeśli prawdą jest, że Chrystus nadal objawia się światu, każdej chwili naszych dni i naszych nocy, nie można oczywiście przypuszczać aby ta olbrzymia infiltracja Bóstwa mogła się dokonywać wedle metod stosowanych w Instytucie Rockfeller'a i dzięki którym najściślej selekcjonowany personel wtajemnicza w sprawy higieny ludy krajów tropikalnych. Chodzi o to, że wielkie Boskie przedsięwzięcie nie mogłoby być poważnie zagrożone jedynie przez mierność swoich narzędzi. Owa mierność ulega w Kościele nie tylko poprawie i wyrównaniu, ale bywa niejednokrotnie również zaasymilowana, podobnie jak martwa substancja wprowadzona do żywego organizmu zamienia się w krew i limfę, staje się życiem samym.

Wewnątrz Kościoła ta mierność niszczy być może jedynie tylko to, co jest w nim miernego, trawiąc w ten sposób sama siebie podobna sokom owrzodzonego żołądka. Soki, niezbędne dla trawienia zdrowego człowieka, stają się w końcu, jak wiadomo, śmiertelne dla chorego. Obcy naszej wierze obserwator z trudem odróżnia mierność, którą mam na myśli, od innych form przeciętności podczas gdy, twierdząc to z całą stanowczością, jest ona całkowicie odrębna; w jakim stopniu ta mierność tajemniczymi więzami połączona jest ze Świętością — chociażby przez wyzwanie, które jej rzuca? Niejednokrotnie cytowałem to niezapomniane zdanie O. Clérissac, młodego Dominikanina, który zginął pod Verdun: „Cierpieć dla Kościoła — to mało, trzeba cierpieć przez Kościół”.

Nie jestem teologiem i dlatego będę strzegł się, jak zarazy, literackich uogólnień na temat Kościoła widzialnego i Kościoła niewidzialnego. Lękam się, że te rozróżnienia mogą być niebezpieczne dla każdego, kto nie jest specjalistą w tej materii. W rozważaniach moich zresztą będzie oczywiście jedynie mowa o Kościele widzialnym jako że chcę mówić wyłącznie o tym co sam widzę. Nie sposób zaprzeczyć, że istnieje w Kościele pewien rodzaj miernoty której nazwy nie będę szukał, gdyż jako że była nazwana lat temu dwa tysiące należy już do powszechnego słownictwa. Są faryzeusze w Kościele i faryzeizm krąży nadal w żyłach tego olbrzymiego ciała a ilekroć słabnie ewangeliczna caritas chroniczne niedomagania kończą się ostrym kryzysem. Mojemu porównaniu brak, niestety, ścisłości. W potocznym języku lekarskim słowa ostry kryzys nasuwają pojęcie podniesionej temperatury. Faryzeizm jednak, to ropień bezgorączkowy i bezbolesny. Kościół jest niewątpliwie ludzki i boski zarazem i dlatego żadna ludzka przywara nie jest mu całkowicie obca. W faryzeizmie jest jednak niezawodnie szczególna złośliwość, która wystawia na ciężką próbę cierpliwość Świętych, wówczas kiedy zwykłych chrześcijan, w moim rodzaju, najczęściej rozgorycza albo rewoltuje. Nie ufam moim oburzeniom ani moim buntom. Oburzenie

nikogo nie zbawiło a przeciwnie oddało prawdopodobnie na straconie wiele dusz. Wszystkie bachanale symonii w Rzymie XVI-go wieku nie na wiele by się przydały szatanowi, gdyby im się nie udał ten mistrzowski zamach: wtrącenie Lutra w rozpacz, a wraz z tym niepohamowanym mnichem dwu trzecich bolesnego chrześcijaństwa. Luter i jego ludzie zwątpili w Kościół a kto zwątpił w Kościół, i to jest godne uwagi, naraża się wcześniej czy później na zwątpienie w człowieka. Pod tym względem protestantyzm zdaje mi się być kompromisem z rozpaczą.

Podobnie jak mój drogi proboszcz wiejski nieraz myślę o Marcinie Lutrze. W jednej ze swoich książek Jacques Maritain pozwolił sobie na okrutny żart umieszczając na przestrzeni kilku zaledwie stron, dwa portrety wodza Reformacji. Na drugim widzimy Lutra postarzałego, z twarzą jakby zniekształconą obrzękiem, przypominającym rozkład, o rysach nie do poznania zeszpeconych, omal zezwierzęconych. Jacques Maritain urodził się protestantem i sądził być może, że znalazł w tej ohydnej metamorfozie niezaprzeczony i straszliwy dowód duchowego bankructwa, prawdopodobnie jedyne w historii. Po co to było robić? Że ów nieszczęśliwy, uwiedziony nienawiścią, wpadł w sidła grzechu, najwidoczniej błędem swoim urzeczony i upodobił się w końcu do jednego z tych kardynałów sodomitów, których nieprawości ujawniał — to powinno by nas raczej skłaniać do zastanowienia się nad tajemnicą zamierzeń wszechmocnego miłosierdzia w stosunku do tego niezwykle człowieka. Co do mnie, to wolałbym przeniknąć samą tajemnicę, zrozumieć cośkolwiek z epizodów dramatu, którego prawdziwe rozwiązanie pozostanie dla nas zawsze zakryte na tym świecie, a może i na tamtym; bo któż z nas może wiedzieć gdzie słodkie miłosierdzie Boże ukryje grzeszników wykradzonych piekłu, odbitych mocą jakiegoś niechybnego podstępu, na wieczne pomieszanie mędrców i sprawiedliwych?

Pisałem uprzednio, że zgorszenia rzymskiego Odrodzenia wtrąciły Lutra w rozpacz. To stanowi niezawodnie tylko część prawdy. W tym jakimś makabrycznym tańcu nie było nic takiego co by miało zakłócić rozum albo sumienie ówczesnego mnicha; spodziewany i nieunikniony koniec tego wszystkiego był wypisany na kamiennych płytach w przedśionkach katedr. Władze kościelne nie sprzeciwiłyby się bynajmniej gdyby Luter dołączył swój głos do tylu innych, znakomitszych lub świętszych, które bez przerwy wypominały Kościołowi jego wszeteczeństwa. Niedolą Lutra było, że zamierzał reformować. Proszę zauważyć poczynione przeze mnie rozróżnienie. Nie chciałem tu napisać czegokolwiek, co by nie było najzupełniej dostępne pierwszemu lepsшему człowiekowi dobrej wiary, czy będzie on wierzącym czy niewierzącym — to nie ma znaczenia. Kiedy mówię o tajemnicach Kościoła mam na myśli pewne właściwości życia wewnętrznego tego wielkiego ciała, właściwości, które wierzący i niewierzący mogą sobie tłumaczyć w różny sposób, ale które są fak-

tami, podlegającymi doświadczeniu. Takim chociażby faktem jest, że w Kościele nie da się nic reformować zwykłymi środkami. Kto by zamierzał reformować Kościół tymi samymi środkami co społeczeństwo doczesne — poniesie nie tylko klęskę ale znajdzie się nieomylnie poza Kościołem. Powiadam że znajdzie się on poza Kościołem jeszcze przedtem, nim go ktokolwiek z tego Kościoła wykluczy, powiadam, że, drogą jakiegoś tragicznego fatalizmu sam siebie wyklucza. Wyrzeka się jego ducha, wyrzeka się dogmatów, staje się, prawie nieświadomie, jego wrogiem, o ile zaś usiłuje zawrócić z drogi, każdy krok oddala go jeszcze bardziej, jak gdyby nawet jego dobra wola była przekłeta. Powtarzam, że fakt ten da się sprawdzić doświadczalnie, a przekonać się o tym może każdy, o ile sobie zada trud zapoznania się z żywotami wielkich albo małych kacerzy. Reformuje się Kościół tylko wtedy kiedy się za Kościół cierpi, reformuje się Kościół widzialny, cierpiąc za Kościół niewidzialny, reformuje się błędy Kościoła mnożąc przykłady jego najbardziej heroicznych cnót. Bardzo możliwe, że św. Franciszek z Assyżu był nie mniej od Lutra oburzony rozpustą i symonią prałatów. Ale niezawodnie bardziej nad tym cierpiał, bo też bardzo się różnił usposobieniem od mnicha weimarskiego. Nie próbował wszelako wyzywać nieprawości do walki, nie próbował stawiać jej czoła. rzucił się w ubóstwo i, wraz ze swoją bracią, pograżał się weń jak mógł najgłębiej niby w krynicy wszelkiego odpuszczenia i wszelkiej czystości.

Nie próbował odbierać Kościołowi jego dóbr nieprawie nabytych ale obdarzył go nadmiarem skarbów niewidzialnych a na skinięcie łaskawej ręki tego żebraka stosy złota i nieczystości zakwitły niby wiosenne żywopłoty. Oczywiście zdaje sobie sprawę że porównania w tej dziedzinie nie wiele są warte, zwłaszcza o ile nie są pozbawione szczypty humoru. Czy wolno mi jednak powiedzieć, aby niektórzy czytelnicy lepiej zrozumieli moją myśl, że Kościołowi nie potrzeba krytyków ale artystów?... W pełni kryzysu poezji na nic się nie zda tępienie złych poetów a nawet skazywanie ich na śmierć przez powieszenie — należy pisać piękne wiersze, należy otworzyć święte źródła.

Kościół nie potrzebuje reformatorów, ale świętych. Marcin Luter był urodzonym reformatorem. Bywają reformatorzy, których tragiczne przeznaczenie jest dla nas wytłumaczalne. Lamennais na przykład. Nie ulega wątpliwości, że ta nadmiernie napięta struna musiała się zerwać na zbyt wysokiej nucie. Ktoś, należący do najbliższego otoczenia Piusa XI opowiadał mi, że ten papież miał rodzaj nabożeństwa dla nieszcześliwego Féli. Bez wątplenia nie okazałby podobnego współczucia Lutrowi, bo zarówno ten papież jak i ten mnich nieugięty zbyt byli do siebie podobni pod wieloma względami, aby móc się litować jeden nad drugim. Nie twierdź bynajmniej aby Lamennais zasługiwał na coś więcej jak na trochę lekceważące współczucie. Gdyby to jednak, w swoim czasie, zależało od owego drobnego, ułomnego Bretończyka z jego przejmującą logiką, nieubłaganą i tkliwą

zarazem, z jego naiwną i wzniosłą ale też nieco dziecinną elokwencją, podobną do pięknych szkolnych wypracowań pisanych wszelako całą krwią męskiego serca — bezmierna klęska Kościoła w stosunku do świata robotniczego byłaby może do uniknięcia. Kiedy ten wychudły człowiek, czarny, przygarbiony, zżarty chorobą, rzucił z ławy deputowanych grobowym głosem konającego proroczy okrzyk: „Biada ubogim!” — zapowiadał zarówno Stalina, Hitlera i Mussoliniego jak generała Franco oraz ludzi karteli i trustów, wskazywał rozległe krematoria stojące otworem. Nie był to zaprawdę człowiek pozbawiony możliwości lub niezdolny do obrony, tyle tylko, że się urodził nazbyt nerwowo, nazbyt wrażliwy, z próżnością kobiety albo poety. Był stworzony dla rozpacz, jak piękne naczynie dla płynu, które je ma wypełnić; wypełniał się rozpaczą po brzegi, gdy tymczasem Luter, Marcin Luter, był raczej stworzony dla radości, dla brutalnej radości robotnika po pracy robotniczej, po dźwiganiu ciężarów na plecach, ciężarów zwalanych jednym pchnięciem ramion. Tak jest, był to człowiek, który nie miał nic z pięknego naczynia, przypominał raczej chłopski dzban, któryś z tych dzbanów z pospolitego fajansu, barwy miodu, z którym się idzie do beczki aby utoczyć weń cokolwiek: jabłeczniaka, piwa lub wódki. Otóż ten mocny człowiek nie wytrzymał dłużej od tamtego i podobnie jak tamten stracił głowę; widzieliśmy jak go poniosło niby roboczego konia, który swą ciężką nogę wstawił do gniazda szerszeni i ruszył jak wiatr, wierząc nieporadnie wszystkimi czterema kopytami. A kiedy się zatrzymał, bynajmniej nie ze znużenia, a tylko aby się rozejrzeć, zaczerpnąć tchu, obwachać rany — stary Kościół pozostał już bardzo daleko w tyle, na ogromną, nieobliczalną odległość, odcięty na wieczność od niego.

O wściekłości, osłupienie, rozdzierająca klęska!

Gdyby cenzor lub reformator Kościoła miał jedynie do czytania z tymi, których błędy lub zbrodnie piętnuje, nie wiele by ryzykował... Cenzurowani wiedzą na ogół co są warcy, ich sumienie jest w tajnej zgodzie z cenzorem. Najczęściej trwanie w grzechu nie usypia sumienia, zdarza się nieraz, że go uwalnia, reagując podobnie jak żywa tkanka obnażona kwasami. Grzech niszczy w nas stopniowo wolę dobra, ale nie jest zdolny naruszyć tęsknoty za tym dobrem, już dla nas niedostępnym; przeciwnie, utrzymuje tę tęsknotę, kultuwyje ją, jako pierwiastek rozpacz, rozpacz, która dopełni naszej klęski odrywając nas od Boga. Wszyscy owi papieże, mnisi i kardynałowie Odrodzenia stawiali zbyt otwarcie czoła ludzkiej opinii by nie zatajać w zakamarkach swych nieposkromionych dusz trwogi przed sądem Bożym. Wiedzieli zresztą dobrze, że ten karnawał nepotyzmu, wszeteczeństwa i symonii się skończy i że po kryzysie cynizmu nastąpi, prędzej czy później, kryzys obłudnego moralizmu, podobnie jak chłody nastają po upałach.

Wyzywając gniew tych, których św. Katarzyna nazywała przecie wcielonymi szatanami, Luter narażał do pewnego stopnia swoje życie, nie duszę, mobilizując jednak przeciwko sobie całą rozproszoną ludzką miernotę. Ta miernota poczęła wtedy fermentować, burzyć się i szumieć niby młode wino w kadzi. Oczywiście, oskarżam mnie tu o próbę rehabilitacji Lutra. Mniejsza o to! Nie przemawiam do faryzeuszy ale przeciwko nim, tyle mnie ich gniew obchodzi ile rybę jabłko. Zawsze wierzyłem, nie narzucając nigdy i nikomu mojej wiary, że wielcy heretycy, którzy spustoszyli Kościół, byłiby równie dobrze mogli się stać jego chwałą; że byli wybrani, przesłani, przeznaczeni na niezwykłą przegodę. Wnioskując logicznie sędzę więc, że otrzymali oni łaski bezcenne, że je roztrwonili rzucając na wiatr, że zatarcili w czczych dysputach nieobliczalne bogactwa duchowe, których starczyłoby może aby nasycić w ciągu wieków niewinne chrześcijaństwo.

Mamy wszelkie prawo przypuszczać, że o ile by ten drobny Żydek, zwany Saulem, nie stoczył się pewnego wieczoru w pył drogi wiodącej do Damaszku z twarzą ociekającą wstydem, żalem, miłością i łzami — trwałby do końca życia w jakiejś nikomu nieznanej wiejskiej synagodze. Ale wolno nam podobnie roić że stał się kacerzem nad kacerzami, sam jeden groźniejszy od Nestoriusza, Ariusza i Lutra razem wziętych, był bowiem jak ogień który ogrzewa i pożera, oczyszcza i spala. Oczywiście próba która zgubiła mnicha z Erfurtu mogła być równie dobrze zbawić go: była ona jego zgubą albo wywyższeniem. I kiedy się czyta niektóre stronicie wyjęte z jego korespondencji — ale któryż katolik czytał kiedykolwiek korespondencję Lutra?... Dobry uczeń OO. Jezuitów sądziłby niezawodnie że korespondencja tego lubieżnika, który zrzucił suknię zakonną, uraczy go słonymi dowcipami przeznaczonymi dla Katarzyny Bora, gdy tymczasem z lektury tej wynika, że Luter zdawał sobie jasno sprawę z fatalnego dylematu, który zaważył na całym jego życiu. Że niejednokrotnie, niestety! — przynajmniej w młodości — był gotów posłuchać łagodnego głosu, który przemawiał wprost do jego serca nagłąc go tkliwie by pozostał pokorny i uległy w spełnianiu swej powinności, niby drobny kamyk w ręku Najwyższego, wczoraj podjęty a dziś odrzucony. Co mu ten głos mówił? Mój Boże! Czy to aby nie zbytke zuchwałości chcieć przeniknąć treść tych słów? Ale mniejsza z tym...

„Marcinie, synu mój — szeptał zapewne ów głos w głębokiej ciszy duchowej — obdarzyłem cię tą goryczą, uważaj! Cierpisz ze mną, przeze mnie i we mnie, bolejesz nad nędznym stanem mego Kościoła, nie chciej się chęłpic przede mną tym cierpieniem. Inni, którzy miłują mnie tysiącokroć więcej aniżeli ty jesteś w stanie mnie miłować, nie doznają tego bólu w równym stopniu, odczuwają go za ledwie. To co oburza Twoje sumienie jest dla nich jedynie snem, złym snem, od którego się odwracają ilekroć zechcą, bo w innym żyją świecie. Co zaś do ciebie to wyznaczyłem ci jasno twoje miejsce w tym właśnie świecie, stworzyłem cię z ciężkiej i odpornej materii, jesteś czło-

wiekiem cielesnym. Rzuć cię przeciwko innym ludziom, równie jak ty cielesnym, z tej samej co ty materii aby poczuł moc twoich ciosów, bo oto przez ciebie, o ile pozostaniesz mi wierny, postanowiłem złamać ich pychę i pomścić mój lud, którego duszami targuję. Obyś się jednak nie pomylił, bracie Marcinie! To zadanie nie jest ani najwznioślejsze, ani najważniejsze, ale jest na twoją miarę, to wszystko! Dałem ci zdrowie, siły, dar krasomówczy aby zdobywać szerokie ludzkie rzesze, geniusz dyalektyki omal równy geniuszowi mego syna Augustyna. Nie jest to, wiedz o tym, wyborowa broń moich świętych, posłuży ci jedynie do usuwania gruzów, wrywania i karczowania spróchniałych pni. O synu mój, Marcinie! To co ci dałem jest niczym wobec tego co ci dać zamierzam o ile się nie wymkniesz z moich rąk! Nie zapominaj Pawła, mego Apostoła, którego tak kochasz. On również był człowiekiem cielesnym, gwałtownym, zuchwałym i mędrkującym. Nie łatwo było uczynić tę duszę bardziej giętką, bardziej podatną. Pamiętaj o tym co powiedziałem o nim we śnie owemu Ananiaszowi z Damaszku. Biedny Ananiasz, nie kwapił się zbytby odzyskać Saula, było to dla niego jakby miał z własnej woli skoczyć w paszczę lwa. „Panie, wiem jak wiele złego uczynił świętym twoim a teraz ma moc od Najwyższych Kapłanów aby wiązał wszystkich, którzy wzywają imienia Twego”. Odpowiedziałem mu wtedy: „Idźże, albowiem mi ten jest naczyniem wybranym i ukazę mu, jak wiele trzeba mu wycierpieć dla imienia mego — *quanta oporteat eum pro nomine meo pati... Pro nomine meo pati...* Kiedy czytacie to dzisiaj macie oczywiście na myśli błogosławione męczeństwo Pawła, który głowę swoją oddaje katowi. Bracie Marcinie, wierz mi, że dał ją ze szczerzego serca nie tylko aby spełnić moją wolę, ale też dla tego, że dużo cierpiał i był znużony życiem i cierpieniem. Są tacy, mój Bracie, którym pozwoliłem cierpieć spokojnie i rozsądnie, nie szarpiąc się jak pacjent w rękach cyrulika. Ale ten to był stworzony aby wierzczać przeciwko ościeniowi — *durum est tibi contra stimulum calcitrare*. Nie było ościenia, którego ostrze by go nie skaleczyło, nie wyłączając ościenia cielesnego a kiedy pozwoliłem mu wreszcie umrzeć nie miał już nawet sił, aby wierzczać, podobny do któregoś z tych starych wilków-samotników przebitych ciosami, spływających krwią, które przy każdym nowym pchnięciu oszczepem zwracają jedynie powoli w stronę żelaza spojrzenie już szkliste, ale nieugięte. Tak jest! Po tylu wiekach wyrobiliście sobie dosyć szczególnie wyobrażenie o tej odległej epoce!... Od początku Kościół mój był tym, czym jest dzisiaj, czym będzie aż po skończenie świata: zgorśzeniem dla rozumnych, rozczarowaniem dla słabych, próbą i pocieszeniem dla dusz o życiu wewnętrznym, tych które szukają w Kościele mnie jednego. Tak jest, bracie Marcinie, kto mnie szuka — znajduje, ale trzeba mnie odnaleźć a jestem lepiej ukryty niż to się może wydawać, lepiej aniżeli niektórzy z moich księży usiłują wam wmówić, trudniejszy do odnalezienia aniżeli w stajence betlejemskiej dla tych którzy nie dążą ku mnie w pokorze,

śladem Trzech Króli i Pasterzy. Bo prawdą jest, że wzniesiono mi pałace zdobne w niezliczone krużganki i przedsionki, dniem i nocą oświetlone, strzeżone przez gwardzystów i halabardników, ale żeby mnie tu odnaleźć, jak na tej starej drodze w Judei, śniegiem zasypanej — radzę najprzebieglejszemu z nich spytać mnie jeszcze czego mu nie dostawa... a odpowiem: gwiazdy i czyste-go serca. Za czasów św. Pawła, bracie Marcinie, podobnie jak dzisiaj, widziałbyś w moim młodym Kościele rzeczy, które by przygięły do ziemi Twoją ciężką głowę i przed którymi otrząsałbyś się jak byk opadnięty przez muchy. Pomyśl tylko! Po piętnastu wiekach widzimy wszędzie ludzi którym się zdaje, że są więcej warci od innych, bo należą do mnie, jakbym ich wybierał dla ich pięknych twarzy albo pięknych dusz. Biedne dzieci! Z dumą obnoszą swoją wiarę pośród niewierzących i puszą się jak gdyby wiara była dawana w nagrodę zasług, starszeństwa albo jakichś znakomitych wyczynów, podobnie jak Legia Honorowa. Otóż o ile ci ludzie pyszną się tym, że zajmują wyższe miejsca w Kościele, możemy łatwo wyobrazić sobie pychę niektórych ochrzczonych Żydów, którzy widzieli mnie na własne oczy — albo którym się zdawało, że mnie spotykali na moich galilejskich drogach, Żydów, którzy należeli do mego plemienia albo wywodzili się z mego rodu. Nie wyobrażaj sobie, że mogli patrzeć do brym okiem na Pawła, kiedy ów począł głosić, że poganin ochrzczony, że goj, chociażby noga jego nie powstała nigdy w Jeruzalem, chociażby nie znał w ogóle innego kraju poza krajem swe-go bałwochwaltwa — jest mi ani mniej ani więcej bliski aniżeli Żyd obrzezany...”

Georges BERNANOS

(Z upoważnienia spadkobierców autora przełożyła Maria Czapka)

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

W ciągu ostatnich dwu i pół lat nie zapisałem do mego notatnika nic prócz paru refleksji, których nie mogę już dobrze odczytać. Patrząc dziś znów na białą stronicę i korzystając — zanim postawię na niej pierwsze znaki — z ostatnich chwil swobody i bezstronności, chciałbym rzucić nieuprzedzone spojrzenie na możliwości i ograniczenia, na złudność i dwuznaczność słowa pisanego.

O CZERNIENIU PAPIERU

Pisanie nie jest dla mnie nowością, ale nigdy nie miałem przekonania do takiego spędzania czasu. Zawsze, dziś w większym stopniu niż kiedykolwiek, miałem poczucie, że takie zajęcie wymaga ode mnie jakiegoś szczególnego umotywowania lub usprawiedliwienia. Przypuszczam, że nie jestem w tym uczuciu odosobniony, i że brak usprawiedliwienia — bardziej niż wszystkie względy oportunistyczne — popychał pisarzy do oceny ich działalności z punktu widzenia użyteczności społecznej.

Znaczną część dzieciństwa i młodości spędziłem wśród ludzi piszących, poprawiających korekty i oddających się innym zajęciom literackim, prowadzącym rzadko do jakichś godnych uwagi wyników. W naszym wieku są one zapewne ubocznym produktem maszyn drukarskich i fabryk papieru, które — jak maszyny w ogóle — nie mogą pozostawać niezatrudnione.

Z wczesnego zapoznania się z mechanizmem pisania i druku wyniosłem przekonanie, że nie ma żadnej obiektywnej potrzeby pomnażania olbrzymiej produkcji słowa drukowanego. Nawet najpilniejszy czytelnik nie potrafi wyczerpać wybranego przez siebie programu lektur. Poczytywałem więc sobie niemal za zasługę powstrzymywanie się od czernienia papieru.

Pisać zacząłem późno, w 36-ym roku życia, dla przyczyn przypadkowych, w okresie szczególnie ubogim w rozrywki. Patrząc dziś z oddalenia, nie jestem pewny czy zacząłbym pisać,

gdybym miał w tym czasie możność bardziej systematycznego zajmowania się muzyką lub udania się w daleką podróż. Być może sprzykrzyłbym sobie prędko te rozrywki, ale być może starczyłoby ich na czas, który zużyłem na pierwsze próby pióra.

Nietaktownie być może jest pisać o tym w czasopiśmie, które może być czytane przez literatów, pisanie było jednak za wszystkich czasów zajęciem *minorum gentium*. Brali się do niego wprawdzie panujący *Dei gratia* w chwilach przewiełbnej skruchy na widok mizernych wyników ich panowania, ministrowie w niełasce, ambasadorzy zmuszeni do życia z skromnej emerytury, a wreszcie i deputaci, którym lud odmówił mandatu, wysyłając do stolicy lepszego demagoga, i którzy przez kilka lat musieli czekać na otwarcie nowej kampanii wyborczej. Główny wszakże trzon piszących stanowili ludzie poszukujący w słowie kompensaty za to wszystko czego życie im odmówiło lub w ogóle nikomu dostarczyć nie mogło.

Umiejętność stawiania na papierze znaków skrywała w sobie zawsze zbliżone do czarnoksiężstwa możliwości tworzenia fikcji olśniewających samego eksperymentatora. W młodości widziałem dadaistów klejących uroczyście na ścianie wyrazy wycięte z gazet i zmieszane w kapeluszu. Z wyrazów tych układało się coś w rodzaju wierszy pełnych nieoczekiwanych skojarzeń. Surrealiści wzięli te możliwości na serio, próbując tzw. *écriture automatique*.

Nawet znaki stawiane na chybił trafił mogą przynieść uderzające niespodzianki, co dopiero słowa oszlifowane przez wirtuozów pisma! Ułożone przez nich wyrazy odrywają się od ich związku z autorem i zaczynają żyć samodzielnie, podobne do drogich kamieni, talizmanów i fetyszów obiecujących fikcyjną fortunę i skrywanych zazdrośnie w pamięci.

*L'étoile a pleuré rose au cœur de tes oreilles,
L'infini roulé blanc de ta nuque à tes reins,
La mer a perlé rousse à tes mammes vermeilles
Et l'homme saigné noir à ton flanc souverain.*

Władza tworzenia takich formuł słownych, które nawet w kilkadziesiąt lub kilkaset lat później zaprzatają przez dłuższy czas naszą uwagę i zostawiają niezatarte ślady na mijających godzinach, warta jest zapewne władzy rozkazywania. Tak ją też oceniano, bo tym którzy ją posiadli oddawano za wszystkich czasów honory przysługujące wodzom i panującym. Nie ma więc zapewne racji *Martialis* kiedy, mówiąc o karierze zubożonego szewca, wyrzuca rodzicom, że dali mu tylko wykształcenie literackie: *At me litterulis stulti docuere parentes*. Zresztą i *Martialis* i *Horacego* i wszystkich ich następców do Tuwima włącznie rozpierała duma z posiadania magicznej władzy nad słowem, zwanej także skromnie rzemiosłem poetyckim.

Wszystko to jednak warte jest tylko dla poezji. Proza nie czerpie tej siły z magii lecz z jasności myśli porządkującej chaos zjawisk. Czarnoksiężstwo słowa jest tu rzeczą podrzędną. Nawet

retorzy są zgodni w tym, że najwymowniejszy jest ten kto ma najważniejszą rzecz do obwieszczenia, chociażby mówił nieokrzesanym narzeczem. Potrzeba porządkowania i opanowywania myśłą otaczających zjawisk wydaje się zresztą funkcją autonomiczną nie dającą żadnego bezpośredniego impulsu do pisania. Potrzeba propagowania swej myśli i narzucania jej innym jest już czymś zgoła odmiennym, czego najlepszym dowodem jest fakt, że nie sprzyja zazwyczaj jasności i rzetelności wypowiedzi. Kokietowanie jasnością myśli i uleganie wszystkim innym podobkom stanowi wewnętrzną sprzeczność prozy.

Wyjście z milczenia, które zdaje się być właściwą postawą myśli, jest pewnego rodzaju odstępstwem od jej ambicji. Wymaga parania się słowem, tworzywem niepewnym, naprzemian zbyt opornym lub zbyt płynnym, posłusznym prawom innym od praw myśli i wydającym przy manipulowaniu nim nieoczekiwane iskry i zgrzyty.

Paranie się słowem, zwłaszcza pisaniem, nie oddającym dokładnie ani majaczenia ani rozumowania ścisłego, wymaga wyrzeczenia się wielu ambicji, uproszczenia się do poziomu kucharza, który — nie znając chemii i fizjologii — w prostocie ducha miesza w garnku przyniesione z rynku wiktuały.

O PEWNYCH FORMUŁACH PORZĄDKOWYCH

W sakramentach, finansach i wielu innych sprawach forma rozstrzyga i przysłania inne aspekty zjawiska.

Jeden z przyjaciół opowiadał mi, że poddając się ciężkiej operacji widział jak nachylony nad nim lekarz dający narkozę wyprostował się i głosem uroczystym powiedział: *incipiamus*. Słyszając tę łacińską formułę, mój przyjaciel zasnął z błogim uczuciem, że jakkolwiek byłby wynik operacji wszystko odbędzie się w porządku, z zachowaniem najlepszych form i tradycji, i następnego dnia obudził się z tym samym uczuciem otaczającego go ładu i poprawności. Nawiasem mówiąc, nie rozumiałem nigdy lekarzy, którzy w zapale do swojszczyzny przyjęli ludową terminologię bab i znachorów, nie mogącą mieć — jeżeli chodzi o formę — autorytetu łaciny.

W starym przewodniku po Normandii, w rozdziale traktującym o zabytkach Domfront, znalazłem wzmiankę, że miejscowy poeta Jean Barbotte (sic) napisał o tym miasteczku następujący epigramat:

*Domfront, ville de malheur:
Arrivé à midi, pendu à une heure!
Seulement pas l'temps d'dîner!*

Mimo poszukiwań, nigdy nie udało mi się niczego dowiedzieć o autorze tych słów, który musiał być człowiekiem doświadczonym, mogącym opowiedzieć wiele rzeczy interesujących.

Wiersz jego oddaje fatalność nieoczekiwanego losu i rekordową szybkość wypadków, ustalając dla nich miarę czasu w jednostkach odpowiadających trwaniu obiadu. Nagłość klęski, niespodziana wizja haniebnej śmierci, wypadki wyłamujące się dla ich ofiary ze wszystkich znanych ram porządkowych i pocucia czasu są tu umieszczone z powrotem w biegu spraw ludzkich i niemal banalnych. W kilkunastu słowach autor osiąga cel wszystkich *consolationes* napisanych od czasu Seneki.

Wypadki podobne są dziś znów na porządku dziennym i nie wywołują nawet u naszych współczesnych większego sprzeciwu o ile nie mają miejsca na terenie ich gminy. *Vernichten*, mówią Niemcy; *unicztożyć*, mówią Rosjanie, używając w odniesieniu do istot ludzkich wyrazów używanych dawniej tylko wtedy gdy mowa była o przedmiotach nieżywych. Uderza każdego absurdalność tych zjawisk, nie okraszona nawet celowością użytkową, przyswecającą pracy w szlachtuzach. Oswojenie ich dzikości, umieszczenie na nowo w skali spraw ludzkich wymaga wysiłku wyobraźni, na jaki jest zbyt późno przy spotkaniu z nim wręcz. Jadąc do Domfront dobrze jest mieć w pamięci, na wypadek ostatecznych ewentualności, parę gotowych formulek porządkowych.

Na wojnie groźniejszy od możliwości kalectwa i śmierci wydawał mi się chaos i absurdalność następujących po sobie szybko sytuacji, nie mieszczących się w żadnych szkolnych pojęciach o operacjach wojennych.

Magiczne formuły broniące od strachu przed sytuacjami chaotycznymi, uchylającymi się od operacji myślowych, były poszukiwane nawet w najspokojniejszych czasach. Liczne przykłady ich znajdujemy w literaturze:

*Inerte, blême, au fond d'un lugubre entonnoir,
Je descends d'heure en heure et d'année en année.*

Podobnie jak autor z Domfront, Leconte de Lisle wprowadza tu miarę czasu do opisu doświadczenia mało uchwytneho, które określilibyśmy jako spadanie w otchłań niebytu. Miara czasu występująca w tego rodzaju formułach zasługuje na szczególną uwagę.

O MIARACH I RYTMACH

Byłem niedawno na odczycie Martina Heideggera, który, rozgraniczając zakres nauki i filozofii, powoływał się m. in. — jako na charakterystyczne dla nauk ścisłych — na zdanie Maxa Plancka, że rzeczywiste jest to, co się daje zmierzyć. Jest to prawda znana każdemu, kto przez miesiąc chociażby pracował w jakimś laboratorium naukowym. Badanie ścisłe jakiegokolwiek zjawiska wymaga już na wstępie znalezienia metody pozwalającej mierzyć i ujmować w cyfry dokonywane spostrzeżenia.

Mylne byłoby jednak sądzić, aby mierzenie otaczających nas zjawisk było wyłącznym przywilejem nauk ścisłych. „Weź tę trzcinę i zmierz nią kościół i tych, którzy się w nim znajdują”, mówi autor Apokalipsy. Potrzebę mierzenia odczuwamy wobec każdego zjawiska przytłaczającego nas swym rozmiarem, swym charakterem niejasnym lub chociażby swą jednostajnością. Odkrycie ich wymierności jest niejako pierwszym stopniem oswajania ich obcości i opanowania myśłą.

Wykonujący jednostajny i długotrwały wysiłek — marynarze posługujący się wiosłem, pasterze pędzący stada na odległe pastwiska, podróżni przebywający pieszo znaczne przestrzenie — za wszystkich czasów śpiewali. Strofy ich pieśni dzieliły wysiłek na równomierne okresy będące prymitywną miarą czasu. Miara tego rodzaju nie wystarcza dla obliczeń astronomicznych, ale wystarcza dla ujęcia w pewne ramy porządkowe — w skali ludzkiej — nieokreślonej jednostajności wysiłku. Z doświadczenia wiadomo, że pieśni zawodowe, mające rytm wykonywanej pracy, — podobnie jak racjonalne umotywowanie wysiłku w trybie pracy fabrycznej — łagodzą znużenie. Zjawisko to jest znane wszystkim kto zajmował się organizacją pracy.

Słowo pisane posiada różnorodny system miar, stworzonych jak gdyby dla opanowania nieokiełznanej siły magicznej, wyzwalającej się przy stawianiu na papierze symbolicznych znaków słowa. Poezja ukazuje się nam zazwyczaj w płaszczu utkanym z różnych miar: sylab, akcentów tonicznych, cesur, strof, pieśni, rapsodów. W prozie system miar jest ukryty wewnątrz, stanowiąc niewidzialny kościół budowy. Rytm i kadencje zdań, podział na epizody i rozdziały opowiadania, jasne oddzielenie problemów w prozie analitycznej są niezbędnymi warunkami przyswajalności utworu prozaicznego. Różne rodzaje prozy posiadają nadto własne miary porządkowe, inne dla opowiadań drukowanych w odcinku, inne dla ukazujących się w tomach, inne dla powieści i dla noweli. Boccaccio miał powracający periodycznie opis scenerii, w której toczył się cykl opowiadań Dekameronu, Maupassant dzielił swe opowiadania na mniej więcej półstronicowe opisy statyczne sytuacji, których szybkie następstwo nadaje wartość toczącej się akcji.

O MIERZE I NIEUMIARZE W POWIEŚCI

W jednym z ostatnich numerów *Nouvelle Revue Française* wybitny pisarz rumuński E.-M. Cioran, któremu mój notatnik poświęca kilka stron, ogłosił essay zwiastujący bliski koniec powieści i motywujący potrzebę porzucenia na pewien czas tego rodzaju literackiego. Kryzys powieści widzi w jej inflacji, w zaniku dystansu między powieściopisarzem i jego twórczym, wreszcie w rozroście zagadnień i komplektów psychologicznych rozsadzających budowę powieści. W czasopiśmie włoskich czy-

tam, że podobne poglądy znalazły ostatnio zwolenników wśród pisarzy i krytyków rzymskich.

Uczucia rumuńskiego pisarza dzielają na pewno recenzenci, zmuszeni do czytania, obok wielu innych, wszystkich powieści nagrodzonych i patrzący z trwogą na coraz szybsze obroty piekielnej maszyny wyrzucającej każdego dnia kilka nowych tomów. Zamknijcie słuzy i dajcie chwilę wytchnienia!

Analiza Ciorana uderza swą przenikliwością i obala wiele pojęć ustalonych przez mody literackie. Nieśpieszny czytelnik, wolny od lęku i znudzenia recenzentów, nie podzieli może wszystkich wniosków krytyka. Dobre powieści były zawsze rzadkie. Obecny potop powieści miernych nie jest być może kryzysem samego rodzaju, ale dziełem fabryk papieru, drukarni i domów wydawniczych, zainteresowanych w masowej produkcji łatwo strawnej lektury — Niemcy nazywają ją *der Lesestoff* — za jaką uchodzi powieść. Nigdy też nie brakło osób zanudzających znajomych swymi domniemanymi problemami i kompleksami. Dawniej mogły to robić tylko ustnie lub listownie, dziś mają możliwość dania upustu swym zwierzeniom w formie powieściowej. Wydaje się wreszcie wątpliwe, aby mechanizm produkcji i reklamy powieści zatrzymał się przed wyczerpaniem cierpliwości ostatnich czytelników. Odwrót czytelników bardziej wybrednych nie może tu mieć większego znaczenia.

Chciałbym zatrzymać się tu nad uwagami Ciorana o wzrastającej interferencji w toku opowiadania zagadnień i pseudozagadnień własnych autora — aluzja do Gide'a — oraz zagadnień psychologicznych i filozoficznych — aluzja do Sartre'a — zagrażającej budowie powieści.

W swych formach klasycznych powieść jest opowiadaniem długofalowym, w toku którego główne postacie ukazują się w różnych fazach ich ewolucji, aż do ich takiego lub innego końca. W kompletności zarysu głównych postaci leży pokrewieństwo między powieścią i tragedią. *Literaturwissenschaft* odróżnia postacie imaginacyjne „wypukłe” i „płaskie”. Pierwsze widzimy w tragedii, gdzie postacie dopełniają się w toku akcji, stając się powoli czymś innym niż były na początku wieczoru. Postacie „płaskie”, właściwe komediom, pozostają niezmiennie; intryga dostarcza im tylko okazji do ukazywania w różnych okolicznościach tego samego oblicza.

Typy „płaskie” bywają czasami też, jak Mr. Pickwick, bohaterami powieści, klasyczne postacie powieściowe należą jednak, razem z królem Learem, Macbethem Othellem, do rodzaju „wypukłego”, dopełniając się w miarę opowiadania. Do tej kategorii należą zarówno Moll Flanders i Captain Singleton, jak Raffaël z *Peau de chagrin*, Madame Bovary i Frédéric Moreau z *Education sentimentale*.

Powyższa klasyfikacja postaci powieściowych pozwala już na pierwszy rzut oka, przy modnych przed kilkunastu laty przeróbkach powieści na scenę, rozpoznać jakiego rodzaju sztukę można zrobić z danej powieści.

Każde dzieło sztuki zawiera jakąś próbę uporządkowania według wartości imaginacyjnego świata artysty. Porządek ten odbiega zazwyczaj od znanego nam z pospolitego doświadczenia. Melodramat dzieli świat na postacie białe i czarne, komedia przeprowadza subtelną granicę między tym co jest serio i tym co jest śmieszne, gdy w życiu potocznym elementy te są dziwnie pomieszane: „Nie jesteście ani zimni ani gorący”... „*du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*”. Jest jasne, że tylko powieść przedstawiająca losy swych postaci w ich zmiennym i całkowitym przebiegu daje możliwość, jakiejś bardziej interesującej próby wprowadzenia do spraw ludzkich głębszej miary czasu i uporządkowania ich na nowo według wartości. Dawnym powieściopisarzom nie wystarczało na to normalny rozmiar powieści; dodawali do niej epilogi rzucające ostatnie spojrzenie na niknące w oddali postacie.

Powieściopisarz piszący o sobie samym widzi w lustrze osobistość tymczasową, szarpaną jeszcze przez tysiąc nadziei, interviewowaną przez dziennikarzy, niedojrzałą do katastrofy piątego aktu ani epilogu powieści i, w planie fikcyjnym, mogącą dostarczyć materiału tylko do postaci typu „płaskiego”, należąca przez samą swą strukturę do świata komedii.

O PEWNEJ TRADYCJI KLASYCZNEJ

Koniec lutego. Na południowym brzegu lasu słońce jest ciepłe. Żółta, sucha trawa szeleści pod stopami. Gładkie pnie buków stoją nachylone ku słońcu, wśród nich dąb pokryty rdzawym liściem i obwieszony girlandami ciemno-zielonego bluszczu.

W ciepłym słońcu przedwiośnia, naprzeciw białego łańcucha gór, zimowy dąb wydaje się pogodny. Na próżno staram się odnaleźć w nim ślad tego co widzieli w dębach Coleridge:

*The oak that in summer was sweet to hear
And rustled its leaves in the fall of the year
And whistled and roared in the winter alone —*

i Słowacki:

*Liść co pozostał — zwiędły i zwalany —
Szumiał po drzewie jak krwawe łachmany.
Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimą i latem wisiał na konarze;
Kruk go się lękał, a jeleni pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze,
Bo z wiatrem liść ów łopotał straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze...*

Romantycznym obrazom przeczy ufnosć wiecznie zielonego bluszczu, owijającego się dokoła czarnych na tle nieba gałęzi. Jest to więc widocznie dąb klasycyzujący, bukoliczny.

Według tradycji bluszcz owija się dokoła drzew najsilniejszych, przeznaczonych do wiecznego trwania, omijając słabe lub spróchniałe. Nie widzę go też na sąsiednich bukach, których życie jest znacznie krótsze od życia dębu. Nie zależy to widocznie od światła, bo oba rodzaje drzew rzucają cień lekki, jak mówili poeci starożytności i baroku, odróżniający cień gęsty i lekki.

Pozostała po nich klasyfikacja według cienia i obwieszczanych przez drzewa wróżb, będąca przez długie wieki źródłem rozrywki pieszych i konnych podróży, stała się rodzajem wiedzy tajemnej od kiedy nawet literaci przestali czytać wiersze łacińskie. Coraz trudniej zresztą o same teksty tych wierszy. Żaden wydawca nie podjął się po Teubnerze drukowania tekstów poprawnych, opracowanych przez filologów. Z dwujęzycznej Collection Guillaume Budé pozostały w handlu tylko luźne tomy. Dawno też nie widziałem żadnego nowego tomu Loeb's Classical Library. Teksty wydawnictw bardziej popularnych są zniekształcone do nieczytelności przez błędy. W braku pism autorów klasycznych mniej znanych, od paru pokoleń nikt nie próbował dokonać ich nowego wyboru, odpowiadającego naszym obecnym zainteresowaniom. W szkołach czytane są od wieków wciąż te same teksty, wybrane dla potrzeb naszych odległych antenatów. Niedawno czytałem list otwarty nauczyciela łaciny, błagającego o skreślenie wreszcie z programu szkolnego ogłupiających młodzież lektur łacińskich. Nie jestem pewien czy zamiłowanie do ogłupiania się łaciną minęło bezpowrotnie. Kiedy przed kilku laty niemiecki wydawca Haimera zaczął — wśród ruin wypełniających wówczas środek Monachium — wydawać autorów łacińskich, książki jego zostały tak szybko rozchwytywane, że żaden księgarz nie umiał mi ich dostarczyć. Pewne natomiast wydaje się, że podzielona dziś na zaścianki, zamknięta dla książek murami celnymi, Europa Zachodnia nie potrafi więcej podźwignąć spadku po Grekach i Rzymianach, na których zresztą — w braku wystarczających tytułów — coraz mniej się powołuje.

Odepchnięcie tego spadku nie prowadzi bynajmniej do uwolnienia się odeń, ale do przeżuwania go z drugiej i trzeciej ręki, bez znajomości autentycznych wzorów. Ikonoklasta nawet powtarzając tylko gest Herostratesa. Poróżniony z Marinettim, Papini ogłosił rozprawę dowodzącą, że futurysta miał swych prekursorów już w dawnej Grecji.

W naszym wieku nihilizmu nie słyszymy wyraźnie w poezji starożytnej głosów euforii zrodzonej z bliskiego obcowania z imaginacyjnym światem Greków i z bogami Olimpu. Znacznie wyraźniej dochodzą nas z głębi stuleci głosy tragiczne lub pełne goryczy. Postaramy się w nie wsłuchać. *Dulcia non ferimus, suco renovemur amaro*. Niektóre z nich wydają się znajome, te zwłaszcza które mówią o niepewności i wąskich granicach, w jakich obraca się życie i twórczość pisarza. Widok dębu z klasycznym powojem nasuwa mi na myśl bluszczowosć egzystencji poetów rzymskich szukających oparcia u cesarów i ich faworytów. Ody, panegiriki, pochwalne apostrofy i aluzje do znajdujących

się właśnie u władzy i dostępnych dla pochlebstwa potentatów obfitują — zawsze sztywne, fałszywe i nieprzyjemne w dotknięciu — w poezji cesarstwa rzymskiego, jak dziś pod słońcem Stalina.

Nawet w tak nieoficjalnym utworze jak *Ars amandi* Owidiusza znajdujemy pochlebną aluzję do Augusta i Juliusza Cezara, cieszących się z łaski poetów szczególnymi względami Wenerii. I to zresztą nie ocaliło autora *Metamorfóz* od zesłania do jednej z „bardziej oddalonych” prowincji imperium. Panegiryki pisali sceptycy jak Horacy i same nawet ofiary cezaryzmu jak Wirgiliusz, który zaczął swą karierę poetycką jako uchodźca, wypędzony z Mantui przez żołnierzy dzielących między siebie ziemię. Same panegiriki nie wystarczały dla pozyskania wysokiej protekcji. Dla uświetnienia tego lub innego panowania i związania go z przerwana tradycją, układano poematy oficjalne, obdarzające zwycięzców w wojnie cywilnej bajecznymi antenatami. W te oficjalne ramy poeci wpłatali — w dygresjach i jak gdyby ukradkiem — wiersze, których sława miała przeżyć o półtora tysiąca lat rzymskie imperium. Z poetów wieku Augusta Owidiusz zdawał się najmniej liczyć z wymaganiami nowego reżimu. Swoboda jego inwencji wiąże się być może — niezależnie od bezpośrednich przyczyn niełaski — z jego śmiercią na zesłaniu.

Te grube cienie złotego wieku stają się bardziej zrozumiałe gdy bierzemy pod uwagę realia materialne tamtych czasów. Rzecz działa się przed wynalazkiem druku i poeci musieli zwracać się do publiczności ustnie, zanim fama pozwoliła im zatrudnić kopiistów. Tylko dwór cesarski i jego przybudówki dostarczały publiczności decydującej o sławie oraz protektorów zdolnych zapewnić poetom czas niezbędny do szlifowania wierszy. Dla pozyskania tych protektorów Statius opisywał ich pałace i ogrody a nawet papugi.

Na stronie od innych stoi Martialis, który nie znalazł żadnej wysokiej protekcji i do cezara zwraca się tylko w obronie przed rygorami cenzury prawa do żartu: *Innocuos censura potest permitttere lusus*. Wiersze jego nie są jednak wcale niewinne: są to uderzenia batem rozdzielane ku radości gawiedzi hojną ręką różnym znanym lecz mniej wpływowym osobistościom. W braku mecenasów hiszpański poeta żył z sławy paszkwilanta. Delikatne wiersze rozsiane po jego pismach jak kwiaty na zmiłowisku świadczą, że być może nie wybrał tej kariery z własnego upodobania.

Martialis, którego gorycz odbija się od pogodnej twórczości Horacego i Wirginiusza, jest najlepszym przewodnikiem po warunkach egzystencji poetów wolnych, nie korzystających z wysokich protekcji. W swym wierszu żegnającym Rzym — *jam parce lasso, Roma, gratulatori* — pisze, że składając przez cały dzień komplementy, zmieszany z tłumem lokajów i ubogich klientów, mógł zarobić zaledwie sto ołowianych groszy, gdy cyrkowiec Scorpis w ciągu jednej godziny zgarniał 15 worków złota. Nie pragnę więcej żadnych bogactw — pisze dalej — ani majątków

w Apulii i Egipcie, ani winnie w Kampanii; chciałbym zasnąć (X, 74).

Dodać należy, że Martialis pochodził z dobrej rodziny hiszpańskiej, posiadał obywatelstwo rzymskie potwierdzone dekretemi dwóch cesarzy, w Rzymie zaś dorobił się własnego domu i willi podmiejskiej (IX, 97).

Z własnych jego słów dowiadujemy się, że Martialis był najpopularniejszym poetą swego czasu, czytany nawet w Brytanii, która w ówczesnym świecie zajmowała miejsce dzisiejszej Albanii lub Kurdystanu (XI, 3). Ale cóż z tego? pyta; moja sakiewka nie o tym nie wie. Rzymianie — pisze — cenią tylko poetów zmarłych: za życia autora *Eneidy* czytali Enniusza, Owidiusza zaś żywego znała tylko jedna Korynna, dla której pisane są jego *Amores*. Jeżeli sławę trzeba okupić śmiercią, wcale mi się do niej nie śpieszy (V, 10). Wreszcie, opuszczając Rzym, pisze pełen goryczy do czytelników: Nic nie mam z wami wspólnego (XI, 2).

W tym właśnie czasie, u poetów schyłonych nad odami do cezara i gratulacjami dla Trimalchionów, jesteśmy świadkami narodzin niezmiernie wysokiego pojęcia o znaczeniu i randze poety; pojęć które — ustalone wówczas dla całego świata zachodniego — miały przetrwać niemal do naszych dni. Pojęcia te, jak można sądzić z wyznań Martialisa, nie miały żadnych podstaw w ówczesnym stanowisku społecznym poetów, ani w ich roli dekoratorów, obwieszających oficjalnymi girlandami wierszy łuki triumfalne i pałace cesarzy. Dumne strofy, w których poeci zło tego wieku obwieszczają o wyższości swego geniuszu i nieśmiertelności dzieł, zostały nam wiernie przekazane i pozwalają jasno zrozumieć zawartą w nich myśl.

W ogólnie znanym wierszu *Exegi monumentum aere perennius* (Ody III, 20) Horacy pisze wyraźnie, że uważa swe dzieło poetyckie za „wyższe od piramid” ponieważ *dicar... primus Aeolium carmen ad Italos deduxisse modos*, to znaczy: będą mówili o mnie, że pierwszy wprowadziłem do poezji rzymskiej strofę saficką. Tę samą myśl znajdujemy w odzie do Mecenasa (I, 1), gdzie poeta mówi o uczonym Laurze, który oddzielił go od pospółstwa i wprowadził między bogów, gdy muzy nastroiły jego lutnie na ton lesbijski (Lesbos — ojczyzna Safony).

Nie mniej wyraźny jest Martialis, mówiący o sztuce „szlifowania” wierszy, będącej najcenniejszym darem bogini Romy, ocalającym poetę od leniwych wód Lety, rzeki zapomnienia (X, 2). Korzenie dzikiej figi — pisze — rozsadziły marmury zdobiące mauzoleum Messalli, poganiacz mułów śmieje się z rozsypujących się w gruzy koni na grobowcu Pessienusa Crispusa, jego natomiast wierszy nie uprowadzą rozbójnicy, i bieg stuleci doda im jedynie nowego blasku.

W pozbawionej skromności ocenie swych wierszy Horacy i Martialis — dla krótkości pomijam tu innych poetów tzw. zło tego wieku — nie powołują się wcale na tematy poruszane w ich utworach. Istotnie, ani ody do cezara, ani rady udzielane

przez Horacego przyjaciółom, aby pili wino nie myśląc o jutrze i nie wstydziła się miłości do niewolnicy, ani tym bardziej „sprośne stronicę” Martialisa nie dają powodu do stawiania ich wierszy powyżej piramid.

Obaj poeci czerpią swą pychę z formalnej doskonałości swych wierszy, z autonomicznej magii słowa, mającej inny zakres i inne terminy niż panowanie cesarzy i trwanie imperiów.

Nie inaczej rozumieli to współcześni czytelnicy. Komitet piętnastu, prezydujący świętu nowego stulecia Rzymu, zaprosił Horacego do napisania na tę uroczystość *Carmen saeculare* nie z powodu *nunc est bibendum* i ód do Augusta, lecz z racji doskonałego rzemiosła poety, nadającego monumentalne formy słowne każdemu tematowi i zatrzymującego w pamięci pokoleń najbardziej nawet błahę okoliczności.

Zasadnicza podrzędność tematu czy pretekstu wierszy pozwalała poetom złotego wieku, gdy chodziło o zdobycie czasu i warunków niezbędnych do „szlifowania” ich utworów, wpłatać w ich pieśni pochlebstwa i oszczerstwa jako rzecz bez znaczenia, nieszkodzącą doskonałości formalnej.

Kult doskonale pięknego słowa, oderwanego od wszelkich innych wartości, miał dla nich coś absolutnego, deklasującego znaczenie innych spraw. Jak gdyby przez zuchwałą przekorę, poeci rzucali to bezzecne słowo na nawóz pochlebstw, pewni że nawet na „sprośnej stronicy” nie utraci nic z swego szlifowanego blasku. Takie sąsiedztwo rzeczy *ex definitione* absolutnie pięknych z rzeczami budzącymi wstyd i zakłopotanie przypomina niektóre stronicę Tertulliana, i skojarzenie to nie jest przypadkowe, ponieważ stoimy tu wobec innej wersji tego co Flaubert nazywał *la religion de la beauté* a Edmond de Goncourt *la religion littéraire*.

Mylnym byłoby widzieć w tych pojęciach jedynie wytwór okoliczności towarzyszących początkom cesarstwa rzymskiego. Aby ocenić całą skrajność postawy ówczesnych poetów, wypada porównać ją z napisanymi w tymże czasie i w najbliższym sąsiedztwie dworu Nerona stronicami Seneki, traktującymi o godności i niezależności osobistej i należącymi do najpiękniejszych jakie na ten temat kiedykolwiek napisano.

Rzymskie pojęcia o autonomicznej wartości poezji przyświecały kilkudziesięciu pokoleniom poetów dworskich, dając im złudzenie godności osobistej i odrębności ich powołania. Odrębność ta była zresztą ogólnie uznawana. Petrarca, żyjący na dworze papieskim w Awinionie, w chwili wieńczenia go laurem na Kapitolu był tylko autorem sonetów do Madonny Laury. O żywotności tej klasycznej tradycji nawet w bliskich nam czasach świadczą może chociażby sonet do cara Aleksandra II znajdujący się w *Les Trophées* J.-M. de Heredia.

Liczne jej ślady znajdziemy wreszcie i u romantyków odrzucających na ogół tradycje klasyczne i czerpiących z wzorów barokowych. W pierwszej pieśni *Don Juana* Byron, zwracając się

do poetów angielskich pogodzonych z życiem i polityką, robi najklasyczniejsze odróżnienie:

*You're shabby fellows — true — but poets still
And duly seated on the immortal hill.*

Pod klasycznym dębem, wyrosłym w dawnej rzymskiej prowincji, przychodzi mi na myśl pytanie czy próby, podejmowane w różnych czasach przez poetów w celu wyjścia z magicznego kręgu pojęć oderwanych od innych spraw ludzkich, nie są w ogóle skazane na niepowodzenie. Sądy ich o sprawach doczesnych nie zdobyły dotąd autorytetu. Tak dziś jak w czasach Juliusza Cezara, w chwili trwogi o przyszłość ludy zwracają się nie do sławnych poetów, lecz zazwyczaj do pierwszego z brzegu wojskowego.

Nie jest również jasne, czy kondycja pisarza uległa od czasów Augusta jakiejś zasadniczej poprawie. Nawet w krajach skądinąd wolnych warunki produkcji książek nakładają na pisarza uciążliwe serwituty, jak chociażby konieczność schlebienia gustom narastającego wciąż tłumu czytelników, składającego się w znacznej części z małych Nabuchodonozorów, którym jedynie ich liczba i wzajemna nienawiść nie pozwalają na krwawe szaleństwa Nerona i Kaliguli. Pytanie czy warunki te są do przyjęcia pozostają wciąż otwarte. Nie wiem czy pisarze emigracyjni cenią dostatecznie swą wolność dziką, na marginesie społeczeństw zorganizowanych.



Okolo 1936 spotkałem raz Juliana Tuwima w pewnym klubie literackim, gdzie była właśnie mowa o sytuacji społecznej pisarza. W dyskusji Tuwim zabrał głos i powiedział, że to, co najbardziej oddala go od innych, dając mu poczucie odrębności i samotności — to wyłączność jego rzemiosła poetyckiego i władzy nad słowem. Myśl tę wypowiedział zwięźle i jasno, jak się mówi o rzeczach niemal oczywistych. Uderzyła mnie wówczas jej klasyczność i bliskość wieku Augusta.

Niespodziana być może dla wielu jego czytelników wierność Tuwima dla jednej z najbardziej uderzających tradycji klasycznych rzuca pewne światło na jego powrót do kraju i podporządkowanie się panującym tam wymaganiom. Inni cofnęli się przed wyborem między milczeniem i odą do cezara. Zamknięty w poczuciu odrębności swego powołania, Tuwim nie miał takich wątpliwości, pewien — jak Horacy — że muza jego, z natury swej niezależna od rygorów i terminów ważnych dla wszystkich innych spraw ludzkich, prześlizgnie się przez sieci cenzury i serwitutów.

W moim osobistym sądzie nie mogę pominąć też okoliczności, że Tuwim wracał z emigracji do pisarzy pozostałych w kraju, aby dzielić z nim ich los.

Być może wreszcie, mając za sobą długą karierę literacką, bogatą w różne przypadki, Tuwim miał mniej niż inni wygórowane pojęcie o odpowiedzialności poety przed współczesnymi, pomny na słowa Martialisa, że najslawniejszy nawet poeta jest mniej znany od konia wyścigowego:

*Notus gentibus ille Martialis
Et notus populis — quid invidetis?
Non sum Andraemone notior caballo.*

Paweł HOSTOWIEC

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZNIE

Największa na emigracji

KSIEGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIAŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

DO DOMU — SZKOŁY — ŚWIETLICY

PANTEON POLSKI

Teczka zawierająca 20 kolorowych plansz, przedstawiających historyczne postacie polskie, według rysunku Zofii Stryjeńskiej, wykonane techniką jedwabio-druku przez T. Wallicha. — Format 17 cm. x 24 cm.

Spis plansz:

Mikołaj Kopernik — Stefan Czarnecki — Jan Długosz —
Stanisław Żółkiewski — Artur Grottger — Kazimierz
Pułaski — Stanisław Moniuszko — Wit Stwoszc — Hen-
ryk Dąbrowski — Jan Matejko — Adam Mickiewicz —
Jan Kiliński — Tadeusz Kościuszko — Ignacy Paderewski
— Henryk Sienkiewicz — Stanisław Wyspiański — Hugo
Kollataj — Fryderyk Szopen — Maria Skłodowska-Curie
— Bartosz Głowacki. —

Przy każdej planszy krótka notatka odnosząca się
do danej postaci.

Cena fr. fr. 1.000; w Ameryce dolarów 5.

Warunki sprzedaży: Do Belgii, Niemiec, Szwecji, Szwaj-
carii, Luksemburga oraz na terenie Francji, teczkę wysy-
łamy za zaliczeniem pocztowym — płatną przy odbiorze.
Do innych krajów po uprzednim otrzymaniu należności.

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4°

Telefon DANton 51-09

Metro : Sully-Morland albo Pont-Marie. Autobusy : Nr. 86 oraz 67.

Pro domo mea

Prezentując czytelnikom „Kultury” dwie pieśni Odyssei w nowej, trzeciej już wersji mojego przekładu, sądzę, że winien je poprzedzić kilku niezbędnymi uwagami. Przede wszystkim pragnę wyjaśnić, dlaczego tak uporczywie powracam do grzechu młodości, jakim jest ten przekład. Mógłbym uderzyć w nutę liryczną i wyznać, że właśnie z pomocą Odyssei chcę jeszcze raz przeżyć moją młodość lub tylko oddać się niewinnej iluzji młodości. Ale ta magia jest osobistą sprawą tłumacza, bez znaczenia dla czytelnika. Czytelnika mogą zaciekać najwyżej obiektywne komentarze do faktu, iż rozpocząłem tę pracę jeszcze przed pierwszą wojną światową, a oto już trzecia nam się uśmiecha swą atomową-wodorową i lichą wie jaką jeszcze mordą, a ja wciąż siedzę i siedzę i grzybieję nad tym samym tekstem. Poprawiam go, wygładzam, szlifuję i nie mogę uznać za ostateczny. Byłaby to mania doskonałości, równie zgubna, co chwalebna? W każdym razie absurdalna, skoro tylko śmierć kładzie kres ambicjom perfekcjonisty.

Przekładanie utworów takich jak Odysseja można przyrównać do pracy pianisty, który przez całe życie dąży do idealnej interpretacji Bacha, Beethovena, Chopina itd. Gdy w pełni tak zwanej dojrzałości artystycznej wydaje się mu, że osiągnął maksimum tego, na co go stać, i że lepiej już grać nie potrafi, nagle, wraz z pierwszą siwizną we włosach, odkrywa, że jeszcze mu daleko do upragnionych szczytów. I jeśli ma dosyć sił, zapału i dosyć pokory, zapomina o wszystkich owacjach i kwiatach, jakimi go nagradzano za dotychczasowe „mistrzowskie” wykonania np. Suty angielskiej, Hammerklaviersonaty lub najtrudniejszych etud Chopina, i zabiera się *da capo* do „opracowania” tych dzieł tak, jakby do tej pory nigdy ich nie grał. Jeszcze pod innym względem ambicje tłumacza Homera i w ogóle tzw. arcydzieł tzw. klasycznej literatury przypominają ambicje muzyka-wirtuoza. Podobnie jak on stara się tłumaczyć „odtworzyć” na swój własny sposób *dzieła dobrze znane*. Liczy się więc z tym, że czytelnik może jego przekład porównać z oryginałem lub z innymi

istniejącymi przekładami tego samego tekstu. Co innego tłumacz utworów nowych, nieznanych przynajmniej w obrębie języka, na który on przekłada. Często przyświeca mu tylko jeden, nader skromny cel: zaznajomienie czytelnika z treścią utworu. Taki tłumacz pozwala sobie czasem na licencję, ułatwiając osiągnięcie tego celu, ze szkodą dla artyzmu. I jak mniej sumienny muzyk, grając nieznaną utwór, może braki swej gry zwać na kompozycję, tak i tłumacz może obciążyć autora oryginału brzemieniem własnych win. Na szczęście tłumacz Homera podlega wszechstronnej kontroli. Kontrolują go i filologowie i krytycy literaccy, no i sama publiczność, rozmiłowana w poezji. Kontrola publiczności zależy od rozwoju poglądów estetycznych (i nie tylko estetycznych, niekiedy nawet i... politycznych), od ewolucji smaku i mody. Ta ewolucja dokonywała się pod ciśnieniem prądów, działających zgodnie z tzw. duchem czasu. Można jak niżej podpisany, być na bakier i z duchem i z ciałem swego czasu, ale trudno nie brać w rachubę niektórych jego kaprysów. A zatem, chcąc nie chcąc, i ja muszę, chociażby pośrednio przyjąć, pewne upodobania i odrzyzy mojej (jaka ona tam moja!) „epoki”. A przyjmować je muszę z dobrodziejstwem, czy też z przekleństwem inwentarza, chyba że zgodzę się być istotą anachroniczną lub literackim brzuchomówcą.

Nie wszystkie zmiany, dokonane w obecnej wersji mego przekładu, są ustępstwem dla upiora czasu czy też paniczną przed nim kapitulacją. Broń boże Apollo! Ja też się zmieniłem. Jeszcze nie jestem starcem, lecz dane mi było przeżyć już kilka smakowitych epok i niejeden mnie już straszył duch czasu. Zmieniły się moje oczy, moje usta, moje uszy. Tak więc i w moich własnych uszach dziwnie brzmią dzisiaj niektóre słowa, formy gramatyczne, zwroty, a nawet całe zdania, które niegdyś, w czasach drzewiejszych, brzmiały zupełnie „naturalnie”. Zacząłem tłumaczyć Odyseję na skrzyżowaniu dwóch epok, rzec można dwóch stuleci, jeśli przyjmiemy dosyć już dziś rozpowszechniony pogląd, że wiek dwudziesty nie skończył się 31 grudnia 1900 roku, lecz 28 lipca 1914. (Pierwszy raz spotkałem się z tą, głęboko uzasadnioną, poprawką kalendarza dziejowego w znakomitym eseju polskiego humanisty Jerzego Stempowskiego, drukowanym w przedwojennych „Wiadomościach Literackich”). Przejście z jednej epoki do drugiej było bolesne dla polskiego stylu literackiego, szczególnie w poezji. Schyłek bowiem dziewiętnastego wieku — więc lata 1910-1914 był jeszcze odurzony neoromantyzmem, który na spokojną (?) podówcza ziemię ściągnął pioruny z jasnego nieba, a także z zaświatów. Powrót do stylistycznej trzeźwości nastąpił dzięki nie tylko literackim wydarzeniom.

Przed pierwszą wielką wojną, pięknoduchowie starego świata bardzo byli znudzeni tym, do czego dzisiaj wzdychamy. A więc bezpieczeństwem oraz monotonią uregulowanego życia i uregulowanej śmierci. Żądę przygód i — co tu ukrywać? — katastrof zaspakajała im Sztuka (koniecznie przez wielkie S). Potężnych dreszczy dostarczał intelektualnej Europie nietzscheanizm i wag-

neryzm. Ponadto we Włoszech i w Rosji — pseudobohaterski lecz dynamiczny futurizm oraz pokrewne mu kierunki. Małe lokalne wojny, przygrywki do wielkiej, dodawały tym kierunkom rozkosznych witamin. Marinetti czuł się wniebowzięty bombardowaniem Adrianopola, a włoska wojenka w Trypolisie była dlań krynicą szczęścia. U nas w Polsce upajano się czym innym. Stan umysłów ówczesnej „inteligencji” uwiecznił Wyspiański w „Weselu”. Ale i nietzscheanizm odbijał się mocnym echem o Skalne Podhale i Tatry, a Walkirie galopowały po nadwiślańskich obłokach tak swobodnie jak na ujeżdżalniach Walhalli. Zwłaszcza że mieliśmy znakomitego tenora, który śpiewał Wagnera nie tylko w operze lwowskiej, ale i w samym Bayreuth. Był to rodzony stryj Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Tak więc do mody, czy też konwensu, obowiązującego przed pierwszą wojną w „oświeconych odłamach” polskiego społeczeństwa, szczególnie w Galicji, należały: patos, koturn, archaizacja, stylizacja na ludowość, w każdym razie — niezwykłość, nawet nienaturalność wystąpienia i dykcji. Zarówno w poezji, jak i w heroicznej prozie i w dramacie. A że wspomnieliśmy śp. Juliusza Kadena-Bandrowskiego, nie zapominajmy, że z owych „oświeconych odłamów” przeważnie rekrutowali się pierwsi szeregowcy i oficerowie Związku Strzeleckiego. Zanim jednak mundur legionowy opisał piersi byłych wagnerzystów i nietzscheanistów, „naga dusza” tak dziś niesłusznie szarpanego Przybyszewskiego lubiła od czasu do czasu przykrywać swój bezwstyd teatralną zbroją, nałożoną na chłopską siermięgę. W latach 1900-1914 było się współczesnym, było się „moderne” im zacieklej unikało się powszedniości („a tu pospolitość skrzeczy, a tu pospolitość tłoczy”), im więcej podnięt czerpało się z dawności, z odległych form minionego życia, z nieżywych już symbolów i metafor. Na progu tzw. stulecia elektryczności i pary ulegli u nas archaizacji mniej więcej wszyscy poeci, którym ani ta elektryczność, ani para nie uderzyły do głowy — jak futurystom. Ci tak bardzo zelektryfikowali swój język, aż im się spalił w tysiąc woltowym napięciu.

Oto genealogia mojego przekładu Odysei w pierwszej redakcji. Jeśli ta redakcja grzeszyła nadmiarem archaizmów, czy wyrażen chłopskich, nie były to prywatne wybryki młodzieńczego tłumacza, lecz samej „epoki”, w której ten przekład powstawał. O ile były to wybryki. Odyseję zacząłem tłumaczyć w roku 1914, a więc zaledwie siedem lat po śmierci Wyspiańskiego. Jego majestat wciąż jeszcze przytłaczał ówczesną sztukę, szczególnie w zaborze austriackim. Od tyrańskich jego wpływów nie potrafiła się uwolnić wyobraźnia językowa poetów, nawet dojrzalszych niż kilkunastoletni tłumacz Odysei, uczeń c.k. VII-go gimnazjum we Lwowie. W owym czasie archaizacja była *unowocześnieniem* języka i stylu. Na innym miejscu powiadam, ile mój przekład zawdzięcza Wyspiańskiemu, jego wizji greckiego antyku, mykeńskich mitów i urokiem jego archaiczno-ludowego języka. Nie wstydzę się tego dziedzictwa. Również i w obecnej

wersji przekładu zachowuję niektóre nazwy w tej formie, w jakiej znalazłem je u Wyspiańskiego. A więc : Odyss, Odyseję, Menelaj — zamiast Odysseusz, Menelaus. Wpływ Wyspiańskiego zaczął błędnąć w Polsce niepodległej, gdy tak dużymi ofiarami zdobyta powszedniość (o którą wszak i Wyspiański walczył w swych dramatach i rapsodach) zaczęła domagać się razowca poezji. Przejadły się obrzędowe korowaje.

Odyseja nigdy nie była i nie jest chlebem powszednim dla duszy i nawet u ludzi szczęśliwych, jeśli tacy w ogóle istnieją, nie powinna rezygnować ze swego odświętnego wyglądu. Ale być może, że obecnej „epoce” lepiej smakuje zwyczajność, niż niezwykłość, której nam nie szczędzą twórcy tej epoki. I przeto Homera, należącego do wszystkich epok, trzeba by dziś podawać na surowo, *au naturel*, bez przypraw zaostrzających apetyt epokom, głodniejszym od naszej. Ten właśnie użytkowy cel mi przyswiecał, kiedy wiosną 1944 roku jeszcze raz zabrałem się do „rewizji” mojego tłumaczenia. Był to rok Monte Cassina, alianckiej inwazji Francji i powstania warszawskiego. Niech mi to nie będzie poczytywane za wdzięczenie się, gdy powiem, że nową, trzecią redakcję tłumaczenia Odysei podjąłem z myślą o nowych naszych Odyssach i Telemachach. Chcąc tym ludziom ofiarować Odyseję — należy im wyjść naprzeciw. Ale nie za daleko. Wystarczy — w pół drogi. Bardzo będę się cieszył, spacerując po polach elizejskich (tych zaświatowych, nie — paryskich), gdy dowiem się, że moje tłumaczenie Odysei zbłądziło pod tak zwane strzechy. (Nie wątpię, że w Polsce przyszłości prawdziwych strzech już nie będzie : wszystkie chałupy kryte będą blachą albo dachówką). Wolę jednak wyrzec się popularności mego przekładu u tzw. szerokich mas, jeżeli ten sukces ma być osiągnięty kosztem rezygnacji z tzw. artystycznych zamierzeń. Nie podzielam bowiem zdania tych, co pragną za wszelką cenę udostępnić masom treść poematu. Nawet za cenę poezji. Odyseja należy do takich dzieł, do których czytelnik sam musi trochę się pofatygować, na które nawet wspinać się musi, choćby przy tej wspinaczce stracił dech, lub skórę zdarł z rąk jak Odyss w piątej pieśni eposu. Więc czekam na czytelnika przyszłości w polowie (asfaltowej n.b.) drogi.

Pierwsze wydanie tego tłumaczenia ukazało się we Lwowie w roku 1924, łącznym nakładem nieodżałowanej pamięci Alfreda Altenberga oraz Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, również nieodżałowanej pamięci, chociaż w dzisiejszej Polsce istnieje i działa pozostałość po dawnym, świetnym lwowskim Ossolinum. Grzechem młodości nazwałem ten przekład. Starałem się poprawić go w późniejszych latach, bardziej już w „duchu” tych lat, czego dowodem — drugie wydanie, warszawskie, ogłoszone w roku 1931 w wydawnictwie Jakuba Mortkowicza, nieodżałowanej pamięci.

Ale cóż to za konfesjonat? I czy warto odżegnawać się od grzechów młodości? Czy wraz z grzechami nie zatracą się także jej czar, jej blask, jej zapach? Nie wskrzesi ich później żadne

czarnoksiężstwo. Wypada też zastanowić się, czy jest rzeczą słuszną uzależniać styl przekładu nieśmiertelnych arcydzieł od stylu, panującego przelotnie w danej „epoce”? Epoki zmieniają się teraz w błyskawicznym tempie, a Homer trwa. Jeśli dziś razi (mnie — nie!) język „wyszukany”, za parę lat razić może język „naturalny”. I znów zrodzi się potrzeba usztucznienia stylu, odcodziennienia frazy. I tak w kółko aż po kres wszystkich epok, języków i stylów. Wobec tego, czy nie lepiej powiedzieć sobie : do diabła z duchami czasu, ze stylami epok, i tłumaczyć Homera tak, jak w naszym rozumieniu winien on być tłumaczony bez względu na to, kiedy go się tłumaczy? Styl, Styl! Skoro już wzywamy diabła, zacytujmy, co powiedział Paul Valéry w swym ostatnim wielkim dziele „Mon Faust” : *le style c'est le diable!*

Ale sam Homer archaizował i na to nie ma rady i żaden poetycki tłumacz Homera nie może się wyrzec archaizacji. O jednym tylko winien on pamiętać : mowa Homera jest zawsze jasna i przeźroczysta. Nie zasłania ona czytelnikowi widoku na świat poematu, jak mowa tylu dzisiejszych poetów, poetów hermetycznych, a więc Hermesa synów raczej, niż Apollina. Trzeźwa i opanowana mowa Homera nigdy jednak nie przestaje być śpiewem. Ten śpiew otwiera nam szerokie perspektywy lądowe i morskie. Pozwala oglądać nie tylko ziemię zaludnioną żywymi istotami, ale i podziemia ze światem umarłych, a także te regiony, gdzie przebywają „nieśmiertelni, szczęśliwi bogowie”. Pieśń Homera pozwala nam uczestniczyć zarówno w „realnych”, jak i w nieprawdopodobnych, baśniowych przygodach, w dramatycznych i w groteskowych perypetiach powrotu Odyssa do „morzem oblanej Itaki”, oraz w krwawej tragedii, jaka się tam rozegrała po jego powrocie.

II.

Itaka! Kiedy w upalnym sierpniu Roku Pańskiego 1953, a w czternastym roku mej bezdomności, na peryferiach Nowego Jorku tłumaczyłem na nowo piątą, gniewem Pozejdona huczącą pieśń Odysei, straszliwa aktualność przypominała światu o istnieniu Itaki. Przypominał się Pozejdon trzęsący ziemią, Pozejdon *ennosigajos*, Pozejdon *ennosichton*. Po tylu wiekach kamiennego snu na kamiennym łonie mitologii i sztuki, obudził się w „życiu” i zatargał wyspami archipelagu jońskiego : Itaką, Zante, Kefalenią. Zburzył miasta, wytracił ludzi. Ponad tysiąc mieszkańców tych wysp poniosło śmierć pod gruzami, a kto całą uniół głowę — stał się bezdomnym tułaczem. Wstyd mówić o własnej bezdomności, gdy *pro domo mea* spisuję te uwagi.

Zdawało się, że te wyspy : Itaka, Zante (u Homera : Zakynthos, leśny, „hyleeis Zakynthos”) pięć razy wspomniany w Odysei) oraz Cefalonía (Kefalenia — cztery razy wspomniana w Odysei) istnieją tylko w Homerowej poezji. Z Cefalonii

i z Zacyntu zjechali się do Itaki zalotnicy, młodzieńcy z najlepszych domów, aby pod nieobecność Odyssa ubiegać się o rękę Penelopy. Jak wiadomo: całymi latami hulali na królewskim dworze, spijali królewskie wina, zżerali królewski dobytek. Cefalończyków to i Zacyntian wymordował Odyss po powrocie, pospołu z „kolaborantami” domowego chowu. A nam się zdawało, że od tego czasu na tych mitycznych wyspach nie ma już życia, ni ludzi. Byli, byli, bo zginęli w sierpniu 1953 roku. Lecz pamięć o nich będzie trwała krócej niż pamięć ich przodków z Odyssei, którzy zapewne nigdy nie istnieli w tzw. rzeczywistości. Uprzytomniło nam to dopiero trzęsienie ziemi. Przez kilka dni potworne nieszczęście Itaki i okolicznych wysp było sensacją nawet w gazetkach, przeznaczonych dla takich czytelników, którzy nigdy nie słyszeli o Homerze, ani o jego bohaterach. Zamieścili też owe gazetki fotografie zniszczonych osiedli, zwalonych domów i will z misternie kutymi galerijkami, poskręcanyymi w śmiertelnym skurczu. Na strząskanych konsolach zwisały zerwane balustrady ukwieconych jeszcze balkonów, na których wieczorną porą tak miło było chłonać słony spokój jonńskiego oddechu.

W epoce takich cudów, jak bomby atomowe i bomby wodoro-we, starożytny bóg oznajmił swą obecność ludziom, bawiącym się w bogów. Pojawił się akurat tam, gdzie grasował był ongi, w przeddzieńowych czasach mykeńsko-achajskiej cywilizacji. Jak gdyby nie mógł się oderwać od rodzinnych stron zniechęconego króla Itaki, którego tropił i prześladował przez cały ciąg Odyssei. I pokazał w roku 1953, że on też jeszcze potrafi, co prawda staromodnym sposobem, masowo uśmiercać ludzi i grody ich wywracać. Pozejdon — ziemiotrzęsa.

Sześć tysięcy funtów plazmy dostarczyła natychmiast amerykańska flota wojenna na ratunek greckiego życia. Ta plazma — to nie tylko krew ludzi, ofiarowana do przetoczenia w żyły innych ludzi. To również spłata starego długu, nieświadomej, być może, wdzięczności za Iliadę i za Odysseję. I za wszystko, co w naszej krwi, w sereu i w mózgu jest greckie. A może też i symbol. Tego, iż wbrew starym i nowym pogańskim bogom zagłady wciąż jeszcze żyje w człowieku Christos-Pantokrator.

III.

Zatytułowałem te uwagi: „Pro domo mea”. Pierwszy raz w ciągu trzydziestokilkuletniej pracy pisarskiej występuję publicznie w obronie tej pracy. Bronię archaizacji języka, choć uznaję konieczność miarkowania jej, bronię wiersza, podobnego do heksametru. Wymyśliłem sobie ten wiersz, aby zbliżyć się dźwiękowo do oryginału, ale dobrze wiem, jak daleko mojemu wierszowi do kształtu i brzmienia heksametru Homera. Nie tu miejsce na wytłumaczenie zasady, na której oparłem budowę wiersza w tym przekładzie, jego rytmikę tudzież instrumentację. Piszę

o tym szczegółowo w przedmowie do obu wydań książkowych. Na decyzję ogłoszenia w „Kulturze” niniejszych uwag wraz z dwiema pieśniami nowej wersji przekładu wpłynęło ukazanie się w warszawskiej „Twórczości” (zeszyt czerwcowy z 1952) (*) pieśni V. i VI. Odyssei w tłumaczeniu prozą Jana Parandowskiego. Szczególnie jednak zmusza mnie do odezwania się „pro domo mea” postowie Parandowskiego „Od tłumacza”. Znako-mity autor „Alchemii słowa”, nie wymieniając, co prawda, mego nazwiska, pije również do mnie, pisząc w tym posłowie m. in. o zamiłowaniu do archaizacji, że „jest to zjawisko natrętne i nie-latwe do objaśnienia. Albowiem nie da się uzasadnić archaizacji powoływaniem się na dawność tłumaczonego utworu, bo fakt, że Homer jest od nas oddalony o blisko trzy tysiące lat nie znaczy, że jego język był tak skąpy i nieporadny, iżby należało go przyodziać w samodziały pierwocin naszego języka literackiego”. A dalej: „Był to język *par excellence* poetycki, złożony z różnych elementów dialektycznych o skomplikowanej gramatyce, podlegający prawu wiersza epickiego; kto by jednak chciał stworzyć w swoim języku podobną mozaikę form i wyrazów, stworzyłby dziwactwo, oderwane od obyczaju językowego swego narodu. Niestety takie próby istnieją i straszą w naszej literaturze. Są podwójną klęską: jako dzieło literackie i jako przekład...”

Uderzyłeś, Jasiu, w stół i zza Oceanu odzywają się nożyce. *Les absents ont toujours tort*. Niestety! Jak łatwo jest dzisiaj w Kraju zlekceważyć pracę emigranta, pozbawionego rezonansu u tamtejszych, a więc normalnych czytelników. Pisarz emigracyjny nie może dzisiaj bronić się w Polsce, ale i nie może się spodziewać, że znajdzie się tam ktoś, kto go weźmie w obronę. Może on jednak zawsze ująć się w „Kulturze”, czy w „Wiadomościach” za skrzywdzonym w Kraju kolegą. Pisarz tak słusznie ceniony jak Parandowski przemawia w Polsce do szerokiego ogółu czytelników i może temu ogółowi narzucać swoje opinie. Ja, w tej chwili, zwracam się jeno do garstki wykorzenionych i po całym świecie rozproszonych wygnańców.

Nie widziałbym nic nadzwyczajnego w tym, że ktoś, chcąc umocnić swoje racje tłumaczenia Odyssei nowoczesną prozą, mierzy z dubeltówki do wszystkich, którzy ją tłumaczyli wierszem i językiem odmiennym od tego, jakim dziś posługujemy się „w życiu”. Ale bardzo mnie zdziwiło, że właśnie Parandowski to uczynił, mnie przede wszystkim pragnąc ustrzelić. Cała bowiem „kariera” mojej Odyssei w niepodległej Polsce, od samego początku, wiąże się z jego osobą. Był on autorem pierwszej, nader entuzjastycznej oceny mego przekładu, jaka ukazała się w prasie. To była w ogóle pierwsza recenzja, jaką o sobie przeczytałem. I bez przesady rzec mogę, że nasza wieloletnia przyjaźń powstała „na gruncie” Odyssei i mojego jej tłumaczenia.

(*) „Odysseja” w przekładzie Parandowskiego ukazała się już w wydaniu książkowym („Czytelnik”, Warszawa, 1953). — Red.

Jak już wspomniałem, w pierwszej edycji ukazało się ono w roku 1924. Nazwisko Parandowskiego zdobi kartę tytułową tej książki, stanowiącej tom drugi serii przekładów z literatury greckiej pod nazwą: PAN. Redaktorem tej serii był Jan Parandowski. Rok 1931. U Mortkowicza w Warszawie wychodzi mój przekład w drugim, zmienionym wydaniu. Z tej okazji Parandowski zaszczyca mnie dialogiem przed mikrofonem warszawskiego radia. Rok 1935. Z rąk Parandowskiego, jako prezesa, otrzymuję nagrodę polskiego P.E.N. Klubu. Za przekład *Odyssei*. Jakże więc dziś mam rozumieć nagły zwrot w stosunku Parandowskiego do dzieła, któremu niegdyś tak życzliwie patronował? Mało — patronował. Stał nad jego kołyską. Był mu ojcem chrzestnym. Nie „straszył” go wtedy ani mój heksametr, ani archaizacja. Oczywiście, po tylu latach można zmienić zdanie. Ja sam przecie, jak świadczy ta nowa wersja przekładu, uznaniem — nie wiem czy słusznie — potrzebę modyfikacji niektórych przestarzałych form języka. Ale dawać publiczny wyraz niechęci do mego przekładu, jednocześnie zalecając czytelnikowi swój własny, jest — w świetle wyżej przedstawionych faktów — nie tylko zadziwiającym u pisarza tak wysokiej kultury brakiem kurtuazji, ale też jakimś zagadkowym dla mnie odwetem. Skoro mój przekład był, jak to Parandowski dziś sugeruje, klęską i to klęską podwójną, nie rozumiem, jak redaktor PANA mógł do takiej klęski dopuścić. A skoro dopuścił, czemuż i siebie za nią nie wini? Nie uważam siebie za Napoleona wśród tłumaczyw Homera, ale trudno mi pogodzić się z tym, że mój przekład był w latach 1919-1935 Jeną czy Austerlitzem, a w roku 1952 stał się Waterloo. Co prawda zdarza się, że to, co w młodości wygląda jak zwycięstwo, później, z upływem lat, okazuje się klęską. Ale choćby nawet tak było, nie pluje się do kołyski pokurcza, którego trzymało się do chrztu. Tym bardziej, gdy zamierza się własne, n. b. udane dziecko położyć do tej samej kołyski.

Z nietajoną satysfakcją pogrąża Parandowski niemal wszystkich, którzy tłumaczyli Homera na język polski, czy to wierszem rymowanym, czy bez rymów. Ciepłe słówko ma tylko dla jednego Jana Kochanowskiego. Słowackiego i Norwida pomija milczeniem, ale domyślamy się, że ich też umieścił wśród potępionych. Nie wspomina też o Rydlu. Dla Siemieńskiego ma uśmiech pobłażliwej wyższości. Przygania również francuskiemu tłumaczeniu wierszem pióra Victora Bérarda, uznając wszakże „wielki autorytet Bérarda we wszystkich sprawach, dotyczących *Odyssei*”. Nowy przekład angielski E. V. Rieu, dokonany arcy — już — potoczną prozą, słusznie nie znajduje łaski w oczach Parandowskiego. Tę łaskę zarezerwował on dla własnego tłumaczenia. Porzućmy jednak niewdzięczny emocjonalizm i brońmy się argumentacją obiektywną. Parandowski jest zbyt wielkim erudytą, żeby nie znać i to lepiej ode mnie, wszystkich argumentów, które przytoczę tu w obronie stylu i języka mojego przekładu. Robię to raczej na użytek czytelników, mniej obznajmionych z „literaturą przedmiotu”.

Zagadnienie, jak powinno się tłumaczyć Homera, jest bardzo stare i ciągle nierozstrzygnięte. Od Liviusa Andronikusa, który tłumaczył *Odysseję* na łacinę tzw. wierszem saturnijskim do Jana Parandowskiego, który ją tłumaczy przyjemną, trzeźwą i bardzo czytelną prozą, kształtowaną na najlepszych wzorach francuskich racjonalistów, wszyscy tłumacze Homera musieli pokonywać olbrzymie trudności. Jedni je pokonali, przynajmniej częściowo, inni — nie. Jednym udało się stworzyć ekwiwalent homerowego stylu i śpiewu, ale kosztem wierności. Dali raczej parafrazy *Iliady* i *Odyssei*, dali to, co tak trafnie nazywa się po niemiecku — *Nachdichtung*. Drudzy nazbyt kurczowo trzymali się oryginału, zapominając, że w przekładaniu poezji — nawet epicznej — trzeba nieraz drogą okreśną docierać tam, dokąd nie można zająć — prostą. Brzmi to może paradoksalnie, lecz sądzę, że tłumacz poezji musi niekiedy wywoływać wrażenie bieli przy pomocy np. zieleni lub na odwrót. Są tłumacze Homera, którzy dla ratowania tak ważnych efektów dźwiękowych poświęcili — wzrokowe. Inni zaś, urzeczeni plastyką i kolorystyką Homera wraz z purytanami semantyki — zlekceważyli melodię, harmonię, kontrapunkt, instrumentację oraz cały, skomplikowany skład chemiczny miazgi słownej. O poetyczności tłumaczonego tekstu decyduje przede wszystkim atmosfera utworu, ciepłota własna, coś, co bym nazwał magiczną aurą. Kto tej aury nie potrafi „oddać” czy na nowo stworzyć — nie jest tłumaczem poezji, choćby i rymował zgrabnie i nienagannie wybijał rytmy.

Ciekawy, choć dosyć jałowy spór o to, jak należy tłumaczyć Homera, rozgorzał w Anglii przed stu bezmała laty. Pozostały po nim świetne eseje jednego z najlepszych poetów i krytyków literackich ery wiktoriańskiej, Matthew Arnolda: „On Translating Homer” oraz „Last Words on Translating Homer”. Spór wywołało nowe w owym czasie tłumaczenie *Iliady*, dokonane wierszem przez uczonego dużej miary, profesora łaciny w uniwersytecie londyńskim, Francisa W. Newmana. (Był on bratem wielkiego kardynała i poety Johna Henry Newmana). Trzy eseje, a raczej oxfordzkie wykłady Arnolda plus jego odpowiedź na replikę Newmana, interesują nas dzisiaj dlatego, ponieważ pozwalają przyjrzeć się zaletom i brakom najważniejszych poetyckich przekładów Homera w języku angielskim. Podobnie jak Parandowski „przejeżdża” się Arnold po wszystkich niemal tłumaczeniach Homera, nie oszczędzając nawet wielkich poetów. Ani George’a Chapmana (1559-1634), którego Homerem zachwycali się Keats i Coleridge, ani Aleksandra Pope’a (1688-1744), ani Williama Cowpera (1731-1800). W odróżnieniu od Parandowskiego uważa Arnold, że Homera trzeba tłumaczyć heksametrem, mimo iż język angielski ma z nim podobne kłopoty jak polski. Rymy — odrzuca. „Rymy” — jego zdaniem — „zdradzają nieuniknioną skłonność do łączenia w parę — wierszy, które są w oryginale niezawisłe. Ponadto rymy zmieniają ruch poematu”. Fanatyk ruchu i szybkiego tempa, nie ma Arnold serca dla tych przekładów, które wloką się w tempie zwolnio-

nym. Powszechnie sławiony Chapman, zdaniem Arnolda, nie oddaje Homera, ponieważ nie umie „powstrzymać się od wstawiania gry myśli między swój przedmiot a przedstawienie tego przedmiotu”. Ponadto Chapman tłumaczy językiem elżbietańskim, a styl elżbietańskiej literatury w ogólności, Chapmana zaś w szczególności, jest „fanciful”, Pope natomiast tłumaczy „językiem augustiańskim z epoki królowej Anny. Obaj zaś ukazują nam swój przedmiot za pośrednictwem medium. Ale Homer ogląda swój przedmiot bezpośrednio i bezpośrednio nam go ukazuje”. W dalszym ciągu tej, niezwykle pouczającej polemiki stwierdza Arnold, że Homer „zawsze komponuje z oczyma zwróconymi na przedmiot (kompozycji), bez względu na to, czy ów przedmiot jest moralny, czy materialny. Pope natomiast komponuje wpatrzony we własny styl...” Pedanteria jest dla Arnolda „najbardziej niehomerycką rzeczą w świecie”, gromi więc pedantów, choćby to byli najwięksi poeci, a gromi ich za wierność oryginałowi. Ódrzuca przeto Cowpera. Woli od niego Pope’a, który jest „extravagantly free”, dzięki czemu jego Iliada stała się bardziej homerycka niż Iliada Cowpera. Ale cóż z tego, skoro Pope „nie potrafi oddać ani prostoty, ani bezpośredniości stylu i dykcji Homera? W partiach podniosłych jest Pope potężny jak Homer, jakkolwiek inaczej niż Homer, ale w zwyczajnym opowiadaniu, kiedy Homer też jest potężny i rozkoszny, Pope, skutkiem wrodzonych wad swego stylu, nie działa (is ineffective) i nie ma smaku”.

Parę razy powtarza Arnold, że „Homer jest szybki, prosty, bezpośredni w słowach i w stylu, ale jest bezpośredni i prosty również w swych myślach, a szlachetny w sposobie bycia (*in his manner*)”. Nie może więc dobrze tłumaczyć Homera ktoś, komu zbywa na tych cnotach. Podoba się Arnoldowi Odysseja w współczesnym mu przekładzie niejakiego Worsley’a, aczkolwiek tłumacz ten posłużył się stanzą spenserowską, a więc dość skomplikowanym metrum i rymami. Przypina jednak Arnold Worsleyowi, że umiejętnie użył tej „pięknej, romantycznej miary przy odtwarzaniu najbardziej romantycznego poematu starożytności”. Nie jeden Arnold uważa Homera za romantyka. W naszych czasach, Gilbert Murray nazywa go wręcz „romantycznym bardem greckim” i tą romantycznością tłumaczy celową u Homera archaizację nie tylko języka i stylu, ale i przedstawionego w jego eposach — obyczaju. „Będąc romantykiem”, powiada Murray, „łatwo może Homer ukazywać swych archaicznych bohaterów jako ludzi nie znających ani broni żelaznej, ani sztuki pisania. I łatwo mu jest wyobrazić sobie księżniczkę, piorącą w rzece królewską bieliznę”... To jest już woda na mój młyn. Czyż bowiem archaizacja w moim tłumaczeniu nie jest cechą neoromantyzmu, który odwracał się od „rzeczywistości”, jak Homer? Homer był eskapistą” jak każdy poeta, któremu tzw. rzeczywistość nie wystarcza do życia. W poezji, zarówno epickiej jak lirycznej, sam język bywa niekiedy wehikułem w błogosławionej ucieczce od ży-

cia. Sam język, sam „nienaturalny” tok śpiewanej narracji oddala nas od „rzeczywistości”. A choćby ta rzeczywistość pewnego dnia stała się Arkadią, nigdy tam nie zabrzmi pieśń, podobna do potocznej, arkadyjskiej mowy.

Przepraszam, że przytoczę teraz niezbyt wonny argument na „eskapistyczny” charakter Odyssei. W najbardziej rozpowszechnianej dziś w Kraju powieści: „Pamiętka z celulozy” Igora Newerly występuje leciwy doktor Chrobotek, liberal i humanista czy humanitarysta starej daty. Wyjmując kulę z ciała działacza komunistycznego, postrzelonego przez policję w przedwojennej Polsce, taką radę daje innemu komuniście, bohaterowi powieści:

— Czytaj Homera, młody człowieku, bo nasze czasy gówna warte.

Święte słowa. I o ileż bardziej aktualne w dzisiejszej Polsce, gdzie każą ludziom zachwycać się „naszymi czasami”, „nową rzeczywistością” i powieścią Igora Newerly.

Moja polemika z Parandowskim nie jest podobna do sporu Arnolda z Newmanem. Arnold ma tę przewagę i nad Parandowskim i nade mną, że sam Homera nie przekładał. Zanim zdyskwalifikował liczne i dostojne grono tłumaczy Iliady i Odyssei, zdyskwalifikował samego siebie. *Avant la lettre* całej kontrowersji stwierdza Arnold, że nie ma ani czasu, ani odwagi na przekładanie Homera, chociaż mu to wielokrotnie podsuwano. Tak więc Arnold może być całkowicie bezstronny i bezinteresowny. Ani Parandowski, ani ja nie możemy sobie na to pozwolić. Obaj występujemy *pro domo sua*. Ja — domu Parandowskiego burzyć nie zamierzam. Wolę raczej mój własny fortyfikować.

Przystępując do tłumaczenia tekstu tak starego jak Odysseja, musi pisarz zdecydować się na wybór stylu. Nie jest to wybór łatwy. Wpływają nań rozmaite, czasem sprzeczne względy. Albo tłumacz chce stworzyć coś, co — jego zdaniem wywoła efekt podobny temu, jaki wywoływał oryginał u starożytnych Greków, albo też opiera się na własnej wrażliwości i tworzy coś, co ma oddziaływać na wrażliwość współczesnych mu czytelników. Ta wrażliwość jest mniej więcej znana. Jak Grecy reagowali na recytację Homera w czasie Panatenajów nie wiemy. Wiemy tylko tyle, że Panatenaje były uroczystością religijną, a wiersze Homera tekstami prawie liturgicznymi. Nie mamy płyt gramofonowych z owych czasów, ale trudno wyobrazić sobie, żeby Homera recytowano „realistycznie”. Wiemy również, że język Odyssei, tego „eposu orfickiego”, jak ją śmiało nazywa prof. Ryszard Ganszyniec, nie był mową potoczną publiczności zgromadzonej na Panatenajach. Lapidarnie ujął tę sprawę emigracyjny hellenista Ignacy Wieniewski w rozprawie pt. „Elementy kwestii homerowej”, ogłoszonej niedawno w londyńskich „Wiadomościach”: „Językiem Iliady i Odyssei nie mówił nigdy żaden Grek”. Potwierdził Wieniewski to, co kilkadziesiąt lat temu napisał Geheimer Hofrat Prof. dr E. Bethe, homerysta bardzo kompetentny: „Obok wiersza, o stylu Homera decyduje — język. Nikt nigdy tym językiem nie mówił. Albowiem jest to

nie tylko mieszanka z dwóch różnych dialektów, ale zawiera też liczne, dawno przebrzmiałe wyrażenia, których dokładnie nie rozumiał nawet Ajschylos, ów maratoński Ateńczyk. Ponadto język ten tworzy nowe, wspaniale brzmiące słowa"... Cudnie! Skoro więc ten i ów z mych łaskawych czytelników „jeszcze nigdy nie słyszał” jakiegoś archaicznego wyrazu lub zwrotu, z którym spotkał się w moim przekładzie, niechaj, pod tym względem, poczuje się kolegą Ajschylosa.

„Właściwością każdej wielkiej poezji, powiada Bethe, są przekształcenia słów tudzież użytkowanie wyrażen, które już zniknęły z mowy potocznej. Poezja ta bowiem musi wnieść się ponad powszedniość...” Jeszcze mocniej pisze o tym Ganszyniec w znakomitym studium „Homer i Odyseja”, dołączonym do obu wydań mego przekładu: „Pierwszą właściwością języka eposu jest to, iż nie jest on językiem codziennego użytku. Jest to mowa literacka, uroczysta, odświętna...” Albowiem: „mowa epiczna jak i słowo magiczne wyrwała człowieka z objęć szarzyzny dnia powszedniego, wraz z potocznymi wyrazami wypędzała wszelkie troski i myśli z jego głowy i z serca, a wzamian za to miłym dźwiękiem starego brzmienia wywoływała w nim pogodną i podniosłą myśl o wspaniałości przeszłych czasów...”

Mógłbym bez końca karmić czytelnika wyjątkami z pism wybitnych filologów i badaczy starożytności, lecz wolę kaptować jego benewolencję czymś znacznie bliższym i powszechnie lubianym. Jakiż to wielotomowy utwór beletrystyczny cieszy się od siedemdziesięciu bez mała lat niesłabnącym powodzeniem u naszych rodaków i w Kraju i zagranicą? Chociaż od czasu do czasu targnie się na tę świętość jakiś bluźnierca lub niegrzeczny chłopiec (ostatnio uczynił to w „Kulturze” Gombrowicz, znany zamachowiec na uświęcone fetysze) — „Trylogia” Sienkiewicza nie przestaje dla ogółu rodaków być tym, czym w wolnej Polsce była „czysta, wyborowa”. Źródłem taniego upojenia. Można, jedną po drugiej, wyracać śmieszne figurki tej infantylnej epopei, lecz nie podobna nadwężyć potężnego czaru, jaki wywiera jej styl i język. A jakimż to językiem czaruje Sienkiewicz „szerokie masy”? Chyba nie tym, którym rozmawiał z żoną i z dziećmi. Język „Trylogii”, pisanej w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia — to przecież bujnie archaizowana i makaronizmami inkrustowana polszczyzna wieku XVII-go, najczystszy barok. (Czas już zaprzestać pomiatania barokiem!). Znajdujemy tam mnóstwo wyrażen, których z pewnością nie rozumie dziś „przebiegły” czytelnik. Otwieram na chybił-trafił „Ogniem i mieczem”: „...stada wołów pędzone na spyzę dla wojsk kozackich i tatarskich”... Tę „spyzę” właśnie wraz z czysto polskim „żydłem” wyrzuciłem m. in. z ostatniej wersji mego przekładu. Oba te rzeczowniki są synonimami: strawy, prowiantu, lubo nie używa ich dzisiaj ani ogół głodnych, ani żarłoków. W ogóle — znacznie mniej archaizmów znajdzie czytelnik nawet w pierwszej, najtrudniejszej wersji mego przekładu Odyssei, niż w Sienkiewicza „Trylogii”. Niewątpliwie język XVII wieku jest na miej-

scu w powieściach o wieku XVII. Pisząc „Trylogię” autor jej posiłkował się m. in. bogatą, wszystkim dostępną literaturą tego okresu. Ale już do „Krzyżaków” musiał sobie skonstruować własnym przemysłem język polskiego średniowiecza, nie wiele bowiem zachowało się pomników polszczyzny wieku XV. W podobnym położeniu znalazł się autor niniejszego przekładu Odyssei. Musiał stworzyć ekwiwalent języka, w którym wspomniany już Gilbert Murray, nie tylko doskonalił starożytnik ale i poetycki tłumacz Eurypidesa, znajduje „obok attycyzmów na jego powierzchni, obok przeważającej w nim jońszczyzny i obok słów dialektu eolskiego również i szczątki jakiegś bardzo starej mowy greckiej. Przynależności jej do któregoś z poszczególnych dialektów nie da się ściśle ustalić. W klasycznych Atenach jest ona już niezrozumiała”...

Chcąc zatem „z grubsza” odtworzyć magiczną aurę Odyssei powlokłem język mego przekładu lekką patyną XVI., XVII., rzadziej XVIII wieku. Niekiedy czerpałem z jeszcze starszej polszczyzny, zachowanej już tylko w gwarach.

Skóra mi cierpieć na myśl, jakie tam grzechy i grzeszki wyciągnie z mojej Odyssei emigracyjny nasz Wielki Inkwizytor języka polskiego, ale i przyjaciel piśmiennictwa w tym języku, czyli p. Stanisław Westfal. Do indulgencji tego przyjaciela odwołuję się, powtarzając raz jeszcze, com już w przedmowie do książkowych wydań mego tłumaczenia cytowałem z „Carmen maccaronicum”: „Qui non habet kobyłkam piechotare debet”.

Z prawdziwym żalem rozstaję się w tej trzeciej wersji nie tylko z wieli archaizmami i starymi formami gramatycznymi, np. z liczbą podwójną. Poświęcę im mile brzmiące „oce”, ale zapewniam, że w poetycko dobranym zespole dźwięków te „oce”, a nawet „nodze” zamiast nogi, nieraz potęgują magiczną aurę, na której wywołaniu tak bardzo mi zależy. — Przesada — powie Parandowski, ale czymże jest poezja, poetyckie widzenie i poetyckie słyszenie świata oraz wszelkiej, tylko poetom dostępnej, zaświatowości, jeśli nie przesadą? I Kirke i Cyklopi, Lotofagowie i Lajstrygonowie, Scylla i Charybda — to też kreatury z lekka lub z ciężka przesadzone, czemuż więc unikać postaci werbalnych „odchylonych” nieco od tzw. normy? Propozycji Mallarmé’go: *Céder l’initiative aux mots* — ustąpienia inicjatywy słowom, nie zawsze można przyjąć w epice, ale nawet w epice można ją zaryzykować z dobrym dla ucha skutkiem. Tą „inicjatywą słów” powodowałem się, gdy np. zamiast „unoszą” pisałem „unasz”, zamiast „w domu” — „w domie” lub „doma”, zamiast „przekleństwo” — „przekłństwo”. Nade wszystko jednak usiłowałem uwydatnić sędziwość pieśni oraz zamierczość śpiewanych czasów przy pomocy omszałych słów, takich np. jak „szedziwy”, „blawy”. (Na Śląsku Cieszyńskim słyszałem ten przymiotnik z żywych ust). Także monumentalizm niektórych scen i obrazów, patetyczna elewacja łuków tej gigantycznej budowli wymagały tu i ówdzie odpowiednio wyolbrzymionego i niezwykłego słownictwa.

Ważnym elementem eposu jest jego śpiewność, muzyczność, meliczność. Słowem: gędzba. Bez niej nawet współczesne eposy obejść się nie mogą. Nawet w prozie „Chłopów” Reymonta coś w głębi gra i zawodzi. Starożytna epopeja w języku słowiańskim powinna mieć w swoim brzmieniu coś z dumy, z „Boju na Kosowym Polu”, z „Wesela Maksyma Zrnojevića”, ze „Słowa o pułku Igora”. Niestety w starym polskim języku nie mamy takiej poezji. Ostatnią barierą, odgradzającą poezję od prozy jest rytm. Mimo wszystko do śpiewanej narracji najodpowiedniejszy jest heksametr, lub też jego ekwiwalent. Powiadam: mimo wszystko, gdyż ani Mickiewicz, ani Goethe nie potrafili dać heksametru w jego antycznym, dziewiczym kształcie dźwiękowym. *Si parva magnis...* mój wiersz w Odyssei jest, jak już wspomniałem, ekwiwalentem heksametru, o dowolnej cezurze i z częstymi „enjambements”. Te „enjambements” upłynniają śpiew i jednocześnie pomagają śledzić akcję. Jeszcze raz proszę czytelnika, któremu lektura tego przekładu wyda się trudna, żeby ją sobie ułatwił czytaniem na głos.

Broniąc wiersza, a więc gędziebności w tłumaczeniach Homera, muszę automatycznie wystąpić przeciw prozie. Choćby to była proza tak dźwięczna i uroczysta jak Leconte de Lisle'a, lub tak przejrzysta jak Parandowskiego. Homer prozą — to jakby symfonia grana na fortepianie, lub śpiewana ludzkim głosem. Któżby się zwracał do Kiepurzy z prośbą o odśpiewanie „Eroiki”, lub „Prélude de l'Après-Midi d'un Faune”? Albo któregoś z koncertów brandenburskich Bacha? Najlepsze przekłady Homera prozą — to sublimowe „bryki”, to super-prozajkiery. Mają one czytelnika zbliżyć do Homera, lecz w rzeczywistości oddalają, ukrywając przed nim całą metafizyczną zawartość homerowej epiki, jej głębinowy, irracjonalny, orficki sens. Odysseja prozą — to mniej lub więcej ściśle zawiadomienie, to informacja o losach Odyssea, a nie poetycka interpretacja tych losów. Biada poezji, która pójdzie na służbę reportażu, rezygnując z rodowego swego przywileju, jakim jest — bajanie. W najlepszych wypadkach przekłady Homera prozą to „gesta”. Ale nie „Chansons de geste”. Śpiew zmienia kształt opiewanego faktu, obrysowuje kontury wydarzenia. Sam śpiew też jest faktem, jest konkretnością i dopiero z szczęśliwego połączenia przedmiotu narracji ze śpiewem rodzi się poezja epiczna. Nazwałem ongi Odysseję romansem awanturczym. Podtrzymuję i dzisiaj to określenie. Tak, to jest romans, ale w znaczeniu „Romancero” lub naszych „Balad i romansów”.

Sądząc z tego, co czytałem w „Twórczości” przekład Parandowskiego robi wrażenie, że został dokonany na użytek Delfina, niedośpiatego w leciech, Delfina, któremu nie trzeba ukazywać wszystkiego, co jest w Odyssei poza jej treścią. Zastanawiam się, kto w dzisiejszej Polsce jest Delfinem?

Tłumacząc Odysseję prozą, nie jest Parandowski konsekwentny, skoro nagłówki rozdziałów nazywa pieśniami. Czytamy

w „Twórczości”: „Pieśń piąta: Tratwa Odyssea” i „Pieśń szósta: Nauzykaa”. Ale pieśni w tym tłumaczeniu nie słychać. Gromiony przez Parandowskiego E. V. Rieu opatrzył te same rozdziały rzymskimi cyframi, pod którymi dał nagłówki własnego pomysłu: „V. Calypso” i „VI. Nausicaa”. Inny, współczesny, ale nieco starszy Anglik, uchodzący za znawcę nie tylko Grecji, ale i Indii, W. H. D. Rouse, jest jeszcze bardziej konsekwentny. Rozdziały swego popularnego tłumaczenia *Odyssey* prozą (które wyprzedziło przekład T. E. Shawa czyli pułkownika T. E. Lawrence'a („Lawrence of Arabia”)) nazywa — księgami. A więc pieśni piątej daje taki nagłówek: *BOOK FIVE: Hermes is Sent to Calypso's Island; Odysseus Makes a Raft and is Carried to the Coast of Scheria*. Szóstej zaś: *BOOK SIX: How Odysseus Appealed to Nausicaa and She Brought Him to Her Father's House*. To jest w porządku. Skoro proza — to księgi, rozdziały, a nie — pieśni. Bo, cóż to za pieśń, która brzmi jak komunikat?



Jest toś żenującego w polemice z pisarzem, przebywającym po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. To tak, jakbym do Parandowskiego odzywał się nie z dalekiego świata wolności, ale z zaświatów. Nie wiadomo, czy przeciwnik mnie usłyszy, a jeśli usłyszy, nie wiadomo czy nie zatka sobie uszu. Albowiem nie ocean Atlantycki dzieli nas teraz, lecz *mare tenebrarum*.

Oby nam było dane spotkać się jeszcze w tym życiu i odnowić przyjaźń, zawartą niegdyś dzięki Odyssei. A jeśli to się nie uda, może w Hadesie jest takie miejsce, gdzie spotkają się dusze ludzi rozdzielonych granicami, kurtynami, szlabanami, do których wzniesienia oni sami ręki nie przyłożyli. A jeśli w tymże Hadesie jest osobny oddział dla tych, co grzeszyli przekładami Homera, na pewno tam się spotkamy. Tymczasem, niewierny przyjacielu, — vale!

IV.

Z świata umarłych niech mi będzie wolno wywołać teraz duchy kilku przyjaciół mojej Odyssei. Przewodzi im wspaniały, do samego Homera podobny, Tadeusz Zieliński. Za nim idzie znakomity, cichy i skromny grekista lwowski — Stanisław Witkowski. Za nimi — moi profesorowie greki — Jakub Handel i Franciszek Smółka. Ale to byli już ludzie starzy lub starzejący się, gdy ja zacząłem tłumaczyć Homera. Można by więc sądzić, że w moim przekładzie odnaleźli ducha własnych czasów.

Przeto z niezmierną boleścią, przepraszając, że je trudzę, przywołuję tu jasne dusze dwóch pisarzy polskich, którzy w zranieniu życia musieli się z życiem swym rozstać. Obaj należeli do pokolenia znacznie młodszego niż moje, ale też między nimi była

poważna różnica wieku. Starszy, to — Bolesław Miciński, poeta, eseista, filozof. W moim warszawskim mieszkaniu posiadałem ofiarowany mi przez Autora rękopis pięknego dramatu wierszem, który Miciński napisał pod wrażeniem i w stylu mego przekładu Odysei. Dramat ten spłonął zapewne wraz z resztą moich, pozostawionych w Warszawie papierów i książek.

Drugiego, poety, nie znałem. Był tak młody, że przed wojną musiał chyba jeszcze chodzić do szkoły. Nie wiem, czy prawdziwe jego nazwisko brzmiało: Tadeusz Gaycy, czy K. Topornicki. Zginął w powstaniu warszawskim, mając nie wiele ponad dwadzieścia lat, a do literatury wszedł jako — Tadeusz Gaycy. W roku 1947 przysłano mi z Polski afisz teatralny sztuki Gaycego pt.: „Homer i Orchideja”. Na ostatniej stronie afisza dyrekcja teatru umieściła następujący tekst:

„W długie wieczory okupacyjne niemal każdy szukał wytchnienia w lekturze.

Odcięto nas prawie zupełnie od norwej książki, która pojawiała się gdzieś na krańcach świata nie objętych pożarem, utrudniono dostęp do bibliotek i czytelnicy, ale nie zdołano zupełnie zamknąć drogi do nagromadzonych w literaturze bogactw myśli i uczucia. Odwieczne arcydzieła znowu stawały się źródłem siły i mądrości. Dawały spokój w owym czasie — kiedy spokoju nie było, wiedzę o życiu, kiedy życie przerastało możliwość ludzkiego rozumienia.

W całej pełni jaśniała spokojna mądrość i posągowa uroda „Odysei”. Młody poeta-bojownik Tadeusz Gaycy — padł w powstaniu warszawskim — był wrażliwym czytelnikiem.

Urzeczony bujnym rytmem homerowego heksametru, znakomicie przyswojonego polszczyźnie przez Józefa Wittlina — snuje fantazję o Homerze i Orchideji, o miłości, ślepcie i powołaniu legendarnego Homera. Językiem poetyckim, a zarazem współczesnym mówi o doli człowieka, który nieopatrznie rozpetał żywioł groźniejszy niż morze, z którym obcuje co dzień: głupotę ludzką i przesąd. Mówi o poecie, który odnajduje sens życia i spokój wewnętrzny, tworząc ludzi”.

Ten afisz, wydrukowany na lichym papierze, przechowuję jak relikwię. I ośmielam się nową wersję mego przekładu Odysei ofiarować.

świętej pamięci
Bolesława Micińskiego
i
świętej pamięci
Tadeusza Gaycego.

Józef WITTLIN

Odysei część pierwsza

ZGROMADZENIE BOGÓW.

ATENE WLEWA TELEMACHOWI OTUCHĘ W SERCE.

Ty Muzo, daj pieśń o mężu bywałym, co srogie udręki
Cierpiał, od kiedy przeświątą warownię Troi pokruszył.
Daj pieśń o mężu, co grody tak wielu ludzi oglądał
I czytać myśli ich umiał: po morzach włokąc dalekich
Boleść swej duszy i troskę o powrót druhów szczęśliwy.
A lubo pragnął tak bardzo, nie zdołał swych druhów wybawić,
Bowiem zgubiła ich własna zbrodnicza pycha; o głupcy!
Łakomie woły pożarli Hyperionidy Heliosa,
Przeto już nigdy ich oczy ziemi rodzinnej nie ujrzą.
O racz tę wieść opowiedzieć i nam, o córo Dzeusowa!
Bo jakże? Oto ci wszyscy, co strasznej umknęli zagładzie,
Dawno już w domach bezpieczni od grozy wojny a morza,
On tylko jeden pozostał z dala od domu i żony:
W grocie sklepionej go więzi czcigodna nimfa Kalipso,
Boska wśród bogiń, i pragnie małżonkiem swym go uczynić.
A gdy z toczącym się czasem nadszedł ów dzień, iż bogowie
Dali mu wreszcie dopłynąć do utęsknionej Itaki,
Czemuż to nawet we własnym domu wśród ludzi kochanych,
Zły los go smagać nie przestał? Zaprawdę wszyscy bogowie
Żałością w sercach wezbrali, tylko Pozejdon jedyny —
Nie! I nie ustał w swym gniewie, aż póki Odyss, którego
Bogom przyrównać się godzi, na ziemię ojców nie wrócił.

Zasię Pozejdon odwiedził właśnie dalekich Etiopów,
Etiopów, ludzi kresowych, na dwie rozdzielonych rodziny:
Tych, co na Wschodzie mieszkają Słońca i tych — na Zachodzie.
U nich się raczył Pozejdon i serce swoje radował
Hekatombami z baranków i byczków ofiarnie rzezanych.
Tymczasem insi bogowie na pałac weszli Dzeusowy,
Tam — na Olimpie, by radzić. A pośród bóstw nieśmiertelnych
Jął mówić ojciec wszystkiego rodu i bogów i ludzi,
Ile że w sercu rozmyślał o przednim mężu Ajgiście,
Którego zabił Orestes, sławny syn Agamemnona.

Tę sprawę mając w pamięci, tak wobec bogów przemówił :
 „O gorze ! Oto śmiertelni ciskają nam w twarz oskarżenie,
 Nam, bogom wiecznie żyjącym, że z nas wszelakie jest лихо,
 A przedsię ich utrapienia zległa ich własna głupota
 Na przekór losom : zawiernie, wbrew przeznaczeniu Ajgistos
 Poszedł w łożnicę Atrydy i żonę mu pojął miłośnie
 I ubił Agamemnona, ledwo ów wrócił do domu.
 Może nie wiedział, że za to spotka go nagle zatrata ?
 Czyżesmy wtedy zawczasu nie stali k'niemu Hermesa,
 Lotnego Argeifonta, o bystrych oczach, by ostrzegł
 I nie dał małżonka mordować i przerwał te niecne zaloty ?
 „Bowiem z Oresta narodzi się pomsta za krzywdy rodzica,
 Gdy na młodzieńca urośnie i do ojczyzny zatęskni”.
 Tak wonczas rzecze Hermejas, lecz ajgistowego osierdzia
 Nie wzruszył dobrymi słowy, i Ajgist za wszystko zapłacił.

Na to odparła Atene, bogini o sowych żrenicach :
 „Ojczy nasz, synu Kronosa, nad wszelkie moce mocniejszy !
 Zaprawdę — słusznie on uległ posępnej śmierci i każdy
 Niechaj tak ginie, ktokolwiek podobnej zbrodni się waży !
 Ale me serce się kraje na myśl o roztroprym Odysse,
 Co z dala od swoich tak długo już znosi męki na wyspie
 Zgubionej wśród morskich fal ! Na wyspie lesistej, gdzie mieszka
 Bogini, córka strasznego Atlasa, który otchłanie
 Mórz wszelejakich do głębi zmierzył i dźwiga na barach
 Te wielkie słupy, co dzielą ziemię od stropów niebieskich.
 Córka onego Atlasa, przemocą trzyma u siebie
 Odysa, utrapionego tęsknotą za domem rodzinnym.
 Słodkimi doń słowy się łąsi i kusi i ciągle napiera,
 Aby przepomniał Itaki... Atoli Odys tak bardzo
 Pragnie choć zdala zobaczyć dym, co unasza się ponad
 Ziemią rodzinną, a potem — umrzeć ! Ach, władco Olimpu,
 Czy nawet teraz twe miłe serce nie raczy odmięknąć ?
 Tak, jakby nigdy ci Odys nie składał świętych a szczodrych
 Ofiar przy statkach Argiwów, tam, na trojańskim wybrzeżu ?
 I za cóż jemu twój gniew ?”

Na to jej taką odpowiedź
 Dał Dzeus, co chmury zwoluje : „Dziecko me, jakież to słowo
 Wydarło się spoza twych zębów ? Jakżebyś mógł ja przepomnieć
 Boskiego, wierę, Odysa, który rozumem przesięga
 Wszystkich śmiertelnych na ziemi, a ofiar nigdy nie skąpi
 Bogom wieczystym, co w niebie na wysokościach mieszkają ?
 Alić mu krzyw jest Pozejdon, dzierzący ziemię w uścisku,
 Zaciął się w gniewie, albowiem Odys mu syna oślepił,
 Bogom równego Cyklopa, co miał na imię Polifem :

Silacz to był przeokrutny i pan nad wszystkimi Cyklopy !
 W sklepionej jamie go niegdyś Pozejdon spłodził z Toozą,
 Nimfą, córką Forkysa, strażnika słonych pustaci.
 Jednak nie zabił Odysa bóg, który ziemią potrzasa,
 Ale go wodzi błędnego z dala od ziemi ojczystej.
 Dość tego już ! Więc poradzmy społem o jego powrocie,
 By się dokonał, i niechaj gniew Pozejdona ustanie !
 Juści, nie zdoła Pozejdon wojować o tego człowieka
 Sam jeden przeciw nam wszystkim, wiecznym a nieśmiertelnym”.
 Na to odparła Atene bogini o sowych żrenicach :
 „Ojczy nasz, synu Kronosa, nad wszelkie moce mocniejszy,
 Skoro już taka jest wola wszystkich tu bogów szczęśliwych,
 Żeby roztroprny Odyssej powrócił wreszcie do domu,
 Czemuż nie ślemy Hermesa, zwiastuna, zabójcy Argosa,
 By na Ogygię, na wyspę, co tchu polecał i wyrok
 Nieodwołalny ogłosił nimfie o pięknych warkoczach :
 „Do domu musi powrócić nieustraszony Odyssej !”
 Tymczasem ja do Itaki pomknę i w sercu synaczka
 Zapalę żar i podbechtam odwagę. Niech zwoła na rynek
 Mężę achajskie, kudłate, i złamie mir zalotnikom,
 Co mu dzień w dzień zarzynają dorodne kozy i owce,
 A także bydło o krętych rogach i ciężkich racicach.
 Potem do Sparty go wyślę i piaszczystego Pylosu,
 Nuż tam od kogo usłyszy, iż luby ojciec powraca, —
 I niech się sławą osławi pośród ludzkiego rodzaju”.
 To rzekła i przywiązała do stóp prześliczne sandały,
 Boskie i szczerzocliste. Na nich jak podmuch wichrowy
 Ponad wodami polata i lądy przebieża dalekie.
 Następnie w dłonie ujęła ciężką, potężną kopiję,
 Której grot ostro wykuty w spiżu powala orszaki
 Cnych bohaterów, gdy córy Dzeusowej gniew ich dosięże.
 Ze skalnych szczytów Olimpu w zawrotnym pędzie zlatuje
 I już, już stoi w Itace, u bram Odysa, na progu
 Podwórca : w ręku bogini spiżowa włócznia połyska.
 Z lica podobna do gościa, do króla Tafjów, Mentesa,
 Natknęła się na buńczuczną zalotnych mężów czeredę,
 Którzy ku serca uciesze przed domem się zabawiali :
 Na skórach wołów leżeli, wołów przez siebie porzniętych,
 W kamyki grają, a zwinna czeladź służebna, heroldzi,
 Wino im w dzbanach rozcieńcza wodą, zaś inni heroldzi
 Stoły do uczty stawiają, wprzód je chędożnie zmywając
 Porowatymi gąbkami, a inni krają mięsiwo.
 Nikto nie baczył na gościa. Alić go pierwszy dostrzega
 Bogom podobien Telemach, co siedzi pośród zalotnych
 I miłe serce umartwia i okiem duszy ogląda

Lubego ojca i widzi, jak gachy on w domie rozgramia,
 Aby swej chwały zażywał sam i swym mieniem szafował.
 Tak wśród zalotnych dumając, zaoczy Pallas Atene.
 Zerwie się z miejsca i pędzi prościutko ku przedsionkowi,
 A w duszy mocno się żżyma na myśl, że gość już tak długo
 Stał u podwoi, a nikt go, by wszedł do środka, nie prosił.
 Zaczynam przystąpi i prawą rękę do gościa wyciągnie,
 Włóczy mu weźmie i rzecze chyżo-lotnymi słowami :
 „Wesele tobie, o gościu, pozdrowion bądź między nami !
 A gdy się jadłem nasycisz, powiedz, co ciebie sprowadza”.
 Mówi i kroczy na przedzie, a za nim Pallas Atene.

Jakoż stanęli pośrodku domostwa o ścianach wysokich.
 Siła sterczało tam włóczy Odyssa, męża bez trwogi :
 Wszystkie ujęte pierścieniem i wsparte na smukłej kolumnie.
 Do nich to przyda Telemach dzidę gościową i gościa
 Uprasza, by usiadł na tronie wspaniałym, na który kobierzec
 Pięknie zdziałany narzucił, pod stopy zaś wsunął podnózek.
 Umyślnie gościa posadził z dala od ciżby zalotnych,
 Gdyż lękał się, że biesiada wrychle gościowi omierzenie,
 Skoro posłyszysz te wrzaski i śmiałe ich poczynania.
 Pragnął go również wypytać o rodziciela, co przepadł.
 Lecz właśnie dziewczka służebna weszła i z dzbanka złotego
 Lała im wodę na ręce ponad srebrzystą miednicą,
 Potem przed nimi gładzony stół postawiła, a potem
 Chleb tudzież insze potrawy przyniosła wielce szanowna
 Szafarka, rada, iż może hojnie szafować z dostatku.
 Później wszelakie mięsivo wniósł krajczy w misach drewnianych,
 Dwa złote kubki stawiając przed każdym z nich do biesiady,
 Herold natomiast się żwawił i ciągle je winem napełniał.

Wsypali się zalotnicy, butni, lecz wedle porządku
 Obsiedli jeden po drugim trony i stołki do uczy.
 Im też heroldzi polali wodę na ręce, służebne
 Zasię dziewczeczki przyniosły w koszach plecionych bochenki,
 A chłopcy wciąż napełniali aż po sam brzeg rostruchany.
 Uczta gotowa, więc jeli za jadło chwytać rękami.
 A kiedy ich już odeszła chęć do jedzenia i picia,
 Innych zapragną rozkoszy, dla duszy : płasów i gędzby,
 Które do wszelkiej biesiady dodają słodkiej okrasy.
 Oto kształtowną cytarę wciska do rąk Femiosowi
 Jeden z heroldów, ów Femios zmuszony był śpiewać zalotnym,
 Choć po niewoli, więc w struny brzękadła swego uderzył
 I pieniem się zaniósł przepięknym.

W owej to chwili Telemach
 Tako poczyną przemawiać do sowiookiej Ateny,
 Schylając ku niej swe lico, aby nikt inny nie słyszał :
 „O gościu, nie bądź mi krzyw, cokolwiek rzeknę ! Zapewne,
 Lekce tym panom jest słuchać gędzby i brzęku cytary,
 Albowiem cudzy dobytek trwonią bez żadnej zapłaty,
 Dobytek męża onego, którego kości zbielałe
 Dawno już gniją gdzieś na deszczu, w obcej krainie,
 O ile słona nie toczy ich fala... Atoli, powiadam,
 Skoro jednego dnia na brzeg Itaki powróci,
 Wtedy już żaden z nich ni złota pragnął nie będzie,
 Ni pięknych szat, jeno lżejszych nóg do chyżej ucieczki.
 Ale daremna nadzieja : zły los go już bowiem pokonał,
 I nikt nas już nie pocieszy z ludzi, co świat zamieszkują,
 Lubo tu nieraz przychodzą i łudzą nas ojca powrotem.
 Na próżno ! Bowiem na wieki przepadł dzień jego powrotu !
 Lecz ninie powiedz mi wreszcie i wyjaw prawdę : kim jesteś ?
 Między jakimi mężami twój dom i kto ciebie rodzi ?
 Na jakim przybyłeś korabiu ? Którędy ? I jacy żeglarze
 Tu, do Itaki cię wieźli, i czym ci ludzie się chlubią ?
 Piechotą chyba tu, do nas, dotrzeć nie mogłeś ! Więc rzeknij
 Prawdę, niech wiem : czyliś pierwszy raz do Itaki zawitał,
 Czyliś jest stary ojcowy gość, bo takowych bez liku
 Dom ten widywał, a ojciec nie jedną miał družbę wśród ludzi”.
 Na to odpowie Atene, bogini o sowich żrenicach :
 „Wszystko ja tobie wyjawię rzetelnie i wiernie doniosę.
 Otom jest Mentos, król Tafiów, narodu, co wiośla miłuje,
 Przedniego Anchijalosa szczyć się prawym być synem,
 W korabiu z towarzyszami przybyłem do was, lecz płynę
 O wiele dalej, po czarnym morzu, bo aż do Temezy,
 Ku ludziom, co obcym językiem gwarzą. Tam lśniące żelazo
 Zamienić pragnę na spiż. Mój okręt zdala od miasta
 Stoi w rejtryjskiej zatoce, u stóp leśnego Nejonu.
 Och, nagościliśmy siebie wzajemnie i ja i twój ojciec,
 A z dawien dawna. Stareńki powie ci o tym Laertes,
 Bohatyr, — mówią, że on już wcale nie chodzi do miasta,
 Jeno samotny pędzi swe dni na polu i dzwiga
 Swoją los wespół z sędziwą dziewczką, a ta go dogląda
 I jeść mu daje i pić, gdy znój mu ugina kolana :
 Bo on się włóczy po stokach, które porasta winorośl.
 Aliści doszedł mię słuch, że ojciec twój już powrócił,
 Przeto wybrałem się tu. Pewno go kędyś bogowie
 Trzymają, iż go nie widać... Lecz nigdzie, nigdzie na ziemi
 Nie ma Odyssej mogiły ! On żyje ! Może go więżą
 Jacyś okrutni i wraży mężowie na wyspie bezludnej

Wśród szumnie-piennych wód, a on wobec gwałtu bezsilny.
Lecz teraz tobie wyjawię, co w duszach bogów się dzieje
I co już widzę ziszczone, lubom nie żaden wróżbita
Ani jasnowidz, co przyszłość zwiastuje z lotu ptasiego :
Czas go już, wierę, niedługi od młótej dzieli ojczyzny,
Choćby go krępy z żelaza dzierżyły. Bez odpocznienia
Rozmyśla, jakby powrócić, a czek to jest wielce przemyślny.
Wzamian i ty mi opowiedz wszystko, a wyznaj otwarcie :
Czyliś naprawdę jest synem Odysa ? Boć w samej rzeczy
Twa głowa, a także oczy przecudne być się wydają
Te same, co i u niego... Przecież to w czasach drzewiejszych
Nieraz gościliśmy siebie, zanim popłynął do Troi
Tym szlakiem, kędy najlepsi spośród Achajów płynęli
W drążonych nawach... Ach, odtąd anim ja Odysseusza,
Ani on mnie już nie widział !"

Na to odrzecz Telemach

Po myśli wielce rozważnej : „O, gościu, powiem ci szczerze :
Matka mi zawsze powtarza, że syn Odysa, wszelako
Pewności nie mam, bo któryż człowiek wie, kto go spłodził ?
O, wolałbym ja nasieniem być męża, co więcej ma szczęścia
I włada swoim dobytkiem i czeka na starość spokojną.
Lecz, iżeś o to mnie pytał, więc znaj : ze wszech śmiertelników
Człowiek najbardziej nieszczęsny jest ponoć moim rodzicem”.
Na to odrzecz Atene, bogini o bławych żrenicach :
„O nie, nie zechcą bogowie, by ród twój zginął bez chwały,
Skoło cię Penelopeja takim w swym łonie poczęła.
Lecz nuż, rzeknij mi teraz, a prawdę wyznaj otwarcie :
Co się tu dzieje ? Jakaż to uczta, czy gdyby weselne
Sprawiasz tu komu, boć nie jest to chyba biesiada składkowa ?
Szpetnie ta zgraja zuchwalców po całym panoszy się domu !
Na widok takowej niesprawy — zaiste — oburzyć się musi
Wszelki człowiek rozumny, skoro te progi przestąpi”.
Jakoż odpowie Telemach po myśli wielce rozważnej :
„Iżeś, mój gościu, spragniony słyszeć, więc ci odpowiem.
Szanowny był ongi ten dom i słynął swoimi bogactwami,
Póki żył w kraju ów mąż i między nami tu mieszkał.
Lecz teraz gniewni bogowie inaczej swą wolą zrzadzili :
Jemu jednemu ze wszystkich śmiertelnych spełnili przeklęstwo.
Niechajby zginął : zaprawdę mniejbym się w duszy posępił,
Niechby tam razem z druhami padł w boju na ziemi trojańskiej,
Lub skonał w ramionach przyjaciół po wojnie szczęśliwie

[przebytej.

Wtedyby wszystek lud Greków kurhan wysoki mu sypał,
A mnie, synowi, zakwitłaby chwała u przyszłych pokoleń.
A tak — bez chwały nijakiej już go tam Harpie porwały,

I wszelki po nim zaginął i słych i wid ; on w puściźnie
Jeno mi gorzki zostawił szloch i młde narzekanie !
Ale nie jemu jedynie — me łzy ! Mnie jeszcze bogowie
Insze zesłali strapienie : ilu ich tylko tam żywie
Wysp okolicznych dziedziców, paniczów na Samie, Dulichion
Oraz na leśnym Zacyncie, ilu wielmożów tam mieszka
Na skalnej naszej Itace, tylu ich dom mój zalega
I matce mej się zaleca, wierę, w swadziebnych zamiarach.
A matka ani się zgodzić na wstrętne zaloty nie umie,
Ani powiedzieć im : nie ! Tymczasem oni zjadają
Cały mój dom i niebawem samego mnie tu rozszarpia !”
I gniewem zawrzała Atene i tak zawołała : „O biada !
Jakżeś daleki Odyssej potrzebny tutaj, by ręka
Twoja karząca nareszcie spadła na gachy niesromne !
Cudowny byłby to widok, gdyby tak teraz w przedsionku
Stał a zbrojny był w szłom i tarczę i dwie miał kopije !
W takiej to ongi postaci jam po raz pierwszy go ujrzał,
Gdy w naszym domu usiadłszy swe serce winem radował.
W on czas przypłynął z Efyry, od Mermerydy Ilosa,
Trutki szukając, co męża niechybną śmiercią uracza,
Aby nią belty spiżowe maścił u strzał swych pierzastych.
I zadrżał Ilos przed gniewem bogów i trutki mu nie dał,
Aż mu ją ojciec mój dał, bo zdawna go w sercu miłował.
Więc gdyby boski Odyssej taki się gachom ukazał,
Rychliwy byłby ich kres i gorzkie zwarzone wesele !
Aliści wiedza o wszystkim : czy wróci on czy nie wróci,
Czy robi tutaj porządek — na boskich spoczywa kolanach.
Tobie atoli powiadam : pomyśl, jak wygnać z pałacu
Gachów hałastrę, więc słowo moje noś w swojej duszy :
Jutro o świcie powołasz na rynek waleczne Achaje,
Powiesz im słowo i niechaj bogowie ci będą świadkami.
Każdego zaś zalotnika w domowe odeślij pielesze,
A jeśli matka w swej duszy pragnie raz jeszcze wyjść za mąż,
Niech wprzód powraca do domu swego wielkiego rodzica,
A tam niech huczne jej sprawią wesele, i wiano bogate
Sposobią, godne tak lubej córy, gdy śluby zawiera.
Tobie samemu zaś dobrą doradę dam, więc posłuchaj :
Weźmiesz najlepszy swój okręt o wiosłach, mówię, dwudziestu,
I ruszysz w drogę, by szukać ojca, co przepadł tak dawno.
Może tam który śmiertelnik, gdzieś na tej ziemi go widział,
Lub też powiastkę jakową o nim usłyszysz, bo siła
Bajek wśród ludzi się błąka, sam Dzeus je chętnie rozsiewa.
Najpierw do Pylos się udasz, boskiego wybadać Nestora,
A potem Spartę odwiedzisz i Menelaja wypytasz,
Który ze wszystkich spiżowo-pancernych Achajów wrócił ostatni.

Jeżeli ówdzie zastyszysz, że ojciec żyw i że wraca,
Może ich podłe zniewagi przecierpisz, aby do roku,
Jeśli atoli się dowiesz, że śmierć go już z życia zabrała
W te pędy wracaj na miłą ziemię Twych ojców, praocjów
Kurhan mu sypać wysoki i szczodre składać podarki,
Jako przystoi, w grobowy dół, a potem matenkę
Wyдай za męża! A kiedy to wszystko już będzie spełnione,
Ta jedna myśl niechaj odtąd głębi twego serca nurtuje:
Jako masz zgnieść zalotników w komnatach swego pałacu,
Czy oko w oko w otwartym boju, czy raczej podstępem.
Dłużej ci już nie przystoi beczynnie stać niby dziecko:
Porzuć dziecięce igraszki, skoroś jest człowiek dojrzały!
A wiesz ty, jaka to chwała Orestesowi zakwitła,
Wśród wszystkich ludów, że zasiekł mordercę ojca lubego,
Chytrego w sercu Ajgista? I ty, o mój przyjacielu,
Masz, jako widzę, i roślność i niepoślednią urodę,
Okaż moc, a zastyniesz sławą w przyszłych pokoleniach.
Pójdę ja teraz w dolinę, gdzie łódź moja chyłka i druhy,
Oni już pewno się krzywią, iż tak długo zostawam,
Ale ty wspomnij na słowo moje i noś je w swej duszy".
Na to odrzecz Telemach po myśli wielce rozważnej:
„O gościu, twa mowa płynęła z serca, co szczerze miłuje.
Mówiłeś, jak ojciec do syna i nigdy twych słów nie przepomnę.
Atoli zostań tu jeszcze, lubo tak śpieszno ci w drogę,
Wykąp się najpierw w mym domu i pokrzep miłe swe serce,
A potem możesz stąd iść z weselem w duszy ku nawie,
Kosztowny niosąc podarek, pyszny ode mnie gościniec:
Niech świadczy, jakom drogiego gościa serdecznie odprawiał".
Na to odpowie Atene, bogini o bławych żrenicach:
„O, nie zatrzymuj mnie teraz, bo czas mi w drogę, lecz skoro
Twe miłe serce ci każe gościniec nadobny mi dawać,
Wezmę go sobie, gdy będę wracał do domu — a ujrysz
Jakać za piękny podarek — sowita czeka odwdzięka".
To powiedziawszy, odeszła Atene o sowych żrenicach,
Niby ptak wyfrunęła kominem i nikt jej nie widział.
Jemu przydała zaś moc i twardą chęć i odwagę,
A w serce większą niż wprzód tęsknotę tchnęła za ojcem.
I gdy tak stał zadumany, dreszcz grozy mu duszę ozonał,
Bo odgadł tuż obok siebie wiecznego bóstwa obecność.

I stanął pośrodku zalotnych, wyniosły a bogom podobny.
Bez słów, bez ruchu siedzieli w pieśniarza śpiew zasluchani,
Jenże im śpiewał pieśń o smętnym Achajów powrocie,
Jako wracali spod Troi, ścigani gniewem Pallady.

Atoli Penelopeja, cne dziecię Ikariosowe,
W górnej siedziała komorze, gdzie słodki dźwięk ją doleciał.
Wstała więc z krzesła i zeszła w dół wyniosłymi schodami,
Juści nie sama, bo dwie służebne krok w krok za nią suną.
Wchodzi do sali boska wśród niewiast, do zalotników,
Cicho przystaje na progu, wsparta o filar, co dźwiga
Dach deszczochronny, i namiot z czoła na lico obsuwa.
(Po lewej zaś i po prawej przy pani swej obie służebne).
I tak poczyną ze łzami ku śpiewakowi boskiemu:
„Femiosie, tyle znasz pieśni czarownych, co serca głaskają,
Tyle powieści o bogach i sławnych ludziach, od których
Słyną gędziebni mężowie! W ten uderz ton, gdy tu siedzisz,
Iżby milczenie głębokie tych mężów dokoła spowiło
I cicho spełnili puhary! Ale tej gędźby zaniechaj,
Co smutną nutą me serce miłe rozpaczą rozrywa,
Albowiem jam tu ze wszystkich, jam tu najwięcej cierpiała,
W tęsknej pamięci wskrzeszając tę głowę umiłowaną,
Której blask świeci na całą Helladę, aż w serce Argosu!"
Na to odpowie Telemach po myśli wielce rozważnej:
„Czemuż to, matko, urągasz miłemu nam śpiewakowi,
Że nam zawodzi tak, jak duch mu każe? Bo przedsię
Nie jest to wina aoidów, lecz wina Dzeusa, co dolę
Ludziom cierpiącym rozdał i wedle swej woli natchniewa.
Więc się nie zżymaj na piewęc, iż gądl los gorzki Danajów.
Największą bowiem pochwałę ta pieśń u ludzi zdobywa,
Która nowości powabem uszy słuchaczów owiewa.
Skrzep swoje serce i duszę, a zniesiesz pieśń tę żalotną:
Nie dla jednego Odyssa zgasa nadzieja powrotu,
Jakże ich wielu tam padło trupem w trojańskiej potrzebie!
Więc wróć do swojej komnaty i czyn, co tobie przystoi:
Bacz na kołowrót i kądziel i dozór miej nad dziewczkami!
Słowo zaś troską niech będzie mężów, lecz moją najbardziej,
Jako że moja jest władza i mój jest rozkaz w tym domu!"
I dziw ogarnął matczyne serce i wyszła ze sali,
Bo w duszy swej pochwałała rozumną syna przemowę.
Śpiesznie kroczyła na górę do komnat swoich, a za nią
Obie niewiasty. Tam długo za utęsknionym małżonkiem
Łała łzy, aż Atene oczy płakaniem zmęczone
Snem jej łagodnym zasklepi.

Że się ze sali cieniście
Cofnęła, poczną zalotni z pełnej gardzieli ujaść:
Snać bardzo każdy z nich pragnął leżeć tam przy niej w łóżnicy.
Zaraz więc imie Telemach tak mądrze do nich przemawiać:
„Ej, wy gachowie bezczelni, matkę mi chcecie poślubić?
Teraz ochoczo uczujęm, niechaj ucichnie ta wrzawa!

Zaiste błogo jest siedzieć i słuchać gędźby pieśniarza,
 Skoro jest taki jak ten i śpiewa jak sami bogowie.
 Lecz jutro pójdziem na rynek i wszyscy kołem zasiędziem,
 Tam ja wam powiem donośnie, że macie dom mój opuścić,
 Inakszych sobie szukając biesiad! Możecie dowoli
 Od dworu do dworu się włócząc, własne spożywać dobytki!
 Jeśli atoli wam rzeczą przystojną być się wydaje,
 Jednego męża chudobę zjadać bez żadnej zapłaty,
 To żryjcie! Ale ja krzykiem bogów wieczystych przerażać
 Tak długo będę, dopóki Dzeus na was kary nie ześle:
 Pomrzecie wtedy w tej sali, bez pomsty, jak psy wytępieni!"

To rzekł, a oni siedzieli i wargi swe gryźli zębami:
 Tak bardzo w podziw ich wprawił Telemach mową odważną.
 Ale po chwili zawoła Antinoj, syn Eupejtesa:
 „Oho, Telemachu! Zapewne sami bogowie ci dali
 Gębę tak dużą i takich beczelnych mów wyuczyli!
 Jeszcze cię gotów Kronijon królem tu zrobić na wyspie
 Itace, morzem oblanej, boć twoja to jest ojcowizna".

Na to odrzeczł Telemach, po myśli wielce rozważnej:
 „Powiem ci, mój Antinoju, choć gniewem na mnie się ciskasz:
 I owszem, chętniebym przyjął od Dzeusa takowy podarek,
 Wszak królowanie to nie jest najgorsza rzecz, jaka może
 Zdarzyć się człowiekowi. Są gorsze. Dom zaś królewski
 Skarbami się rychło wypełnia, a człowiek na cześci zyskuje.
 No, ale nie brak tu innych książąt na wyspie Itace
 Morskim oblanej odmętym, ni starych nie brak, ni młodych.
 Więc jeśli boski Odyszej zginął, niech inny panuje,
 Lecz jako żywo, powiadam: nad moim domem i służbą
 Mnie tu jednemu wywalczył dziedzictwo boski Odyszej!
 Na to mu odparł Eurymach, syn Polybosa rodzony:
 „To, Telemachu, jedynie na boskich spoczywa kolanach,
 Kto królem będzie na morzem oblanej wyspie Itace,
 Ale twojego dziedzictwa i domu ty będziesz panem,
 A póki żywy lud będzie Itakę tę zamieszkiwał,
 Nikt nie poważy się własci twej tknąć, ani skarbów rabować!
 Lecz chciałbym, o mój najlepszy, spytać cię względem przybysza:
 Rzeknij mi, proszę, skąd przyszedł i jaka ziemia go rodzi,
 Jakiej on krwi i jakowe dziedzictwa jemu są dane?
 Byłże on posłem, co przyniósł wieść, że twój ojciec już wraca,
 Czyli też własne go sprawy przywiodły k'nam z daleczyzny?
 A czemu nagle tak zwał i nawet poznać się nie dał?
 Sądząc na oko, i owszem — nie najpodlejszą miał postać".

Na to się jemu Telemach bardzo przemyślnie wywinie:
 „O wierzaj mi, Eurymachu, mój ojciec już nie powróci.
 Nigdy ja ucha nie skłaniam poselstwu, co tam go zwiastuje,

Ilekroć matka wróżbitę woła do swojej komnaty
 I pytaniami go dręczy... Zasię ów gość — to ojcowy
 Stary przyjaciel, rodzony w Tafos: on sam się zaszczytnie
 Mieni Mentemem być, synem światłego Anchijalosa
 I królem onego Tafiów narodu, co wiosła miłuje".

To rzekł, lecz w sercu swym znał, że to była bogini.
 A tamci tańcem i gędźbą radosną serce krzepili
 Na zmrok czekając. A gdy tak w błogiej toneli zabawie,
 Już czarna przywlokła się noc. Więc poszli się do snu ułożyć,
 Każdy na swym legowisku. Ale Telemach powoli
 Kroczył wspaniałym podwórcem ku swej sypialnej komnacie,
 Na polu szczerym wzniesionej, skąd widok był bardzo rozległy.
 Brzemieniem myśli obarczon swojego łoża jął szukać
 W blasku dwu smolnych pochodni; niosła je przed nim oddana
 Staruszka, córka Opsowa, a wnuczka Pejzenorowa:
 Cna Eurykleja, szafarka. Kupił ją niegdyś Laertes,
 Gdy na dziewicę podrosła, za hożych byków dwadzieścia
 I w domie swoim ją trzymał godnie jak własną małżonkę.
 Wszakże nie sypiał z nią nigdy, gdyż bał się gniewu swej żony.
 Ona to niosła przed chłopcem smolne łuczywa. To ona
 Spośród służebnej czeladzi najczulej go pieczołowiała,
 Karmiła, kiedy był dzieckiem... Jakoż Telemach otwiera
 Drzwi od misternie wzniesionej sypialni i siada na łożu
 I zwleka miękkie swe szaty i Euryklei je rzuca.
 A staruszczenka je zręcznie chwytła mądrymi rękami,
 Lekkucho fałdy wygładza i cicho wiesza na kółku,
 Tuż przy łożnicy rzemieńmi mocno na spodzie splecionej.
 Potem wychodzi z komnaty i drzwi za srebrną obrączkę
 Silnie pociąga i rygłem skórzanym wpoprzek zamyka.
 Otulon runem owieczki całą noc dumiał Telemach
 O tej podróży, co go czekała z namowy Ateny.

Odyssei część piąta

PROM ODYSOWY

Już się podniosła Jutrzenka z łoża pysznego Tytona
 I światło niesie dla bogów i światło niesie dla ludzi.
 A nieśmiertelni zasiedli na wiecę, zaś między nimi
 Gromiący na wysokościach Dzeus jako mocarz najwyższy.
 Toli Atene pamiętna, ile tam cierpi Odyszej

U nimfy, w domu niewoli — tak wobec bogów przemówi :
 „Dzeusie, rodzicu i wy szczęśliwi, wieczni bogowie !
 Niech odtąd żaden już król, dzierżący berło nie będzie
 Łagodny, ni dobrotliwy, ni serca sprawiedliwego,
 Jenó niech serce ma twarde, niech będzie srogi, gwałtowny,
 Albowiem nikt już wśród ludzi, którym królował, zaprawdę,
 Jak dobry ojciec — nie raczy pamiętać boskiego Odyssa.
 Straszliwą nękaną boleścią na wyspie dalekiej on leży
 W komnatach nimfy Kalipso — a ta go trzyma przemocą
 I trzyma, więc jakże mu wracać do lubej ziemi ojczyznej ?
 Ani okrętów on nie ma, ni wiosł i nie ma on druhów,
 Którzyby z nim popłynęli po grzbiecie mórz rozłożystym.
 A ninie — najukochańszy jednak ma być mu usieczon
 W drodze do domu, boć jeździł sięgnąć języka o ojcu
 W przeświętym Pylos i w boskiej krainie Lakedajmonu !”
 Na to jej tak odpowiedział Dzeus, który chmury zgromadza :
 „Dziecko me, jakież to słowo wydarło się spoza twych zębów ?
 Przecie-żes sama rozumem swoim tę myśl umyśliła,
 Iżby Odysej powrócił i pomstę wziął sobie z gachów !
 Telemacha zaś przepraw ostrożnie, bo w twojej to mocy :
 Niech zdrów i cały powraca na ziemię ojców. Wszelako
 Gachy niech w nawie swej wrócą z zasadzki z pustymi rękami !”
 To rzekł, i syna lubego Hermesa ku sobie przyzywa :
 „Sam tu, Hermesie, zwiastunie wszystkiego, co ja postanowię !
 Nimfie o pięknych warkoczach zanieś niezłomny mój wyrok :
 Wracać ma chrobry Odysej ! A wracać on będzie samotny,
 I ani bogi i ani śmiertelni z nim będą płynęli
 Na tratwie mocno spojonej. Srogi on zniesie mitręgi,
 Aż póki dnia dwudziestego do żyznej Scherji zapłynie,
 Do ziemi onych Feaków, którzy krewieństwem z bogami
 Są powiązani — Feaki serdeczną cześć mu okażą,
 Jak bóstwu — a potem go w nawie do lubej wyprawia ojczyzny.
 I tyle dadzą mu spiżu, a złota, a tkanin wybornych,
 Ile by nawet sam Odyss spod Troi sobie nie zdołał
 Nazwozić, gdyby z łupami, bez szwanku wracał. Aliści
 I tak pozwolą mu Mojry oglądać którzy mu mili
 I dom wysoko sklepiony powitać i ziemię praojców”.
 To rzekł, a słuchał go szparki wystannik, zabójca Argosa.
 W mąg obu stopy i związał swe ambrożyjskie sandały,
 Śliczne, ze złota szczerego : na nich jak podmuch wichrowy
 Ponad wodami polata i lądy przebieża dalekie.
 I zabrał kij czarodziejski, którym, gdy zechce, zamyka
 Oczy śmiertelnych, lub z snienia budzi pośnionych, gdy zechce.
 Z tą różdżką w ręku, potężny, w lot wzbił się morderz Argosa
 I runął z nieba na Pierję i chodził po falach odmetu

Jako ta mewa — rybitwa, co sobie ryby poławia
 W straszliwej wód zbałwanionych otchłani, więc gęste swe lotki
 W słonej fali ubroczy. Ptakowi temu podobien,
 Śmigał Hermejas po grzbiecie zwałnionych morza bezmiarów.
 A kiedy wreszcie przyleciał do wyspy zgubionej wśród toni
 I z nurtów o barwie fijołków na brzeg wynurzył się suchy,
 Poszedł i wrychle odnalazł wielką, zaprawdę, jaskinię,
 W której mieszkała Kalipso, nimfa o pięknych warkoczach.
 Zastał ją doma. Albowiem na wielkim ogniu płonęły
 Cedrowe szczapy, łupane dobrze, i pachność żywiczna
 Po całej niosła się wyspie od dymu z cyprysów i cedrów.
 Ale od wnętrza się niosło pienie z gardzieli mileńkiej :
 To nimfa śpiewała przy krosnach, tkala i złotym czółtenkiem
 Nitkę wodziła przędzielną. W okoku zaś tej jaskini
 Las się zielenił, a w lesie onym zbratały się z sobą
 Sokory, olchy, a także cudnie pachnące cyprysy.
 W gęstym liściu tu ptacy się gnieźdzą o skrzydłach szerokich,
 Tu sypia sowa, tu jastrząb i gawron z przydługim jęzorem,
 Obyty z morzem ; zaś morze, przychylne ptactwu — je żywi.
 Wejście do groty oplata bujny, zielony winograd,
 Aż napęczniały od słodkiej dostałych gron obfitości.
 Czystej wody krynicznej były tam cztery źródła,
 Jedno przy drugim, z każdego zaś wybiegały poniki
 To tędy się wijąc, to tędy, a wszędy runiły się łąki
 Łagodne, pełne kwitnących fijołków i wonnych opichów.
 Zaprawdę, takim widokiem bóg nawet by nieśmiertelny
 Swe boskie serce radował, a oczy upajał zachwytem.
 Więc nie dziw, że i zabójca Argosa stał oczarowan.
 A gdy wszystkimi już cudy duszę do syta nakarmił,
 Wszedł do pieczary. I patrzcie ! Ledwo nań spojrzy Kalipso,
 Boska wśród bogiń, natychmiast pozna go, gdyż nieśmiertelni
 Dobrze się znają, chociażby na oczy swoje przenigdy
 Wzajem się nie oglądali : daleko od siebie mieszkając.
 Aliści wielkodusznego Odyssa w jaskini nie zastał,
 Bowiem ten siedział nad morzem, jako siadywał tam co dzień
 Głośno szlochając i jękiem i westchnieniami rozrywał
 Serce szarpane boleścią, a oczy, z których bez końca
 Lały się łzy — na pustynię tę morską wysyłał i topił.
 Jakoż zapyta Hermesa Kalipso, boska wśród bogiń,
 Prosząc, by usiadł na tronie, co skrzył się i jarzył od blasku :
 „Powiedz mi ty, który dzierżysz kij pozłocisty : ku woli
 Czemu przybywasz ? Czcigodny i miłyś mi, chociaż tak rzadko
 Zaszczycasz progi te. Z serca spełnię ja twoje życzenie,
 Jeśli to tylko w mej mocy i jeśli spełnić je można.
 Lecz, racz do środka i pozwól, abym cię wpięrow ugościła”.

To powiedziawszy, bogini przysuwa stół zastawiony
 Suto ambrosją, i nektar czerwony miesza w pucharze.
 Więc sobie jadł i popijał gończy zabójca Argosa,
 A gdy się syto uraczył i serce swe jadłem pokrzepił,
 W te słowa ją odpowiadać na to, co ona mówiła :
 „Ze mnie tak pytasz, bogini, boga, com tu przywędrował,
 Więc ci odpowiem bez fałszu, skoro takowa twa wola.
 Dzeus mi tu lecieć rozkazał, jam nie chciał. Któż z dobrawoli
 Pędziłby po tych bezkresnych wód gorzko-słonych pustaciach,
 Kędyć nijakie osiedle śmiertelnych nie wita i bogom
 Nikto ofiar nie składa świętych, ni secin wybornych?
 Lecz, gdzie ten bóg, co się waży odmienić lub udaremnić
 Zamysły Dzeusa-rodzica, który potrzasa egidą?
 Mówią, że trzymasz u siebie najędźniejszego z tych mężów,
 Co dziewięć lat wojowali dokoła Pryjama warowni,
 Aż ją w dziesiątym zburzyli roku i do dom wrócili.
 Aliści w drodze powrotnej czymś urazili Atenę,
 A ta — im na złość — obudzi zły wiatr i potworne bałwany.
 Tako więc szczęła do szczętu szlachetna brać Odyssowa,
 Jego samego zaś tutaj zapędził wicher i fala.
 Lecz tobie Dzeus nakazuje czym prędzej stąd go odesłać,
 Przedsię mu nie jestznaczono umierać zdala od swoich,
 Mojry mu wszak pozwoliły oglądać którzy mu mili
 I dom wysoko sklepiony powitać i ziemię praojców”.
 Rzekł, a przelękała się bardzo Kalipso, boska wśród bogiń,
 I słowa uskrzydłonymi odparła, tak przemawiając :
 „Jakże okrutni jesteście, niebianie, o jakże zawistni
 Boginiom, jeśli tam która jawnie, bez wszelkiej pochyby,
 Śpi z śmiertelnikiem, wybrawszy go sobie na męża lubego !
 Gdy raz Jutrzenka o palcach różanych uwiodła Oriona,
 Taki was gniew o bogowie, żyjący w spokoju, ogarnął,
 Aże go wam ustrzeliła w Otrygji cichymi brzechwami
 Artemis, czysta dziewica, co tron złocisty zasiada.
 A kiedy sercu folgując pięknie trefiona Demeter
 Obląpi się w miłowaniu z Jazjonem, na owym ugorze
 Po trzykroć orką porzniętym, wrychle ich Dzeus tam wypatrzy
 I własnoręcznie Jazjona świetlistym utrupi piorunem.
 Teraz się na mnie boczycie, bogowie, że mam śmiertelnika !
 Jam go od śmierci zbawiła, gdy, uczepiwszy się belki
 Rozbitej nawy, przyplynał. To Dzeus ją zgruchotał, świetlistym
 Rażąc piorunem na środku morza ciemnego jak wino.
 Tako więc szczęła do szczętu szlachetna brać odyssowa,
 Jego samego zaś tutaj zapędził wicher i fala.
 A jam go umiłowała, jam podkarmiła, ja jemu
 Byt nieśmiertelny przyrzekałam i niekończącą się młodość.

Lecz gdzież ten bóg, co się waży odmienić lub udaremnić
 Zamysły Dzeusa-rodzica, który potrzasa egidą?
 Skoro więc Dzeus go na morską pustynię znów gwałtem wypycha,
 Niech sobie idzie ! Atoli nie mnie go w drogę wyprowadzić :
 Ani okrętów ja nie mam, ni wiosła i nie mam ja druhów,
 Którzyby z nim popłynęli po grzbiecie wód rozłożystym.
 Ja mu jedynie usługę radą, niczego nie tając,
 Jako ma wracać bezpiecznie i cało do ojców swych ziemi”.
 Na to jej tak odpowiada gończy bóg, morderz Argosa :
 „Więc wypraw go bez odwłoki i drżj przed gniewem
 [dzeusowym,
 Żeby zaś potem się nie mścił nad tobą w straszliwej srogości”.
 To rzekł i wraz się ulotnił potężny zabójca Argosa,
 Czcigodna nimfa zaś idzie do wielkodusznego Odysa
 W kornym posłuchu rozkazom Dzeusa. I tak go znachodzi :
 Na skałach siedzi wybrzeża, a ślony mu ciekłą i ciekłą,
 A oczy nie schną i słodkie życie on tak wypłakuje,
 Bowiem domarad go zżerał, a nimfa mu się sprzykrzyła.
 Juści nocami on musiał sypiać z nią w grocie sklepionej,
 Nijakiej żądy nie czując ku nimfie tej pochutliwej.
 Całymi dniami natomiast na skalnym siadywał wybrzeżu
 Głośno szlochając i jękiem i westchnieniami rozrywał
 Serce szarpane boleścią, a oczy, z których bez końca
 Lały się łzy — na pustynię morską wysyłał i topił.
 Podchodzi do niego bliźniutko boska wśród bogiń i rzecze :
 „Nieboże, przestań się trapić i niech ci już żywot nie schodzi
 Na ciągłym szlochu, ja rada puszcze cię w drogę. Więc, nuże
 Pościnaj kłody olbrzymie i spiżem je obrób i spajaj
 Tak, abyś prom miał szeroki, nad nim wysoko tarcice
 Przybij, a tratwa takowa po mrocznym poniesie cię morzu.
 Ja ci zaś chleba dam, wody i wina o barwie czerwonej,
 Ile twe serce zapagnie, abyś mógł łakność odegnać.
 Takoż cię w szaty oblokę i wiatr za tobą pomyślny
 Pobudzę, byś zdrowo i cało na ziemię powrócił ojczystą,
 Jeśli tak zechcą bogowie, niebieskich przestworów władacze,
 Tak bardzo ode mnie mocniejszy i w pomyśleniu i w czynach”.
 Rzekła, a przelękał się wielce boski cierpiennik Odyszej
 I tak jej odparł, a mówił chyżo-lotnymi słowami :
 „Coś mi inszego uknułaś, bogini, niżeli mój powrót,
 Skoro mi każesz na tratwie po wielkiej żeglować otchłani
 Straszliwych i niezmiernych wód ! Nawet szparko płynące
 Korabie nie mogą jej przepłynąć, choć Dzeusa podmuch im sprzyja.
 Przeto na prom ja nie wejść, choć na złość tobie, nie wejść,
 Zanim mi ty, o bogini, wielkiej nie złożysz przysięgi,
 Jako że więcej niczego na zgubę moją nie knowasz !”

Rzekł, a zaśmiewa się na to Kalipso, boska wśród bogiń,
 Ręką go głaszcze miłenko i tymi słowy odpowie :
 „Ej, szpaczek z ciebie jest chytry i w worku nie dasz się
 [sprzedać,

Skoroś potrafił te słowa wymyślić i wypowiedzieć.
 Lecz niechaj świadkiem mi będzie ziemia i niebo tam w górze
 I woda Styksu, pod ziemią płynąca ! A jest to największa
 I najstraszliwsza przysięga, jaką szczęśliwi bogowie
 Się klną : że tobie na zgubę niczego już nie uknuję.
 Przecie rozważam i radzęć tak samo, jakbym ja sobie
 Radziła, jeśli by los mój — twojej podobien był doli.
 Ja też godziwy mam umysł, a w piersiach moich bynajmniej
 Serce nie bije z żelaza, lecz pełne jest litosierdza'.

To rzekłszy, boska wśród bogiń pośpiesznym prowadzi go krokiem,
 A on w jej ślady podąża. I weszli do środka sklepionej
 Jaskini : bóstwo i człowiek. Tam Odyss usiadł na tronie,
 Tym samym, z którego niedawno podniósł się gończy Hermejas.
 Nimfa zaś przed nim zastawia strawę i napój wszelaki,
 Jakim śmiertelni mężowie się raczą, by jadł i popijał.

Sama usiadła naprzeciw męża boskiego, Odyssa,
 A jej — ambrozję i nektar podają służebne dziewczeczki.
 Jeśli więc chwycić rękami leżące przed nimi przysmaki.
 A gdy dosyta spożyli karmi i trunków wypili,

Pierwszym odezwie się słowem Kalipso, boska wśród bogiń :
 „Szczepie dzeusowy, synu Laerta, przemądry Odyssie !
 I oto mię już opuszczasz ? Do domu chcesz jechać miłego
 W oczystej ziemi ? Ha, trudno ! Najlepsze życzenia na drogę !
 A jednak, gdybyś w swym sercu przewidzieć mógł te okropne
 Męki, co ciebie czekają, nim dotrzesz do ziemi twych ojców,

Wolejbyś ze mną pozostał i domu tego pilnował
 I byłbyś tu nieśmiertelny, lubo tak bardzo chcesz ujrzeć
 Małżonkę swoją, do której tażysz i wzdychasz przez wszystkie
 Swe dni ! A chyba mam prawo chęć się, iż nie jestem
 Od żony twej pośledniejsza ni wzrostem ani urodą ?

Bo nie lża śmiertelnym niewiastom z nieśmiertelnymi w zawody
 Stawać o roślność postaci, wysmukłość, czy urodziwość''.
 Na to jej tak odpowiada przemyślny, mądry Odysej :

„Godna bogini, o nie bądź mi gniewna, wszak sam ci wiem
 [dobrze,

Jaką przy tobie nikczemną i postać ma i urodę
 Przezorna Penelopeja : to widać na pierwszy rzut oka !
 I nie dziw : wszak ona śmiertelna, tyś — wieczna i wiecznieś ty
 [młoda.

A jednak ku niej się rwę, przez wszystkie me dni do niej
 [wzdycham,

Do domu tażę i pragnę powrotu dożyć godziny.
 A jeśli znów któryś z bogów na ciemnym zgruchocze mnie morzu,
 Niech będzie ! Zniosę i to, bo serce mam w piersiach cierpliwe.
 Tylem ja zniósł już utrapień, tylem mazołów doświadczył,
 Czy to na falach czy w boju, — więc jeszcze niech los mi dołoży !''
 Rzekł, a chyliło się słońce i mrok nadciągał, więc poszli
 W głąb wydrążonej jaskini. Tam legli z sobą w miłosnym,
 Wierę, uścisku, radując się wzajem a odpoczywając.

A skoro z świtem powstała Eos o palcach różanych,
 Rażno Odysej przywdziewa chiton i chłajnę, zaś nimfa
 Cieniutki ale szeroki faros na siebie narzuca,
 Przetkany srebrnymi nitkami i zwiewny, — aż miło jest spojrzeć.
 W biodrach opina się pasem przesłicznym a złotolitym,
 Głowę okrywa namiotem. Zaraz też pocnie się krzątać,
 Wyprawę morską sposobiąc wielkodusznego Odyssa.
 Okszę mu wręcza potężną i składną w dłoniach, spiżową,
 A obosieczną. Styliśko jej było z pnia oliwnego —
 Kształtowne i dobrze spojone. Dała mu również toporek
 Ciesielski, gładko ciosany. Zaczynam prowadzić go drogą
 Na kraniec wyspy, gdzie rosły ogromne drzewa, więc : olchy,
 A więc sokory, a także sosny, co niebios sięgają.
 Drzewstwo to stare i suche jest do żeglugi przydatne
 Ku woli swojej lekkości. Boska wśród bogiń Kalipso
 Wskaże mu wielkie te drzewa, a potem do domu powróci.
 Ścinał więc śniaty Odysej i wartko szła mu robota.
 Już ich dwadzieścia powalił spiżem i gładko ociosał
 I umiejętnie, ciesielską mierząc linewką, wyrównał.
 Wtedy mu świdry przynosi boska wśród bogiń Kalipso,
 Więc Odyss dziury wywiercał w dylach aż równo je złożył,
 Kołki wbijając w tarcice, które pospajał kłami.
 A jako człowiek świadomy ciesiołki szerokich korabiorów
 Wymierza dno ładownego statku, tak samo szeroką
 Tratwę budował był sobie Odysej. Więc pokład ustawiał,
 Wsparty na gęstym szeregu żeber, zaś to żebrowanie
 Burtą opatrzył z ogromnych desek. Na środku komiegi
 Wbił maszt wraz z reją poprzeczną, toż — rudło do sterowania.
 Cały ten kadłub ogacił dokoła plecioną wikliną,
 By opór stawiać mógł falom. Dno szkuty obciążył gałęzmi.
 Natenczas boska wśród bogiń Kalipso przyniosła mu płótno,
 By żagle z niego sporządził, a on i żagle zmajsztrował.
 Na koniec liny związawszy rejowe, kardele i tryski,
 Spuścił swój prom lewarami na wody boskie a stone.
 I czwarty nastał już dzień, gdy wszystko było gotowe,
 Lecz dnia piątego wyprawi go boska Kalipso z ostrowiu :

W szaty go przyobłoczywszy pachnące, a wykapawszy.
 Potem do skutu mu włoży buklaki dwa : jeden — winem
 Czarniawym był napelniony, a wtóry, ten większy zaś — wodą.
 Takż mu wór da skórzany pełen wszelakich przysmaków
 Sycących łakność w podróży. Aliści na tym nie koniec :
 Onaż bo dłań obudziła wietrzyk łagodny i miły,
 Więc wiatrem uradowany Odysej żagle rozwinął
 I siadł i, rudło ująwszy w świadome ręce, sterował.
 Ani razu nie padła senność na jego powieki,
 Wzrok bowiem wlepił w Plejady, w Pasterza wołów, co późno
 Zasypia i w Niedźwiedzicę (którą niekiedy też Wozem
 Zowią Niebieskim, choć w jednym miejscu się kręci, w Oriona
 Gapi się ciągle i nigdy nie kąpie się w Oceanie).
 Śledził ją Odyss, gdyż boska Kalipso mu przykazywała,
 By Niedźwiedzicę po lewej miał ręce, żeglując po morzu.
 Dni siedemnaście pruł morze, osiemnastego zaś ujrzał
 Cieniste wierzchy Feaków ziemi. Leżała tak blisko,
 A wyglądała jak tarcza na ciemnych morza rozłogach.
 Lecz ujrzał go z dala Pozejdon, władca co ziemią potrzasa,
 Gdy od Etjopów powracał. Z gór go zaoczył Solymskich,
 Jak płynie morzem : i gniewem jeszcze straszniejszym zapłonął,
 Głową potrzasał i w złości tak do swej duszy przemówił :
 Gorze ! Oto snąc inszą rzecz uradzili bogowie
 Gwoli Odyssa, w tym czasie, gdy ja u Etjopów popasał !
 Zaprawdę, już się on zbliża ku ziemi Feaków, gdzie los mu
 Dozwoli czmychnąć z obieży utrapień, co tak go nękają.
 Ale, powiadam, do syta on jeszcze się naje niedoli !
 To rzekłszy, chmury zgromadził i wzburzył morze, imając
 Trójjąb rękami i wszystkie podbechtal naraz orkany.
 Czarnym chmurzywem obłóczył ziemię i morze zarówno
 I noc zwała się z niebios. Zahulał Euros i Notos
 I Zefir groźnie szumiący, a z nim zrodzony z eteru
 Dunął Boreasz i wielkie utoczył i spiętrzył bałwany.
 O wierę, zadrzą kolana i miłe serce Odyssa
 I wdychający przemówi do swojej duszy wspaniałej :
 „Ach, ja nieszczęsny ! Co teraz mnie spotkać ma na dobitkę ?
 Straszno pomyśleć, że wszystko, co rzekła bogini, się iści :
 Onaż mi przepowiedziała nieszczęście na morzu bez liku,
 Nim wrócę na ziemię mych ojców. A ot — przepowiednia się
 [spełnia !
 Aaaa ! Jakież chmury zaciąga Dzeus na szerokie niebiosy,
 Morze rozjusza, i z wszystkich stron rozsalały się wichry,
 Teraz już pewno ostatnia nadeszła dla mnie godzina.
 Trzykroć szczęśliwi Danaje, czterokroć, albowiem zginęli
 Pod Troją na pobojszczu rozległym — tak synom Atreja

Serdeczną spełniając przysługę ! — I ja — bogdajbym tam skonał
 I zgubę znalazł onego dnia, gdy nad trupem Pelidy
 Stał : a tu we mnie godzili Trojanie lasem spiżowych
 Błyszczących dzid ! U Achajów miałbym ja wonczas i godny
 Pochówek, miałbym i sławę, lecz, widać, jest mi znaczone
 Niestawną śmiercią na morzu dokonać mojego żywota !
 Jeszcze tych słów nie dokończył, gdy z góry runął nań straszny
 Bałwan i promem zatargał tak mocno, aż prom się wyrzucił ;
 A Odyss daleko od tratwy do morza wpadł i wypuścił
 Z rąk swoich ster, który dzierzył. Zaś maszt mu na wpół rozłupała
 Groźna orkanów władczyni, która nadciąga w poszumie
 Kotłujących się wichrów. Żagle i maszty daleko
 Rzuciło w morze, zaś jego długo trzymała w swej głębi
 Wzburzona toń. I Odysej nie mocen był na wierzch wypłynąć
 Spod strasznego przygniotu fal, a ciążyła mu również
 Odzież, jaką mu dała boska wśród bogiń Kalipso.
 W końcu, choć późno, wypłynął, i usta gorzyc wypłukał
 Tej morskiej wody, co z głowy grubymi ściekała mu strugi.
 A lubo tak ciężko zemdlony, o szkucie swej nie zapomniał,
 Lecz w pościg za nią się puścił na fale i wrychle jej dopadł.
 W mig usadowił się w środku i tak to uszedł zagładzie.
 Fale go, fale ogromne rzucają i tędy i tędy,
 A jak jesienny Boreasz osty po polu roznosi,
 A one w gęstym się zwarły uścisku, tak tratwą Odyssa
 Miotają wichry po morzu rozległym, i tędy i tędy.
 Najpierw go Notos podrzuci Boreaszowi w objęcia,
 To Euros go Zefirowi na dalsze znów odda pościgi.
 Ale Odyssa ujrzała Ino, o pięknych nóżkach,
 Cna Leukoteja, Kadmosa córka — ta dawniej śmiertelna
 Była i ludzkim mówiła językiem, atoli obecnie
 Cześci zażywa, należnej bóstwu, — wśród morskich odmętów.
 Litość ją zdjęła na widok utrapień Odyssa-tułacza,
 Więc wynurzyła się z nurtów w postaci wodnej kokoszy,
 Na burcie promu usiadła i w te odezwała się słowa :
 „Nieboże, czemuż to ziemią trzęsący Pozejdon na ciebie
 Sierdzi się tak przeokrutnie i bezlik zła ci nażycza ?
 Ale on ciebie nie zgładzi, lubo twej śmierci pożąda.
 Nie zdajesz mi się być obran z rozumu, więc rób, co ci każe :
 Zwłócz z siebie łachy, a tratwę ciśnij, niech porwą ją wiatry,
 Ty sam, rękami pracując, popłyn z nadzieją powrotu
 W sercu — ku ziemi Feaków, gdzie Mojra cię zbawi od zguby.
 Weźże tę chustkę i obwiąż się nią pod piersiami, — ta chustka
 Jest nieśmiertelna, ją mając — kpij sobie z cierpień i śmierci.
 Lecz gdy nareszcie rękami suchego domacasz się lądu,
 Odpasz ją, i za siebie rzuć w morze winnego koloru,

Jak najdalej od brzegu ! A sam się w tył nie odwracam !"
To rzekłszy, bogini mu dała chustkę i w morze zwałnione
Znów zanurzyła się szybko w postaci morskiej kokoszy.
I czarna fala zakryła cną Ino, córę Kadmosa.

Atoli boski cierpiennik Odyszej zaduma się w sobie
I wzdychający przemówi tak do swej duszy wspaniałej :
„Biada mi ! Któreż to bóstwo nowy mi podstęp uknuło,
Kaząc opuścić tę skutę ? Nie pora mi jeszcze go słuchać !
Wierę, daleko jest ziemia, którą me oczy ujrzę,
Ziemia Feaków, gdzie ponoć czeka mię wreszcie przytułek !
Przeto uczynię ja tak jak mi się widzi najlepiej :
Dopóki jeszcze te klamry sprzęgają i dzierżą mi belki,
Dopóty stąd się nie ruszę i zniosę najgorsze udręki.
Lecz skoro tę moją łupinę rozwali fala, ja zasię
Nic nie wymyślę lepszego, wtedy poznacie pływaka !”
A gdy te sprawy rozważał i w sercu swoim i w duszy, —
Ziemią trzęsący Pozejdon sięgnął po falę ogromną,
Ciężką, sklepioną, straszliwą i z całej cisnął nań siły.
A jako wichur gwałtownie wiejący rozmiata z kopicy
Uschniętą plewę, a ona na wszystkie rozprószy się strony,
Tak się rozprysły potężne dyle. Atoli Odyszej
Wspiął się na jedną z tych belek, jak mąż, co dosiada
[wierzchowca,

Zrzucił przyodziew, jakową boska mu dała Kalipso,
Czym prędzej poniżej swych piersi związał się ową przepaską
I głową wpród skoczył w morze, ręce zaś swe tak rozpostarł,
Aby mógł pływać. Lecz dojrzy go władca, co ziemią potrząsa,
Głową swą kręci i z głębi duszy się tako odzywa :
„Tułaj się teraz po morzu, ty, któryś tyle wycierpiał,
Zanim połączysz się z ludźmi, co z Dzeusem są pokumani !
Lecz tuszę, że się nie będziesz skarżył na krzywd niedostatek !”
To rzekł i biczem podbechtął pięknie — grzywiaste rumaki,
Jadąc ku Ajgom, gdzie były przesławne jego pałace.

Lecz córa Dzeusa Atene rzecz zgola inną umyśli :
Wszystkim wichurom i burzom drogę odetnie i każe
Uciszyć się i położyć, więc ścichną i legną pokornie.
Jednego li Boreasza zbudziła, a przeto, by głodził
Fale na szlaku Odysa, iżby mąż z bogów zrodzony
Szczęśliwie dotarł do ziemi Feaków, co wiosła miłują,
Kędy mu jest przeznaczono wywinąć się Kerom i śmierci.

Dwa dni, dwie noce, mocował się z falą potwornie spiętrzoną
I w sercu swym wiele razy oglądał własną zagładę.

Lecz kiedy pięknie trefiona Jutrzenka dzień trzeci zwiastuje,
Wichura spocznie, a wody zalegnie morska umilkłość.
Naówczas Odys, wydętą falą wysoko wyniesion,
Tuż z bliska ziemię obaczy, bystrymi ją śledząc oczyma.
A jako dzieci radośnie witają ojca, co życiu
Jest wrócon po ciężkich męczarniach, a leżał na łożu boleści,
Zwolna marniejąc : albowiem przebrzydły nękał go demon, —
I cieszą się, że bogowie ojca od mąk wyzwolili,
Tak Odys cieszył się, kiedy na ziemię i lasy spoglądał.
Płynął więc raźniej, by prędzej mógł poczuć grunt pod nogami.
A kiedy już na odległość wołania do brzegu się zbliżył,
Głuchy łoskot usłyszał : — to morze waliło o skały.
Z rykiem i szumem nacierał naremny wał na brzeg suchy,
Strasznie rzygając, i słoną pianą tam wszystko zalewał.
A tu — okrętom — nijakiej przystani, ni cichej zatoki,
Jeno te wysterkające skalne występy i rafy !
O wierę, zadrzą kolana i miłe serce Odysa,
I wzdychający przemówi do swojej duszy wspaniałej :
„Biada, gdy Dzeus mi dozwolił niespodziewanie zobaczyć
Ziemię, a skromom szczęśliwie przepłynął takowe topiele, —
Nikędy teraz nie widzę wyjścia z tych siwych odmętów,
Przedemną ostre opoki, a wokół wre rozjuszona
Fala huczącą kipiela, i straszna przede mną gładzizna
Tej skalnej ściany, zaś morze przepastne przy samym jest brzegu !
Jakoż mi stanąć na obu nogach i umknąć z tej doli ?
Jeśli wyleżę, ogromny bałwan mną grzmotnie o głązną
Ścianę, i płony, zaprawdę, będzie mój cały wysięk.
A jeśli dalej mam pływać : nuż znajdę w pobliżu łagodny
Brzeg, albo cichą zatokę, lękam się, że mnie na nowo
Porwie orkanów władczyni i ciężko stękającego
Rzuci daleko na morze, rojne od ryb... Albo z słonej
Ochlani naśle mi demon jakąś straszliwą niestworę,
Wszak tyle ich w morskich głębinach hoduje cna Amfitryta.
A wiem, jak bardzo nie cierpi mnie bóg, który ziemią potrząsa.
A kiedy tak się wagał i w sercu swoim i w duszy,
Porwie go fala potężna i cisnie o skałę na brzegu.
I skórę by zdarło mu z ciała i kości by miał potłuczone,
Gdyby Atene o sowych żrenicach nie pchnęła mu w serce
Tej myśli : wspiąć się i skały ucześcić obiema rękami.
Więc się uczepił, a jęczał, aż bałwan przetoczył się mimo.
Narazie mu się udało. Lecz odbijając od brzegu,
Huknął weń bałwan, oderwał i cisnął daleko na morze.
A jako polip ten morski, wyrwany z kryjówki, na mackach
Mnóstwo ma drobnych kamyczków, tako do skały przylgnęła
Skóra złupiona z odważnych rąk odyssovych, zaś jego

Fala nakryła ogromna. I byłby tak Odyss nieszczęsny
 Zginął naprzekór losowi, gdyby mu znowu Atene,
 Bogini o bławych żrenicach, rozważy w serce nie wlała.
 Więc na powierzchnię wypłynął fal, które z hucznym rozpryskiem
 Tłukły o ląd, i tak płynął brzegiem, szukając na ziemi
 Miejsca, gdzie mógłby lądować, lub cichej, morskiej zatoki.
 I przebił się takim pływaniem do ujścia nadobnie-falistej
 Rzeki : to miejsce się zdało najlepsze do lądowania,
 Bo i od wiatru zakryte i skał tu nijakich nie było.
 Widząc, że ujście to rzeki, tak się w swej duszy pomodlił :
 „Słuchaj mię, władco, kimkolwiek jesteś, ku tobie przybywam,
 Do ciebiei wzdychałem tylekroć, ja, który z pozejdonowej
 Matni na morzu uchodzę. Nawet u bogów jest czczony,
 U nieśmiertelnych, bezdomny tułacz, co błaga przytułku.
 Więc do twej rzeki się kłonię, do kolan twych, wielce uznojon :
 Panie, ulituj się, bowiem jako błagalnik przybywam”.
 Mówi, a bóstwo swe nurty hamuje wraz i wygładza
 Fale i morską umilkłość przed nim rozściela. Tak tedy
 Ocala go w ujściu swej rzeki.

Jemu zaś oba kolana

Ugięły się, i zwiotczały żylaste ręce : tak słone
 Morze mu serce zemdlilo. Wszystka mu skóra na ciele
 Opuchła, a z ust mu i z nozdrzy — morze buchało strugami.
 I leżał bezdechy, bezgłosy i leżał bezsilny — straszliwym
 Mozolem zmożon. A kiedy na nowo już zaczął oddychać
 I w pierś z powrotem mu wstąpił duch, odwiązał tę boską
 Przepaskę i rzucił na rzekę, która płynęła ku morzu,
 Aż ją w swe nurty porwała ogromna fala, i rychło
 Ino ją dłońmi miłymi podjęła. Wszelako Odysej,
 Zdala od rzeki, w sitowiu się zaszył i glebę rodzajną
 Całował. I wzdychający przemówił do wielkiej swej duszy :
 „Biada ! Co cierpieć ja muszę ! I co mi tam jeszcze zagraża !
 Jeśli na rzece mam spędzić okropną nockę, czuwając,
 Wtedy mnie społem zagryzą : zły zamróz i rosa poranna,
 Mnie, co po tylu udrętkach z ledwością dyszę — zemdlony.
 A wierę, zimne od rzeki dmą wiatry o wczesnym świtanu.
 Jeśli natomiast się wdrapię na górkę, gdzie las jest cienisty
 I usnę w krzaków gęstwinie i ziąb ze mnie wyjdzie i niemoc,
 A zato słodki nawiedzi mnie sen, to obawiać się muszę,
 Bym pastwą się nie stał i lupem dla dzikich zwierząt pożernych”.
 Tako się wahającemu druga myśl zdała się lepsza.
 Podążył prosto w zagaje, w pobliżu wody na wzgórzu,
 Skąd widok był wokół rozległy. Tam wpłynął pomiędzy dwa
 [krzewy,

Rosnące razem : a była to dzika oliwka i taka,

Co rodzi owoc. Tak gęsto rosły przy sobie, iż nigdy
 Srogi ich nie przebiję wiatr, nasycony mokrzycą,
 Ani Heliosa pociski promienne tam nie utrafią,
 Ni deszcz ulewny : tak gęsto były ze sobą zrosnięte.
 Tam wpłynął Odyss, i łoże szerokie miłymi rękami
 Jął sobie mościć, gdyż liści leżała tam taka obfitość,
 Iżby dwóch mężów, lub trzech, czasu zimowej kurniawy,
 Choćby się bardzo wściekliła, schronić się mogło wygodnie.
 Widząc to liście, ucieszył się boski cierpiennik Odysej
 I wlał do środka i wszystek listowiem tym się zasypał.
 A jako głównię tlejącą zagrziebie ktoś w czarnym popiele,
 Hen, na krańcach ugoru, gdzie żadnych już nie ma sąsiadów
 I przeto — ognia nasienie ocali, inaczej by musiał
 Chodzić po ogień gdzie indziej, tak Odyss się nakrył liściwem.
 Wtedy Atene powieki snem mu pokropi i stuli,
 By jak najprędzej odpoczął po znojach i utrapieniach.

Przetłóżył z greckiego

Józef WITTLIN

Jeden samotny człowiek

(Rzecz o Konstantym Brandlu)

Surowy i bezwzględny dla siebie samego, Brandel jest surowy dla innych i uznaje tylko jeden autorytet: swoje sumienie artystyczne. Gdyby mu kto powiedział, jak ów mistrz florencki swemu uczniowi: „Studiuj freski Benozza Gozzoli, aż ci się zacząć podobać” — obraziłby się.

Ten indywidualizm przejawiał się zrazu w formie dosyć paradoksalnej. Brandel przyjechał z rodzinnej Warszawy do Krakowa w rok po wyjeździe Przybyszewskiego. Jechał do Akademii, jak się jedzie na Politechnikę — bez cyganerii i za zgodą rodziców. Wspominając te czasy, powie:

— Nie mogłem znieść tej atmosfery. „Malczewski nie jest malarzem. Matejko też nie”. To tak, panie, jakby syn wyparł się swego ojca!

W Paryżu Brandel znalazł się w chwili, gdy nazwiska Cézanne’a, Gauguina i Van Gogha wschodziły na horyzoncie artystycznym, jak trójca słońc wskazujących malarzom drogę. Dla Brandla, sztuka ich była zjawiskiem nowym, wobec którego postawa bezkrytycznego naśladownictwa jest tak samo nie usprawiedliwiona jak bunt przeciw tradycji.

— Nie lubię słowa „rewolucja”, zwłaszcza w sztuce.

— Nie nawiązuje pan więc do nikogo? — zapytałem, zrozpaczony.

— Do Malczewskiego, do Fałata, do Wyczółkowskiego, no, rozumie pan, do wszystkich Polaków, którzy malowali.

I żebyż to była poza! Na taką pozę zdobył się w ostatnich latach życia Tytus Czyżewski, gdy w „Prosto z mostu” ogłosił wielki artykuł, w którym stawiał Matejkę wyżej niż Delacroix. Ale Czyżewski przynajmniej przeszedł gorączkę cézanowską i picassowską, a wreszcie stworzył — nie bez wpływu Francuzów — swoją własną, oryginalną formę. Gest jego tłumaczony był powszechnie jako wyraz oportunizmu politycznego. Sam wybór pisma zbyt był znamienity, by komukolwiek przychodziło do głowy brać tę apologię Matejki dosłownie.

— Niech się pan przyjrzy Podkowińskiemu. We Francji naśladował Moneta, a gdy wrócił, nie umiał namalować polskiego pejzażu.

— Aleksander Gierymski też uczył się u impresjonistów. Pan sam z jego „Altany” dowiedział się, co to jest impresjonizm!

— Ale Gierymski rozumiał, że jak Prowansji nie można malować po włosku czy holendersku, tak Powiśla nie można malować po francusku. „Trąbki” i „Piaskarze” namalowani są po polsku!

Nie mogłem powstrzymać się od złośliwości, która sama się narzucała:

— A pan nie wrócił do Polski. Siedzi pan w Paryżu kamieniem od pół wieku.

Spojrzał na mnie z niespodziewaną sympatią, ale bez uśmiechu:

— Gdy jechałem z Warszawy do Szkoły (*), czułem, że dzieje mi się krzywda: nie powinienem był opuszczać swoich kątów. A gdy w Brazylii odkryłem pejzaż, chciałem wracać do Polski, żeby tam, na polskim krajobrazie zastosować swoje doświadczenia. Przeszkodziła mi wojna. Ale oto...

I pokazuje mi gwasze. Tu Warta pod Jarocinem, ówdzie Kodyńskie, jakiś majątek szlachecki, jakieś ruiny zamku... Wszystko z pamięci, każdy obraz malowany latami całymi, od rzutów twardych i zamaszystych, jak notatka z natury — po powierzchnię wyrównaną, kolorystycznie szarmonizowaną, kontury zatające i cały obraz roztopiony w coraz subtelniejszych dotknięciach pędzla, z których wreszcie najbardziej nieśmiało wydiera przedmiotowi jego najzazdrośniej strzeżoną tajemnicę.

— Jak muzyka — mówi jeden ze stałych gości środowych przy Place Pigalle.

Jak muzyka, rzeczywiście. Malarstwa tego nie sposób zrozumieć bez pogłębionego studium olbrzymiego dzieła rytowniczego Brandla. Jest ono bardziej znane, niż jego malarstwo i plansze brandlowskie wysoko cenione są przez zbieraczy. W nich także nic nie jest na efekt, nic nie podkreśla osobowości artysty, tego ideału współczesnych malarzy, którzy myślą tylko o tym, by „s’imposer”, by wryć się w pamięć publiczności i by wszystkich mniej potężnych skazywać na owo wzgardliwe i obelżywe „to prawdziwy Matisse! to nieomal Picasso!”

Brandel nie ma żądy władzy. Powierzchniowy obserwator mógłby mu zarzucić eklektyzm. Brandel przestudiował wszystkie style, poddawał się urokowi wszystkich wielkich epok sztuki, ale nigdy nie narysował ani nie namalował niczego *à la manière de...* Przyznaje się otwarcie do wpływu Tintoretta (którego nazywa, jak starego znajomego, Robusti) i cieszy go, że „odkrył”

(*) „Akademią” stała się Krakowska Szkoła Sztuk Pięknych w rok po przyjeździe Brandla, ale dla niego na zawsze pozostała „Szkołą”.

Zurbarana, gdy „ludzie przechodzili obok niego w Luwrze nie zauważając go”.

Przesiadywał w katedrach Francji i robił na płycie miedzianej dziwne „syntezy stylów” — od XIII-go wieku poprzez XII-ty, XI-ty, X-ty, aż po Rzym, Pompei i Grecję. Czasem zatraca o secesję, ale tak, że demaskuje jej czysty intelektualizm. Najczęściej jednak czuje się, że Brandel nie widzi obrazu w stylu danej epoki, tylko widzi świat jak go w owej epoce widziano. Nie jest to eklektycyzm dyletanta, ale bogactwo duchowe, dla którego nie co artystyczne nie jest obce.

— Zaczynam *ex nihilo* albo, jeśli pan woli, *ab ovo*!

Oczywiście, w indywidualizmie Brandla jest duma. Jego samotność nie jest dziełem przypadku, ale wyboru. Mówi się o jego franciszkaństwie. Nie mogę potwierdzić tej legendy. Udało mi się prowokować Brandla do wybuchów gniewu. Słyszałem z jego ust najgrubsze słowa. Jego słodycz i uprzejmość są manewrem obronnym. Cytowany już gość środowy zauważył pewnego dnia bystro:

— Pan Konstanty rozróżnia swoich gości subtelnie, jak kolory.

Traktując całą historię sztuki jako sobie współczesną i zamykając się na wpływy epoki, która przepływa i przetwarza się pod oknami jego pracowni — Brandel rzuci wyzwanie czasowi. Nie darmo znajduje przy spartańskim łożu, pokrytym grubą, huculską kapą, książkę John W. Dunne'a „An experiment with time”, której Francuzi dali bardziej brandlowski tytuł „Le temps et le rêve”.

Ma dusza Brandla kręgosłup, jak jego ciało — prosty i nie ugięty.

— Jakim się jest człowiekiem, o to chodzi — mówi i lubi tę sentencję powtarzać.

Nie bardzo zrazu rozumiem. Już wiem, że szanuje rodzinę („jakby się ojca wyparł!”) i że jest wielkim patriotą. Wiem też, że nie dba o dobra doczesne, a przyjaciele obchodzą się z nim, jakby im z dobrotliwym uśmiechem zaglądał w sumienie. Ale oto natrafiamy na planszę, która przedstawia niby Mont Saint-Michel, a przecież nie Mont Saint-Michel.

— Młody wtedy byłem. Wróciłem stamtąd i tak narysowałem. Te mury obronne, te wieżyczki, których nie ma w rzeczywistości. „Na oko!”. Fantazja! Nie byłem człowiekiem...

Mówił to jakby do siebie. Zdaje mi się, że zaczynam go rozumieć. Talent nie jest wszystkim, to w gruncie rzeczy dopiero tworzywo. Talent wodzi po manowcach i rozmienia dzieło na drobne. Jak wszyscy poważni artyści, Brandel szuka „oporu”.

— Malowanie szło mi coraz łatwiej. Portret robiłem na dwóch posiedzeniach. Pewnego dnia ogarnęło mnie obrzydzenie. Odłożyłem pędzle na dziesięć lat.

„Jeśli o trudność chodzi, idźmy do cyrku”, mawiał pewien krakowski formista, gdy ruszał do ataku na akademicki rysunek. Oczywiście, nie chodzi o trudność. A przecież chodzi o trud-

ność. Artysta nie może tworzyć bez oporu. Gdy wszystko jest przed nim otwarte, wszystko się przed nim zamyka. Dawać tylko dowody talentu, to zakładać dossier *advocatus diaboli*.

Między artystą a światem staje naprzód jego własne życie. Pokusa, by je eksploatować, jest nie przeparta. Przeglądam wszystkie plansze, na których powtarza się autoportret Brandla. Jakże się przebiera! Od Satyra do Prometeusza — wszędzie widzi siebie. Urządza sobie wreszcie pogrzeb w pompacyjnej architekturze schyłkowego Rzymu. *Obiit Gustavus*?... Ale oto autoportret *sensu stricto*: energiczna, męska twarz, ze wzgardą odwracająca się od świata. Balzac rodinowski!

Obok mnie uśmiechają się małe oczka w dziecinnej niemal twarzyczce. „Jakim się jest człowiekiem”... Któż domyśliłby się w Brandlu sprośnego Satyra, demonicznego Fauna albo Prometeusza? Czy artysta musi kłamać? „Piękne są kłamstwa sztuki, bez nich nie znieśliśmy życia”, powiada filozof. Artysta mówi o sobie, ale prawdy o sobie dowiaduje się późno. Ten Konrad rodzi się, gdy Faun chyli skołatana głowę na pierś kruchej postaci mniszej.

— Franciszkańskie są ostatnie pejzaże Corota. Nie ma w nich już nic prócz pokory — powiedziałem w pewnej chwili. Myślałem, że mnie uściska.

— „Kłękajcie przed naturą” mawiał Fałat. W tym jest wszystko — reasumuje Brandel.

„Natura! natura! — wołał wymachując ramionami i małeńka jego postać ginęła na zakręcie alei” — pisze o pewnym spotkaniu z Cézanne'em Emile Bernard. Cézanne był w wieku Brandla, gdy pisał do Vollarda: „Pracuję zapamiętałe i dostrzegam Ziemię Obiecana. Czy będę jak ów wódz Hebrajczyków, czy też dane mi będzie na nią wejść?... Poczyłem pewne postępy. Dla czego tak późno i z takim trudem?”

Brandel miał siedemnaście lat, gdy naszkicował w zeszycie szkolnym scenę, która stanie się symbolem połowy jego twórczości: zapasom dwóch Faunów przygląda się biernie przykucnięta Nimfa. Ten rysunek jest jednak nie tylko proroczy — jest doskonały jako rysunek. Czegoż mogła nauczyć Brandla Akademia? Chyba stylizacji, ale stylizacja, to łożo prokrustowe. Brandel zejdzie z niego ascetą, a odkrywwszy w tropikalnym krajobrazie brazylijskim tajemnicę koloru, stanie się apostołem światła.

„Kłękajcie przed naturą!” — lecz naturę pokazuje nam słońce. Ono jest źródłem światła, oddanym malarzowi we władanie. Rozproszeniu światła w powietrzu, jego odbiciu od przedmiotów, jego grze w cieniach zawdzięcza paleta swój sens artystyczny. Muzyka barw? Gdy kolor nie wyraża światła, jest arbitralny albo dekoracyjny.

Jeden z ostatnich obrazów Brandla, to Sfinks na kolumnie wyrastającej z otulonego słońcem górskiego jeziora. Obraz, malowany od wielu lat, jest bliski ukończenia. Nie jest wcale bez znaczenia, że to nie pal wbity w dno jeziora, ale kolumna za-

kończona kapitelem i że nie siedzi na niej wrona, ale Sfinks. Gdy się to czyta, można by pomyśleć „Brandel-surrealista”, może „symbolista”. Czyż Zurbaran nie pokazywał Tajemnicy w stosie cytryn?

A przecież ten Sfinks nie jest ani symboliczny, ani tym mniej surrealistyczny. W tym świetle, na tle tego krajobrazu, nie może tam być nic innego, tylko kolumna koryncka i Sfinks, twarzą zwrócony ku słońcu. On tu jest naturalny, jak gdzie indziej kobieta z dzieckiem na tle wsi polskiej albo Prometeusz w słonecznej ulewie schodzący z odrodzonych polskich Tatr. Brandel nie filozofuje, Brandel nie szuka „metafizycznych dreszczyków”. Ta poezja nie jest literaturą. Symbol służy tu wyłącznie do pokazania takiego a nie innego światła. To ono czaruje, nie postać symboliczna.

Czy Brandel jest mistykiem? O tyle, o ile mistyczna jest każda prawdziwa miłość. Brandel naprzd odkrył miedzioryt, ową technikę, która nadaje sens najdelikatniejszemu dotknięciu rylca. Po polsku mówi się „kreska”, Francuzi mówią ściślej *touche*. Oglądałem pod lupą jeden z najmniejszych formatów miedziorytów Brandla: kilka chałup, grupa drzew, płot i troje dzieciaków w środku. Żadnych niemal linii prowadzących oko w głąb, a przecież dalsze plany nie są na powierzchni. Zasłanianie boki, które mogą sugerować głębię, bo stanowią pierwszy plan. Środek pozostaje w głębi, nie wychodzi na powierzchnię. Jak to jest zrobione? Mag nawet się nie uśmiecha. Zdejmuje okulary, pochyla się nad planszą i mówi po prostu: „Nie wiem”.

Inna plansza, znacznie większa. Kłębi się na niej materia, jak w dniu Stworzenia. „Ale nie dzień Stworzenia!” — uśmiecha się czarodziej. Nie nastaje i nie wiem, co oznacza ta — jak mówi sam Brandel — „abstrakcja”. Mniejsza o jej znaczenie, bo w oczy bije sens tego eksperymentu. „Das wohltemperierte Klapier” nazwał Bach jeden z swych opusów. Dobrze naostrzony rylce — powiedziałbym o tym miedziorycie. To jest czysta radość dotykania płyty rylcem.

O tę radość chodzi Brandlowi zawsze — gdy symbolizuje, gdy naturalizuje, gdy się skarży na przekleństwo Płci (Przybyszewski!), gdy jako Faun krzyczy z bólu („Matko, czemuś nas, matko, nie urodziła na księżycu!” — Gałczyński), gdy rysuje któryś ze swych weredyckich portretów lub gdy wspomina z nostalgią pejzaż polski, brazylijski, prowansalski. Dionizje nie są w grze wyobraźni — dionizje są w dotykaniu rylcem płyty miedzianej. *Ce que lui donne le plus violent désir de peindre* — powie o namietności artysty Maïraux (ale rzemieślnika, zakochałego w rzemiośle, Maïraux zamieni na demiurga, bo jest intelektualistą i przestał rozumieć radość zmysłów).

Później Brandel odkryje kolor i zastępuje do akwareli i gwaszu swoją rytowniczą *touche*. Nie jest to jednak *pointillisme*!

— Cóż mnie obchodzą kryteria i doktryny! Wszystko robi się instynktownie. Mehoffer mądrze mawiał: „Trzeba przysto-

sować swój wzrok do tego, co się robi”. I trzeba nauczyć się słuchać głosu, który mówi: „To jeszcze nie to!”.

Porównywałem gwasze ukończone z innymi, które „jeszcze są w robocie”. Od szkicu do obrazu jest odległość dwóch stylów. Wszystkie kontrasty, które zadowalają i cieszą oko, znikają zwolna i czujesz, że w tym procesie czynne jest inne oko, wewnętrzne, które trzeba zadowolić i uradować. Brandel interweniuje w sporze kolorów i wydobywając z nich świetlistość, zmusza je do zejmu, który równocześnie przywraca obrazowi płaszczyznę i daje mu nową głębię. Zubożając gamę barwną, Brandel wzbogaca kolor. Jest to droga od impresji do kontemplacji. Przechodząc ją w odwrotnym porządku, widz dociera do wzruszenia, które było u źródła impresji. W pewnej chwili zapala się w nim ono, jak olśnienie.

Z takim instynktem można istotnie obejść się bez systematycznej refleksji. Czyżby Francuzi tyle filozofowali, bo zawodzi ich instynkt? Jeszcze jedna właściwość kultury francuskiej: obok artystycznej strategii (*s'imposer* a nawet *s'insinuer*!) — szczudła teoretycznych założeń, ośli most doktryny. Ale przecież ile w tym uroku dla nas, którzy musimy myśleć, gdy chcemy pisać! Seurat powie z tą naiwnością, na którą stać tylko silnych: „Mówią, że w moich obrazach jest poezja, a ja przecież stosuję tylko swoją metodę!”.

Nie wierzę Brandlowi, że nie ma metody, choć nie podejrzewam go o skąpstwo. Chodziłem na place Pigalle, by ją — przełamawszy lody — od niego wydłuzić. Rozgadał się wreszcie, zaczął nawet mówić całymi zdaniem, ale gdy tylko dotknąłem tej sprawy, zaperzał się i bił mnie Malczewskim, Fałatem, omal że nie Mehofferem.

To nazwisko naprowadza mnie na witraże Brandla. Z szeregu kartonów wykonany został tylko jeden. Robotę wstrzymało, bo na renowację kościoła zabrakło pieniędzy. Ten jeden miał być przewieziony przed samą wojną do Polski, gdzie znaleziono dla niego odpowiednie okno, ale zaginął w hitlerowskiej zawierusze. Pozostały kartony.

Na pozór klasycyzująca czy gotycyzująca secesja, jakich wiele. Ale znowu — secesja jest zimna i — co tu ukrywać — wulgarna, a to jest ciepłe i szlachetne. Nie zapominajmy, że z secesji wyszedł Bonnard. Secesjonista Wyspiański nie poszedł na wieczór Yvette Guilbert, bo odstraszył go... plakat Toulouse-Lautreca.

Brandel pozostał wierny bagażowi, z którym wyruszył w świat, jak pozostał wierny Fałatowi, Wyczółkowskiemu i „wszystkim Polakom, którzy malowali”.

- Więc kontynuuje pan malarstwo polskie?
- Czy wolałby pan, żebym kontynuował francuskie?
- Ale któż kiedy słyszał o malarstwie polskim?
- Nie od razu Kraków zbudowano!

Polscy pisarze są bez szans

Czy literatura polska ma szanse powodzenia na świecie?

Nie! żadnych!

Doskonali dżokeje nie wygrają nigdy Derby na złych koniach. Byli — i zapewne są — doskonali polscy pisarze. Ale Polska jest bardzo złym koniem, który uniemożliwia im nie tylko zwycięstwo, lecz nawet miejsce w czołówce.

To wierutna bzdura, że sława autora zależy od jego talentu. Decyduje przede wszystkim jego — temat.

Rasowy literat pisze o rzeczach, które zna naprawdę, które czuje, czyli o wydarzeniach w swym kraju. A świat interesuje się tylko potężnymi, przodującymi krajami.

ZACIEKAWIENIE ROSJA

Czemu przypisać np. szalone wzięcie literatury rosyjskiej w zeszłym stuleciu?

Oczywiście temu, że Rosja była wielką potęgą, że o jej względy ubiegały się i Francja, i Anglia, i Niemcy... Nieznana, tajemnicza Rosja fascynowała całą Europę. Wszyscy byli ciekawi co się też dzieje w tym kolosie bez kolei, ale za to z paszportami.

Rzucono się więc do literatury rosyjskiej!

I słusznie. Nie można było lepiej poznać arystokracji rosyjskiej jak przez Tolstoja, szarego człowieka jak przez Czechowa, krajobrazu niż przez Turgieniewa, obrzydliwości i podłości rosyjskiego charakteru niż przez Dostojewskiego. A Gogol, Gonczarow, Gorki, Lejkin, Szczedryn i tabuny innych. Z ich dzieł, jak z lustra, wyzierała Rosja *en piers*.

Naturalnie, że to bardzo dobrzy pisarze. Lecz swe międzynarodowe powodzenie zawdzięczali w 90 % temu, że pisali o tej Rosji, której Europa była tak ciekawa.

Gdyby Dostojewski był Polakiem i opisywał Polaków — nikt by nie chciał czytać o jego zwyrodniałcach. I nikt nie doszukiwałby się w Dostojewskim głębi. Machnięto by nań ręką: — Wariat... Zboczeniec... Matoł... Szkoda czasu...

Powtórzyło się to z Rosją bolszewicką. Książki sowieckie zastąpiły dziurkę od klucza przez którą usiłowano zajrzeć do kraju ogrodzonego kolczasto.

Całe powodzenie rozwlekłego i niezdarnego Szołochowa, prymitywnego, z tymże grymasem wiecznie skrobiącego Zoszczeni, zakłamanego Tolstoja Nr 4, tych matołów Petrowa, Doncewa, Ehrenburga pochodzi stąd, że świat był ciekaw Sowietów. Niczego się świat nie dowiedział, ale literackie mieroty sowieckie zyskały światowy rozgłos dzięki Stalinowi.

NAWET NAGRODA NOBLA DLA AMERYKANINA

Trzeba sobie przypomnieć jak gorliwie czytano w Polsce, w latach 20-tych obu Sinclairów. Ot takich sobie, seryjnych, poprawnych, na kopy liczonych — autorów.

Ale byli Amerykanami i pisali o Ameryce!

Więc te ich Nafty i Babitty były tłumaczone, chłonięte. Ameryka wyrosła na pierwszą potęgę świata i od nauczycielki szkoły powszechnej w Wierzbniku do ministra z Wierzbowej — wszyscy chcieli nabrać o tej Ameryce jakiegoś pojęcia.

Gdyby „Gone with the wind” miało za temat powstanie Styczniowe a nie wojnę domową w Stanach — nie zrobiłoby nawet setnej części tej kariery jaka jej przypadła.

„Ziemia Obiecana” Reymonta jest o drapacz nieba lepszą książką od byle tomu „Tragedii amerykańskiej” Dreisera. Ale o bogaceniu się Żydów w Łodzi nikt nie chciał czytać, a o robieniu milionów przez gangsterów w Chicago chcieli wszyscy.

Ameryka przytłacza dziś Europę. I dolarem, i autami, i filmem, i lodówką, i nauką, i armią, i atomówką... wszystkim! Siłą impaktu i literatura amerykańska wyłazi na pierwsze miejsce, nadaje ton...

W Anglii lepiej się rozchodzi marna powieść autora amerykańskiego, niż dobra powieść autora francuskiego. Związły, dziennikarski styl amerykański jest kopiowany. Gdy w Ameryce chwyciło „Forever Amber” wszędzie rzucono się małpować tę rozwodnioną pornografię. Dawni mistrzowie, Francuzi, uderzyli w pokorę i wystąpili ze swoim naśladownictwem „Caroline Chérie”. Co drugi autor europejski pisze dziś — pod gust amerykański. A nuż się tam spodoba i będzie best sellerem, i wezmą jego książkę do filmu, i spłyną nań dolary... Amerykanie zaczynają rządzić w literaturze światowej.

Sinclair dostał nagrodę Nobla przede wszystkim dlatego, że był Amerykaninem. Seryjna lafiryndka z Kalifornii ma sto razy większe szanse zostania gwiazdą filmową niż super-piękna i arcy-

zdolna dziewczyna z Kalisza. Akurat takąż jest przewaga byle piśmiennego Amerykanina nad dławiącym się od talentu literackiego Polakiem.

NIE PRZYPADEK, LECZ REGUŁA

A może wzrost znaczenia politycznego jakiegoś kraju i konsekwentny rozkwit jego literatury — to tylko zbieg okoliczności?

Skoro się coś chronicznie powtarza przez 2.500 lat to naiwnością jest mówienie o — przypadku. To żelazna reguła!

Grecja wodzi rej w świecie starożytnym — literatura grecka z tego okresu uchodzi za bezkonkurencyjną.

Wylania się Rzym, światem rządzi Rzym — przez te kilka stuleci jego supremacji króluje literatura łacińska.

Analfabeta Charlemagne błyska jak meteor — „Chançon de Roland” zdobywa markę arcydzieła tej epoki.

Średniowiecze. Szczyt znaczenia papieży. Królowie, armie, leżą kolejno do Włoch. Kto włada Włochami uchodzi za władcę świata. Węz zaraz Petrarka, Dante, Boccaccio, św. Tomasz są dzwignięci na piedestał, którego nigdy już potem nie osiągnie piśmiennictwo włoskie.

XVI wiek — okres potęgi Hiszpanii. Naturalnie jej pisarze dominują. I nigdy żaden autor hiszpański nie przewyższy sławy Cervantesa.

XVII-XVIII wiek to supremacja Francji. Literatura francuska zdobywa bezapelacyjne pierwszeństwo.

Gdyby tak Madame de Sevigné, zamiast w Wersalu, mieszkała na Żoliborzu i donosiła córce w Radomiu nie o plotkach i romansach Ludwika XIV i jego dworu, ale o poźyciu państwa Mościckich i ewolucjach erotycznych góry sanacyjnej — nigdy nie zostałaby zaliczona do klasyków literatury. Oprócz Ligi Niepodległości nikt nie dostrzegłby geniuszu w jej tasienkowych listach.

Koniec XIX i początek XX wieku to szczyt potęgi Anglii. Popularność Dickensa to przede wszystkim wynik zainteresowania Anglią. „Romanse” francuskie ustępują miejsca angielskim „thrillerom”. Pisarze angielscy, Conan Doyle, Wilde, Chesterton, Shaw, Wells, Galsworthy itd., są okrzyczani po świecie za najdowcipniejszych, najgłębszych i najciekawszych.

Uczymy się historii tylko wielkich krajów, choć dzieje małych państw są może nieraz ciekawsze i bardziej pouczające. Wiemy sterty o cesarzach, wojnach i katastrofach Niemiec, a z całej historii Szwajcarii tylko o tym jabłku Wilhelma Tella. Trudno, nie starcza czasu na wszystkie maleństwa... Podobnie jest z literaturą. W bezmiarze znakomitych autorów — których przeczytać nigdy nikt nie zdąży — wyłowiono przedstawicieli największych państw i tych uznano za największych pisarzy, za klasyków.

Zawsze kolejność jest ta sama: naprzód ogromne osiągnięcia polityczne danego kraju — potem rozgłos jego literatury. Nigdy nie jest odwrotnie! Tylko człowiek o kreciej ślepotcie uniwersyteckiego profesora literatury może dostrzegać faktu, że renoma pisarzy jest stale konsekwencją renomy ich krajów.

SKANDYNAWSKIE WYJĄTKI

A sukces literatury skandynawskiej?

Przede wszystkim Skandynawia to nie jest jeden mały kraj, ale cztery, znaczne przestrzenią, które w sumie stanowią pokątną część Europy.

Pyzatej burżuazji z końca XIX wieku, groźna, ponura, okrutna literatura skandynawska dostarczyła takiegoż dreszczu emocji co paryski Grand Guignol. To podnieca — raz, na krótko... Sukcesik skandynawski trwał tyleż co przewrócenie kartki. Zapomniani są dziś Ibsen, Strindberg, Hamsun and Co. Zainteresowali swą odrębnością, swym tragizmem — jak węzowo pokręcona oliwka przykuje czasem wzrok. Ale to nie jest drzewo, które by się chciało mieć w swym parku.

Ustanowienie przez Szweda nagrody Nobla — tak kolosalnej, tak pożądanej w owych czasach — przyczyniło się też wybitnie do rozgłosu piśmiennictwa skandynawskiego.

Wreszcie — i to zapewne najważniejsze — Niemcy zaanektowały literaturę skandynawską. To potężne, rozpychające się w Europie Niemcy rozslawiły literaturę skandynawską, narzuciły ją światu. Wyjątkowy to w dziejach wypadek, by wielkie państwo, zamiast swoich pisarzy, lansowało autorów sąsiedniego narodu.

Moda skandynawska skończyła się dawno. I bardzo wątpliwe, by w skarbcu literatury światowej, obok greckiej, rzymskiej, francuskiej, rosyjskiej, angielskiej — utrzymała się na wieki i literatura skandynawska.

ZAULKI — ZAŚCIANKI — PODWÓRKA

Częsty zarzut stawiany polskim pisarzom:

— Nie chwytają na świecie, bo są wyłącznie polscy i tak prowincjonalni.

A jacy mają być? Esperanczy i księżycowi?

Gdy Prus pisze w „Lalce” o Krakowskim Przedmieściu — to jest nudne. Ale gdy Victor Hugo rozwodzi się w „Nędznikach” o Petit Picpus — to jest pasjonujące!

To nie „Lalka” jest gorsza od „Nędzników”. Tylko, niestety, Warszawa nikogo nie frapuje, a Paryż — wszystkich.

Nikogo nie obchodziły Lipce, Borynowie, polskich „Chłopów” nikt nie chciał czytać. Ale Londyn, Forsythowie, angielska

middle-class interesowały cały świat. I na 7-tomowe ględzenie Galswothy'ego rzucano się jak na objawienie.

Co mogła zdziałać Orzeszkowa ze swym Niemnem? Nudna rzeka, nieważna... Co innego gdy Mark Twain pisał o Mississipi czy Gorki o Woldze. Aaa, to ciekawe rzeki!

I Żeromski nie przebił się w świat, bo Kielce i Nałęczów odstręczały z miejsca, i Fredro nie wyszedł poza opłotki, bo niby dokąd z polskim dworkiem i wąsatym szlagonem, i Tetmajer się nie spodobał, bo żebyż to było o Alpach, a nie o Tatrach...

Nawet super-arcydzieło, „Pan Tadeusz”, nie wśliznęło się do literatury światowej. Litwa je zatłukła! Gdyby zamiast Soplicowa było Sans Souci, a zamiast Nowogródka — Neufchatel, to Homera Vergiliusza i Mickiewicza wymieniano by jednym tchem.

Oczywiście, że „Trylogia” i „Krzyżacy” to najlepsze książki Sienkiewicza. Lecz sławę światową przyniosło mu dopiero „Quo Vadis”. Słabsza książka, ale o tych olśniewających Rzymianach, nie o jakichś umorusanych Polakach.

Ludzie nie chcą czytać o małych kraikach! Zaułki Paryża, New Yorku i Londynu interesują, a główne bulwary Bukaresztu, Sofii czy Belgradu — śmiertelnie nudzą.

W latach 20-tych wypłynął we Francji wspaniały talent rumuński — Panait Istrati. Niby chwycił zrazu... Lecz pisał o Braiili i Galacu. Nikt nie chciał wiedzieć, że te dziury w ogóle istnieją. Wnet poszedł na przemiał.

Świat nie chciał czytać o Polsce akurat z taką stanowczością jak Polska nie chciała znać literatury swych skromniejszych sąsiadów. Żaden polski wydawca nie tknął przekładu z rumuńskiego, czeskiego, serbskiego czy litewskiego. Wiedział, że taka książka nie pójdzie! Dzienniki drukowały w odcinku szmiry tłumaczone z francuskiego czy angielskiego — ale za Boga nie ruszyły powieści węgierskiej lub estońskiej. Nakład by spadł!

Polacy nie są ciekawi Albanii. Co się dziwić, że Ameryka nie jest ciekawa Polski.

TLUMACZENIA

Ta doniosłość przekładu, to gruba przesada.

Nikt nie czytał Pisma Św. w arameńskim oryginale. Ale tłumaczenia ze złego łacińskiego przekładu wystarczyły w zupełności, by uczynić z Biblii bezkonkurencyjnego w dziejach bestsellera.

Shakespeare nie był tłumaczony na polski z angielskiego. Nasi tłumacze, z Kasprowiczem włącznie, nie umieli po angielsku i robili swe przekłady z niemieckiego. I mimo to Polacy odczuwali geniusz Shakespeara.

Pierwsze przekłady dzieł rosyjskich na francuski były okropne. I wywołały zachwyt Francuzów.

Żaden tłumacz nie fatygował się uczyć szwedzkiego języka. Cała literatura skandynawska poszła w świat — z niemieckiego. I wystarczyło.

Gdy polski autor przedstawia angielskiemu wydawcy rękopis, słyszy stereotypowe westchnienie:

— Świetna książka... Chętnie bym wydał... ale niestety przekład jest zły...

Oczywiście nieprawda. Polski temat zraża wydawcę — nie przekład. Niech by się zjawił jakiś uciekinier sowiecki, jakiś nowy Krawczenko — najszykardniejsza angielszczyzna jego rękopisu nie zniechęciłaby tuzinów wydawców.

Jest dziś paczka doskonałych tłumaczy z polskiego na angielski i armia poprawnych. Nie mogą zużytkować swej umiejętności, bo angielski czytelnik tyleż pragnie polskiej książki co rozwolnienia.

POLSKI HAPPY-END

Nie trzeba być wielkim jasnowidzem, by przewidzieć jaka powieść ma dziś szanse obiegnięcia świata.

Niemiecka powieść o czasach hitlerowskich, naturalnie.

Remarque był dobrym pisarzem. Ale „Na Zachodzie bez zmian” zawdzięczało swe fenomenalne powodzenie przede wszystkim temu, że wszyscy byli ciekawi tej armii niemieckiej, która przez cztery lata walczyła z całym światem.

Podobnie dziś piekielna moc Niemiec hitlerowskich wciąż dziwi, fascynuje...

Nawet najlepsza powieść o francuskiej Résistance nie chwyci. Żaden temat. Kogo obchodzą te drobiazgi?

Ale przeciętna powieść rosyjska mająca za wątek obronę Stalingradu — może zrobić furorę. Ta dramatyczna zmiana sytuacji... z katastrofy w triumf... to temat — samograj!

Happy-end nie jest wynalazkiem Hollywoodu. To odwieczny trick. Już Homer go stosował. Best-seller powieściowy musi mieć happy-end.

Trudno oń dzisiaj w polskim życiu. Wrzesień, Powstanie Warszawy, całe A.K. — dostarczają czegoś wręcz przeciwnego. Więc chyba tylko ten wątek się nadaje:

Szlachetny Polak mieszka sobie blogo w ojczyźnie... buduje białe sławojki... ma komplet dzieł Piłsudskiego na odstraszenie sekwestratorów... Wrzesień... kruszy mu się w dłoniach kopia, którą dźgał w tanki niemieckie... okupacja sowiecka... wywózka na Kołymę... lagry... armia Andersa... Marsz, marsz z Syberii do Italii... bitwy, boje, Monte Cassino... zwiedzanie muzeów rzymskich... czytanki w bibliotece Bologni... i wreszcie ten cudowny happy end — przyjazd do rozkosznej Anglii... otrzymanie Assistance Board... możliwość kupowania co miesiąc „Kultury” !!!

Archiwum polityczne

List z Jugosławii

4

Istnieją pewne wycinki życia Jugosławii, które mogłem obserwować na zimno, bez zaangażowania uczuciowego, z uwagą obojętnego widza. Należą tu na przykład problemy narodowościowe, oraz życie wewnętrzno-partyjne. Znajdowałem się tu wobec zjawisk dostatecznie niepowtarzalnych i specyficznych, bym mógł je traktować jako rzadką egzotykę.

Konflikty narodowościowo-religijne, które w okresie wojny doprowadziły do bratobójczych rzezi — teraz wydają się wygasłe. Trudno jest uwierzyć, by wulkan mógł zgasnąć bez śladu, toteż rozglądałem się z uwagą, jednak bez rezultatu. Zarzewie tkwi gdzieś zapewne przysypane popiołem. Najbardziej szczerą rozmowę przeprowadziłem na ten temat z pewnym chorwackim prawnikiem, do którego miałem list polecający od przyjaciół z zagranicy. Przyjaciele ci uprzedzili mnie, że jest to człowiek starszy, stojący w zdecydowanej opozycji do reżimu, niegdyś wzięty adwokat, obecnie klepiący biedę w prowincjonalnym miasteczku.

Ułożyłem podróż tak, by znaleźć się w owym miasteczku przejazdem, na kilka tylko godzin.

Był akurat dzień targowy i miasteczkę składająca się z wielkiego rynku i kilkunastu promieniście biegnących uliczek wypełniał po brzegi kolorowy, zziębnięty, zaaferowany tłum chłopów, ów charakterystyczny wiejski tłum, który, w przeciwieństwie do miejskiego, zawsze wydaje się składać z samych indywidualności, tłum, w którym nikt nie jest podobny do kogo innego.

Na uliczkach bez chodników było ciasno i gwarno, ludzie, osły i woły z trudem torowali sobie drogę, poślizgując się na rożgnięcionych pomidorach, lub łupinach arbużów. Posuwanie się było utrudnione tym bardziej, że każdy osioł miał na sobie pękate juki, a każdy niemal chłop długie koromysła z podwójnymi zaczepami na każdym końcu, z których zwisały toboły towarów. Wszyscy chłopci w odzieży domowego wyrobu, odświętnej, bogato haftowanej, poszczególnymi elementami budzącej reminiscencje podhalańskie, łowickie, huculskie. Kobiety z wielkimi koszami winogron na głowie nawet idąc nie tracą czasu: przędą po dro-

dze na małym przenośnym, wymyślnie skonstruowanym kołowrotku.

Tylko muzułmanie uderzają w tym tłumie całkowitą odrębnością strojów, utrzymanych w barwach czarnych, brunatnych i złotych. Kobiety chodzą w szarawarach i ciemnych szalach na głowie i chociaż zakaz noszenia zasłon na twarzy obowiązuje od 1950 roku muzułmanka spotkawszy przelotne spojrzenie mężczyzny zasłania automatycznie dół twarzy ręką, lub końcem szala.

Jeden ze sklepów na rynku okazał się kancelarią adwokata, którego szukałem. Przez otwarte drzwi zajrzałem do wnętrza drewnianej budy. Pod jedną ścianą długa ława, na której czeka kolejka klientów. Naprzeciw stół na krzyżakach, za którym urzęduje pan mecenas, pisząc od ręki podania i skargi. Honoraria płatne są częściowo w towarze, jak się mogłem zorientować na widok stojącego pod stołem wielkiego kosza, do którego jakaś babina wyłuskiwała właśnie jaja ze swej kobiałki.

Po południu byłem na obiedzie u mecenasa w jego skromnym, lecz przyzwoitym domku otoczonym ogrodem i wysokim murem. Adwokat miał lat przeszło 60, był Europejczykiem tak zwanej starej daty, kulturalnym, mówiącym kilkoma językami. Żona gospodarza, gorąca monarchistka (pierwsza jaką spotkałem w Jugosławii) poinformowała mnie dokładnie przy obiedzie o losach i genealogii rodziny królewskiej. Jedynym szczegółem, który zapamiętałem była jej uwaga, że stryj ex-króla, który nie wiadomo dlaczego „cieszy się popularnością wśród hołoty”, żyje obecnie w Belgradzie i ma nawet własny samochód. Ci, których pani domu nazywała hołotą, to jest komuniści, w ustach pana domu nazywali się „ci złodzieje”. Nie mogłem mieć wątpliwości, że spożywam obiad w gronie najbardziej autentycznej, czarnej reakcji.

Jedynie córka gospodarza, dwudziestoparoletnia studentka filozofii, bawiąca w domu na wakacjach, odskakiwała od tł. W czasie obiadu nie odzywała się niemal wcale, traktując rodziców, i mnie wraz z nimi, jak dorosłe dzieci. Dopiero gdy na jakąś zjadliwą uwagę gospodyni odpowiedziałem, że jednak, gdyby nie Tito mieliby tutaj wciąż jeszcze bolszewików, jak my w Polsce — panienska spojrzała na mnie łaskawiej. Jak się później dowiedziałem była czynną komunistką. W pluszowym saloniku gdzie piliśmy kawę — na wszystkich stoliczkach, etażerkach, gablotkach, chiffonierkach, czy jak się nazywają te dziwaczne sprzęty, stały liczne fotografie królewskiej rodziny, niektóre z dedykacjami. Ironiczne pendant do portretu Tity, który widziałem w kancelarii mecenas.

Mam wrażenie, że na gospodyni domu zrobiłem bardzo ujemne wrażenie, gdyż wyniosła się ostentacyjnie z pokoju tłumacząc się bólem głowy. Głowa ją rozboleła w momencie gdy dowiedziała się że w Szwecji jest co prawda król, ale rządzą od dwudziestu lat socjaliści.

— Jakto, prawdziwi socjaliści, którzy w Boga nie wierzą?

— Obawiam się, że tak.

Gdy zostaliśmy sami rozmowę skierowałem od razu na sprawy religijne.

— Czy Chorwaci są rzeczywiście tak fanatycznymi katolikami, że mogło to doprowadzić do okrucieństw wojny domowej, rzezi i tak dalej? — spytałem.

— Niech pan nie wierzy, aby sprawa religijna była przyczyną konfliktu serbsko-chorwackiego. Serbowie uważali się za naród panujący w starej Jugosławii, a Chorwację i inne narody traktowali jak swe kolonie. Tego nie mogli znieść Chorwaci, naród mniejszy, ale o wyższej znacznie kulturze i stopie życiowej. Gdy dzisiaj serbska okupacja znikła i narody czują się równoprawne — nie ma też nienawiści, mimo różnic religijnych. Niech pan przy tym pamiętać, że są to narody mówiące wspólnym językiem — serbsko-chorwackim.

Tutaj po raz pierwszy wtrąciła się do rozmowy córka:

— Religia dla inteligencji chorwackiej była zawsze tylko konwenansem, a dla proletariatu nawykiem.

— I sądzi pani że można było wywołać bratobójcze rzezie w imię konwensu?

— Proszę mi wierzyć — powiedział adwokat — że te wszystkie sprawy — religia, rasa, narodowość, kolor skóry to są tylko preteksty do wzajemnego szczucia się. Pospółstwo jest krwiożercze i każdy pretekst jest dla niego dobry.

— Wydaje mi się jednak, że na przykład Pavelića i jego otoczenie trudno zaliczyć do „pospółstwa”.

— To byli zdrajcy i szuje.

— A Mihailović?

— Michailović był bez wątpienia patriotą, ale serbskim patriotą. Trudno było żądać od Chorwatów by pomagali mu przywrócić hegemonię serbską. Jeśli pan chce zrozumieć dokładnie przebieg wydarzeń u nas, musi pan pamiętać o jednym: tylko Tito postawił w roku 1943 sprawę jasno. Jego programem była wolna, zjednoczona Jugosławia sfederowanych narodów. W momencie tym Tito był niemal rozbity i wyparty za Sawę. A jednak to hasło jedności narodowej pociągnęło do niego masy i pozwoliło w końcu zwyciężyć. Przyszli do niego wszyscy ci, którzy mieli dość bratobójczych walk, ci którzy nie chcieli być wyrzynani i ci, którzy nie chcieli rznąć innych. Macedończycy, Słowenicy, Czarnogórcy i wreszcie Chorwaci. Niech pan pamiętać przy tym, że Tito sam jest Chorwatem.

Był to jakby wielki plebiscyt, który wykazał, że przeważająca większość jest przeciwna separatystycznym mrzonkom. Fakt wreszcie, że wszystkie ruchy separatystyczne staczały się automatycznie w błoto kolaboracji złamał ostatecznie kręgosłup separatyzmów i skompromitował samą ideę chyba już na zawsze.

— Widzę, że jest pan mimo wszystko z wielkim uznaniem dla Tito.

Córka roześmiała się, a ojciec poczerwieniał lekko.

— Ci złodzieje — powiedział — mają wiele dobrych stron i zdrowych pomysłów na dalszą metę... tylko...

— Mój ojciec — powiedziała panna — ma właściwie tylko jedną pretensję do komunistów: że zabrali mu samochód, który posiadał całe życie.

— Nie upraszczaj zagadnienia, moja droga. Oczywiście, że jako stary automobilista i przy tym dobry adwokat, powinienem mieć możność utrzymania samochodu, nie noszenia wyświeconej marynarki i nie przyjmowania interesantów w tej brudnej norze, którą pan widział. Twoi towarzysze muszą się nauczyć szanować prawo, wtedy zaczną też szanować adwokatów i sędziów. Proszę mi wierzyć — zwrócił się do mnie — że w każdym kraju najlepsze kryterium stosunku rządu do prawa stanowi pozycja społeczna prawników.

— Słyszałem jednak że ostatnio wprowadzono nieusuwalność sędziów?

— Tak, to jest duży postęp, — przyznał — toteż, jak pan widzi zajmuję stanowisko neutralnie wyczekujące. Jak wszyscy prawie.

— Chciałbym zadać pani jedno niezbyt dyskretne pytanie, — zwróciłem się do studentki. — Czy pani pochodzenie klasowe nie stanowi przeszkody w pani działalności partyjnej?

— W najmniejszej mierze. Świadomość klasowa jest przecież kwestią właśnie „świadomości”, a nie urodzenia. W przeciwnym razie ani Marks, ani Lenin nie należeliby do proletariatu. Przy tym u nas w Jugosławii młodzież ma wielkie tradycje radykalne za sobą. Przed wojną 60 % studentów było członkami lub sympatykami partii komunistycznej. I dzisiaj również 60 % pochodzących z inteligencji studentów należy do organizacji partyjnych.

— A jaka jest cyfra dla ogółu młodzieży studenckiej?

— Znacznie niższa. Tylko 20 % ogółu studentów pracuje politycznie, ale to jest zrozumiałe. Młodzież pochodzenia proletariackiego uważa, że po zwycięskiej rewolucji przyszedł czas na to by żyć nareszcie, uczyć się, dogonić zaniedbania... My ich nazywamy egzystencjalistami.

W pewnej chwili studentka pochyliła się nad moją opróżnioną filiżanką, na dnie której kawowe fusy tworzyły fantastyczny deseń: — Niech pan patrzy, jakiś samolot, uszkodzony, zdaje się. Nie powinien pan w najbliższych dniach latać samolotem.

— Czy pani wierzy we wróżby?

— Oczywiście, że nie, ale u nas wszyscy sobie w ten sposób wróżą, i traktujemy to jak rodzaj towarzyskiej zabawy. A pan wierzy?

— O, ja jestem naładowany wszelkimi możliwymi przesądami.

— No, widzi pan... Więc lepiej niech pan samolotem nie leci.

Jedną ze spraw, które mi leżały na sercu, były audycje radia belgradzkiego w języku polskim, a zwłaszcza stosunek tego radia do polskich Ziem Zachodnich. Radio jugosłowiańskie, niejako z natury rzeczy, powinno liczyć na polskich komunistów, jako na swych słuchaczy w Polsce. Jeżeli jednak częściej ich przy różnych okazjach opowieściami o tym, że Sowiety dały Polsce tereny niemieckie tylko w tym celu, by ją przykuć do siebie na zawsze i do tego dodaje się natychmiast jednym tchem, choć niezbyt logicznie, że Rosja gotowa jest oddać te ziemie Niemcom — to robotnik polski wyciąga z tego tylko jeden wniosek: na kapitalistyczny zachód trudno w tej sprawie liczyć, gdyż sympatyzuje z Niemcami, na antysowiecki komunizm liczyć nie można również, a więc pozostaje tylko Rosja. Takie to niezmierzone skutki wywołują te audycje.

Dyrektorem sekcji polskiej jest Krasoje M. Davidović, zaś jego zastępczynią pani Čiplic, obydwójce znający Polskę, doskonale mówiący po polsku i jak najżyczliwiej dla nas usposobieni.

Dyrektor Davidović siedział w czasie wojny w Oflagu z oficerami polskimi i tam nauczył się języka. W zespole redakcyjnym sekcji nie ma żadnego Polaka, natomiast kilku jest zatrudnionych jako speakerzy i tłumacze. Czasami słyszy się narzekania, że polszczyzna tych audycji pozostawia nieco do życzenia. Istotnie, tłumacze odcięci są od nowych książek polskich (sekcja nie ma biblioteki), z Polakami nie mają okazji rozmawiać, więc też często w tłumaczeniach dokonywanych „od ręki” popełniają różne „serbochorwatyzmy”. Nie sądzę jednak, by zarzut taki należało stawiać poważnie. Przeciwnie, pewne potknięcia akcentu i składni dodają tym audycjom swoistego czaru, słuchacz wie od razu, że tu nikt nie podszywa się pod polskość, lecz że to po prostu cudzoziemcy przemawiają do Polaków jak potrafią.

Jeśli chodzi o treść polityczną programów, to ta nie jest zależna od samej redakcji, a jedynie od bieżącej „linii partyjnej” — zaś ta linia partyjna w sprawie polskiej, jest moim zdaniem mocno przestarzała.

Ustosunkowanie do spraw polskich zostało ustalone przed laty i wyłożone w organie CK Partii „Komunist” z marca 1950 roku (Nr 2/3, na 45 stronicach obszernego i udokumentowanego artykułu W. Winterhaltera pt. „Pewne odrębności rozwoju gospodarczego Polski”. Po dziś dzień szereg sformułowań tego artykułu powtarza się w prasie i radio, jak gdyby czas stanął w miejscu. Takie skostnienie formuł raz wypisanych w organach partyjnych jest jedną ze spraw, z którymi Jugosławia dzisiejsza walczy, choć jak widać nie zawsze skutecznie. Mam wrażenie, że w tym wypadku winę ponosi nie jakieś antypolskie nastawienie komunistów jugosłowiańskich — przeciwnie, na każdym kroku odczuwa się sympatię i życzliwość — lecz brak bezstronnej informacji o nastrojach i życiu w Polsce. Z niemieckimi kołami oficjalnymi i z niemieckim ruchem robotniczym partia utrzymuje

stały i ożywiony kontakt — z Polakami nie ma żadnego. Mimo-woli więc niemiecki punkt widzenia przeważa.

Nieoficjalnie powiedziano mi, że Jugosławia uważa problem Ziem Zachodnich za nierozwiązalny w obecnej koniunkturze międzynarodowej, mniej więcej tak jak i problem Triestu u siebie. Należy czekać i grać na zwłokę. Problem komplikuje się przez to, ich zdaniem, że przesunięcia granic Polski po wojnie oparte zostały na dwóch różnych i sprzecznych zasadach: terytoria wschodnie okrojono na zasadzie etnograficznej, zaś ziemie zachodnie uzyskała Polska na zasadzie historycznej. W tych warunkach Jugosławia nie widzi możliwości angażowania się. Wszystko to, jak powiedziałem, oznajmiono mi w prywatnych rozmowach.

Przy tej i kilku podobnych okazjach miałem możliwość zetknięcia się z aparatem partyjnym i wyrobienia sobie pewnej, powierzchniowej przynajmniej, opinii o nim.

Na półokrągłej fasadzie gmachu C.K., przy wejściu widnieje napis ze złożonych wypukłych liter: „Liga Komunistów Jugosławii”. Spod wyrazu „Liga” przegląda uparcie ślad dawnej nazwy „partia” usuniętej decyzją VI Zjazdu w listopadzie 1952.

Nazwa nie dała się zetrzeć nie tylko z muru — nie została usunięta również z życia. Nikt nie mówi Liga; nawet urzędowo mówi się dalej „partia” i fakt ten ma daleko głębsze znaczenie niż mogłoby się na pozór wydawać.

Partia zorganizowana na wzór elitarnego oddziału szturmowego, czy też sztabu rewolucji, kierująca w sposób totalny całym życiem społeczeństwa, stała się przeżytkiem po zwycięstwie. Zdaniem wielu komunistów zorganizowane, praworządne państwo powinno mieć właściwe i kompetentne władze, sądy, policję, administrację itd., które mogłoby działać bez kurateli nadzrędnego i wszechwładnego organu.

Szereg teoretyków jugosłowiańskich z pełną konsekwencją wykazał, że z chwilą, gdy dawna klasa rządząca pozbawiona została podstaw ekonomicznych, na których mogłaby oprzeć kontrrewolucję, wszechwładza partii staje się nie tylko zbędna, lecz i niebezpieczna. Dla utrzymania zdobyczy rewolucji powinien wystarczyć normalny aparat administracyjno-prawny wewnątrz kraju i armia na zewnątrz. Partia powinna więc zrzec się swych funkcji pilnowania i kontrolowania wszystkiego dokoła, gdyż prowadzi to prostą drogą do wyrodzenia się partii w klikę biurokratów — natomiast powinna skierować całą swą dynamikę ku przyszłości, ku zadaniom wychowania narodu w duchu socjalizmu.

Opracowaniem takiej właśnie reformy zajęli się ludzie stanowiący najbliższe otoczenie prezydenta Tity.

Edward Kardelj, doskonały teoretyk, a równocześnie jeden z najbardziej przenikliwych i ostrożnych polityków jugosłowiańskich, wyłożył obszernie przesłanki zamierzonej reformy w szeregu artykułów, oraz w dwóch exposé: na plenum VI Zjazdu i na kongresie Frontu Narodowego.

Przesłanki te streścił on w trzech następujących punktach. Zbudowanie fundamentów społeczeństwa socjalistycznego będzie niewykonalne, jeśli:

1. Organy partyjne będą się zlewać i utożsamiać z organami administracji państwowej;

2. Jeśli środki produkcji będą się znajdowały w dyspozycji aparatu państwowego, a nie w zarządzie bezpośrednim wytwórców;

3. Jeśli myśl socjalistyczna będzie monopolem jednej organizacji partyjnej — jakiegokolwiek, choćby nawet najbardziej postępowej — a nie wytworem swobodnej gry wszystkich socjalistycznych sił społeczeństwa.

W myśl tych zasad nowy statut partyjny został opracowany przez Rankovića. Partia została nazwana Ligą Komunistów i przestała być organizacją elitarną. Zniesiono staż kandydacki i warunek posiadania pisemnych referencji przy zapisywaniu się do Ligi. Zebrania Ligi stały się jawne, dostępne dla wszystkich. Zniesiono centralistyczne kierownictwo i hierarchiczną zależność niższych instancji od wyższych w najbliższych nawet sprawach. Ustalono, że zasadniczym typem organizacji partyjnej jest koło terenowe i zlikwidowano wtyczkowe koła partyjne w łonie innych organizacji społecznych.

Teoretyczne uzasadnienie reformy opracowali i przedyskutowali publicznie Milovan Đilas, doskonały teoretyk, jeden z najlepszych znawców i krytyków systemu sowieckiego, Boris Žiharel, Vladimir Dedijer i inni.

Poparł reformę V. Bukarić, prezydent Chorwacji, uważany przez wielu za „drugą osobę w państwie”, polityk i ekonomista, którego gwiazda zabłysła niedawno, gdy przeprowadził swój program wypuszczenia chłopów z kołchozów. Poparł reformę koła wojskowe ze względów łatwo zrozumiałych.

Równocześnie z reorganizacją partii powołano do życia nową organizację masową „Unię Socjalistyczną Ludu Pracującego”, w której partia miała się do pewnego stopnia roztopić, zyskując jednak w zamian oparcie i kontakt wśród najszerszych mas. Unia, otwarta szeroko dla wszystkich pomysła została jako szkoła życia ideowego i organizacyjno-społecznego, jako najpowszechniejsza platforma działalności politycznej. W powiązaniu z szeregiem innych reform ustrojowych, jak decentralizacja administracji, przerzucenie szeregu zadań na rady terenowe, fabryczne itd. — perspektywy rozwoju Unii rysowały się szeroko i obiecująco.

Wydaje się jednak, że dzisiaj, gdy upłynął już rok przeszło od VI. Zjazdu, można powiedzieć, że reforma nie została jeszcze zrealizowana w praktyce. Działalność Unii pozostaje wciąż w stadium przygotowawczym. Partia wciąż jest partią w dawnym znaczeniu tego wyrazu. Wpłynął na to szereg przyczyn, z których nie najmniej jest zapewne brak ludzi, brak kadr.

W praktyce urzędy państwowe są jak dawniej obsadzone przez członków partii co powoduje owo „zlanie się biurokracji państwowej z partyjną”, o którym pisał Kardelj.

Najsilniejszym momentem opóźniającym reformę jest jednak opór pewnych grup w samej partii, czy też opór tych 100 tysięcy partyjnych członków administracji państwa, którzy nie zamierzają bynajmniej wyrzec się swej pozycji i władzy.

Znakomita większość, jeśli nie 90 % urzędników państwowych w Jugosławii, to byli kombataneci z walk partyzanckich, ludzie związani z sobą nawzajem nie tylko ideowo, ale i koleżeństwem bojowym. Jeszcze dzisiaj w ministerstwach i urzędach używają oni w stosunkach między sobą swych dawnych kryptonimów czy przydomków partyzanckich, a nie nazwisk. Tylko młodszy urzędnicy, czy członkowie partii takich przydomków nie noszą i odczuwają to, jak się zdaje, jako zepchnięcie do drugiej kategorii.

Już w czasie dyskusji poprzedzającej reformę odzywały się głosy, że grupa inteligentów chce z partii zrobić klub dyskusyjny”. Twórcy reformy rozumieli doskonale, że nowotworząca się kasta biurokratyczna w Jugosławii nie podda się bez walki, i że sprawy takiej nie można załatwić dekretem, czy zmianą statutu. Milovan Đilas pisał, że walka będzie trudna i pociągnie za sobą ofiary (*).

Jednak objawy kastowości biurokratycznej stały się już widocznie tak silne, że nie można było zwlekać. Partyjny biurokrata zaczynał stopniowo utożsamiać się w swym własnym pojęciu z państwem, zaczynał uważać, że jego poglądy, czy dążenia mają wagę racji stanu, a jego życie prywatne, nawet jego flirty czy miłostki są aktami państwowymi. Głośny był wypadek, gdy jeden z nich zaczął z całą powagą wygłaszać w parlamencie przemówienie o swych kłopotach małżeńskich.

Przeciw tej tendencji kastotwórczej zastosowano więc szereg zabiegów ekonomicznych, starając się uniemożliwić tej grupie osiąganie wygórowanych zarobków. Członkowie partii są zrównani w swych dochodach z resztą ludności — maksimum dla urzędnika 20 tysięcy dinarów, dla dyrektora fabryki, profesora uniwersytetu — do 30.000. Skasowano różne przywileje w postaci odrębnych sklepów, stołówek, ulgowych biletów kolejowych dla członków partii. W dziedzinie administracji — już sam fakt decentralizacji i przejęcia kierownictwa przedsiębiorstw przez odrębne zespoły postawił tamę samowoli i wszechwładzy biurokratycznej. W toku decentralizacji znajduje się system bankowokredytowy. Ilość urzędników państwowych zredukowano ze 146.000 do 120.000. Wszystkie te zabiegi nie dały jednak decydujących wyników i trudno przewidzieć dalszy rozwój sytuacji.

(*) Niniejszy artykuł pisany był jeszcze przed atakiem egzekutywy partyjnej na Đilasa i usunięciem go z C.K. Wydaje się, że Đilas padł jako jedna z pierwszych ofiar tej walki, którą przeprowadził. Tylko dzięki pojednawczemu stanowisku Tito uniknął on surowszych sankcji.

Grupa walcząca o utrzymanie tradycyjnej roli partii ma za sobą autorytet pionierów, doświadczenie i powołuje się na leninowskie dogmaty. Niektórzy sądzą, że grupa ta ma poparcie weterana rewolucji i przyjaciela Lenina — Mosze Pijade — który pogrążony w pracy ustawodawczej jednak z niepokojem patrzy na próby rozluźnienia dyscypliny partyjnej, uważając je za przedwczesne.

Po stronie grupy reformistycznej stoją doli partyjne, a zwłaszcza młoda inteligencja, ta, która była zbyt młoda, by nosić dziś na piersi gwiazdę partyzancką. Tocząca się walka przybiera dzięki temu charakter walki pokoleń — i choć pokolenie młodsze jest dzisiaj jeszcze słabe, to przyszłość należy niewątpliwie do niego.

Dla grupy intelektualistów dookoła Tito, którzy reformę zaplanowali jest rzeczą zupełnie jasną, że stawką w tej walce jest cała przyszłość ich ruchu. Wyszuli oni swe wnioski z doświadczeń sowieckich i zanalizowali krok po kroku jak odbywał się tam proces zwyrodnienia partii i zwichnięcia rewolucji.

Kardelj, Džilas, Zihel, Dedijer, etc., którzy poświęcili szeregiem wnikliwych prac teoretycznych krytyce systemu sowieckiego przypisują na ogół winę za skrzywienie rewolucji w Sowietach biurokracji, a więc wyrośnięciu „kasty” rządzącej. Żaden z nich nie chce przypuścić nawet, że w Rosji wyrosła po prostu nowa klasa. Ten punkt widzenia zwięża ich możliwości analityczne i czyni krytykę systemu sowieckiego zbyt jednostronną. Gdyby w Rosji chodziło tylko o biurokratyczną klikę, a więc o jakąś międzyklasową grupkę społeczną — problem nie miałby ani tej głębi, ani gigantycznych rozmiarów, jakie przybrał w Sowietach.

Nie jest to bynajmniej spór o nazwę — „kasta”, czy „klasa”. Z punktu widzenia Kardelja, czy Džilasa, jako marksistów, jest to zagadnienie zasadnicze, gdyż jeśli przyjąć, że w Rosji wyrosła nowa klasa rządząca, to należałoby przyjąć też nieuchronny wniosek, że jest to normalne, historyczne zdeterminowane zjawisko w tego rodzaju ustroju jak sowiecki i wszelka walka z nim byłaby walką z wiatrakami.

Istota bowiem tworzenia się i wyrastania klas społecznych jest procesem obiektywnym i koniecznym, którego cofnąć nie można. Dlatego to teoretycy jugosłowiańscy mówią z naciskiem o „biurokracji” a nie o „klasie” rządzącej w Rosji. Sam Marks nie podał nigdzie definicji zjawiska społecznego, które nazywał klasą. Na ogół przyjmuje się dzisiaj, że podział społeczeństwa na klasy wynika z podziału funkcji społecznych między różne grupy ludzkie, jest więc wyrazem układu panującego w stosunkach wytwórczości dóbr społecznych.

W tym stanie rzeczy wydaje się, że ta grupa społeczna, która dzisiaj kieruje życiem politycznym, gospodarczym i społecznym Rosji musi być uważana za „klasę”, mianowicie klasę rządzącą. Ona dysponuje rozdziałem dochodu narodowego, posiada określony zakres funkcji, jest złączona wspólnym interesem, korzysta z określonych przywilejów, ma możliwość przekazywania tych

przywilejów swym dzieciom, wreszcie posiada świadomość swej klasowej roli i swych zadań.

Musi więc wydawać się sprawą co najmniej dziwną, a nawet wręcz paradoksalną, że marksistowskie krytycy jugosłowiańscy kierują zasadnicze uderzenie swej krytyki przeciw „biurokracji”, a więc przeciw zewnętrznej, wykonawczej nadbudowie, a nie przeciw jej podstawom ustrojowym. Można by czasem sądzić, że wystarczyłoby „naprawić” tę biurokrację, czy nawet w ogóle ją zlikwidować jakimś aktem ustawowym i wszystko znów byłoby dobrze.

Mimowoli zjawia się, niepozabawione złośliwości podejrzenie, że to właśnie jest biurokratyczny tok myślenia. Podejrzenie takie przychodzi zresztą do głowy samym Jugosłowianom i Džilas w jednej ze swych ostatnich prac (O naturze biurokracji), notuje w odsyłaczu: „Muszę przyznać, że odczuwam pewien niepokój pisząc ten artykuł. Czy nie wypływa on, częściowo choćby, z ideologii biurokratyzmu?”...

Niezależnie jednak od faktu, że jugosłowiańska analiza genetyczna, a zwłaszcza fundamentów biurokracji zdaje się wychodzić z nieprawidłowych założeń — to jednak krytyka systemu sowieckiego przeprowadzona przez komunistów jugosłowiańskich jest bodaj najlepsza z istniejących. Nie tylko głęboka, na autopsji oparta znajomość przedmiotu, ale i rzetelne pragnienie wyciągnięcia praktycznych wniosków biją z każdej strony tych prac. Gdy Kardelj, pisze wskazując na historię Sowietów, iż partia robotnicza po rewolucji musi przekształcić się w biurokratyczną klikę, gdy tylko zaczyna rządzić „w imieniu” proletariatu — to ma on na myśli każdą partię, również własną, a nie tylko W.K.P.(b). Gdy Džilas wskazuje, że dla prawdziwego socjalisty istnieją zawsze dwa fronty walki, jednakowo niebezpieczne, jeden front walki z kapitalizmem, drugi (zwłaszcza po objęciu rządów) z własnymi swymi tendencjami do wzmocnienia władzy — to trafia on w sedno tej sprzeczności, w którą jest uwikłana każda demokracja na świecie. Każdy bowiem rząd demokratyczny dąży z jednej strony do najszerzego podzielenia się odpowiedzialnością ze społeczeństwem, a więc do ograniczenia własnej władzy, a z drugiej musi swą władzę wzmacniać, by móc w ogóle demokrację zachować.

Tutaj wreszcie, wśród młodych intelektualistów zaczyna powoli utrwać się nowy pogląd na zasadę „prymatu produkcji”. Kardelj pisze z ironią, że sowiecka klika biurokratów za główną swoją załugę i powód do chępliwości uważa to, że daje ludziom jeść i obiecuje karmić coraz lepiej. Stalin w swej przedśmiertnej pracy odżegnywał się od zasady „prymatu produkcji”, pisząc, że produkcja to nie jest cel, lecz tylko środek uszczęśliwienia ludzi. Tymczasem nowoczesna myśl socjalno-ekonomiczna na zachodzie coraz wyraźniej skłania się ku zasadzie „prymatu produkcji” co prawda w nowej interpretacji. Socjologowie zadali sobie mianowicie proste pytanie: Skąd człowiek czerpie swe zadowolenie życiowe, skąd może je czerpać więcej — z produkcji,

czy z konsumpcji? Odpowiedź wydaje się niewątpliwa. Poczucie pełni życiowej i zadowolenia człowiek może osiągnąć tylko przez swą twórczość, swą pracę, a nie przez zwiększone spożycie jeszcze kilku kotletów (Choć ten pierwszy kotlet jest ogromnie ważny).

Jeśli szczęście i zadowolenie zależne jest w znacznie wyższej mierze od sposobu, od jakości wykonywanej pracy, niż od ilości spożywanych dóbr, każda spoglądająca w przyszłość doktryna społeczna musi liczyć się z tym faktem. Teoretyczna myśl jugosłowiańska jest dziś bardzo bliska temu stanowisku, mimo, iż w szerokich masach przeważa pogląd iż zwiększona produkcja jest lekarstwem na wszystko.

Widać z tego że kierownicy polityki jugosłowiańskiej zaczynają mieć kłopoty i porać się z zagadnieniami właściwymi demokracjom, co świadczy, że kraj ten znajduje się na drodze ku demokracji, choć zapewne nie będzie to demokracja skopiowana z wzorów zachodnich. I jeszcze jedno: w pismach teoretyków jugosłowiańskich, przywrócone zostało wyrazom takim jak demokracja, wolność, naród, socjalizm, ich normalne znaczenie, przyjęte w całym świecie cywilizowanym. Z komunistami jugosłowiańskimi człowiek z Zachodu może dziś rozmawiać wspólnym językiem, co nie jest bynajmniej sprawą małej wagi.

Lukasz WINIARSKI

Federacja Ośmiu

Książka dr Huberta Ripki pt. „A Federation of Central Europe” jest pierwszą obszerniejszą pracą poświęconą zagadnieniu federacji Europy środkowej. Na powyższy temat napisano wiele artykułów w prasie i periodykach emigracyjnych wszystkie jednak dotychczasowe opracowania, referaty i odczyty były niezmiernie fragmentaryczne a często wręcz amatorskie. Książka dr Ripki, którą prasa polska z niezrozumiałych przyczyn całkowicie przemilczała — stanie się niewątpliwie klasycznym dziełem dla tych wszystkich, którzy poważnie interesują się cyklem tych niełatwych zagadnień.

Dr Ripka obszar centralnej Europy dzieli na trzy rejony: polsko-bałtycki, naddunajski i bałkański. Autor odrzuca jednak po przeprowadzeniu sumiennej krytyki wszystkie projekty federacji ściśle regionalnych i za najlepsze rozwiązanie uważa federację ośmiu państw a mianowicie: Polski, Czechosłowacji, Austrii, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Jugosławii i Albanii.

To jest projekt olbrzymi. Federacja Ośmiu liczyłaby 94 miliony mieszkańców a pod względem wytwórczości rolniczej i przemysłowej byłaby „mocarstwem” pierwszej wielkości. Autor zdaje sobie sprawę z olbrzymich trudności związanych z tym projektem i jako rozwiązanie „second-best” przedstawia projekt skromniejszy tzw. polsko-naddunajski który by obejmował Czechosłowację, Polskę, Austrię, Węgry i Rumunię.

Podkreślić należy że dr Ripka poddaje druzgocącej krytyce wszystkie projekty federacyjne, które nie obejmują Polski jak np. wysuwany przez pewne koła czechosłowackie projekt federacji „habsburskiej” która obejmowałaby Czechosłowację, Węgry i Austrię.

Osobiście uważam, że zarówno projekty jak i argumentacja autora oparte na przejrzyście zestawionym materiale są niezmiernie sugestywne i przekonujące. Budzi natomiast wątpliwości taktyka proponowana przez autora.

Lecz nim zajmujemy się omówieniem założeń taktycznych należy powiedzieć kilka słów o Austrii i o Ukrainie. O ile mi wiadomo, żaden z polskich projektów nigdy nie przewidywał udziału Austrii w regionalnym związku federacyjnym z Polską. Polacy nie żywią żadnej niechęci do Austriaków i wolno mniemać, że ze strony polskiej nie byłoby żadnych zasadniczych sprzeciwów w tej sprawie. Lecz wnioskując w oparciu o obecną sytuację, wydaje się całkowicie nierealne by Austriacy zgodzili się na wzięcie udziału w jakimkolwiek regionalnym związku federacyjnym który by wiązał Austrię z Polską. Do dziś istnieje dość poważny odłam opinii austriackiej, który sprzyja tendencjom powtórnego „Anschlusu”. Z drugiej strony nawet ci Austriacy, którzy są zagorzałymi przeciwnikami przyłączenia Austrii do Niemiec w żadnym wypadku nie zechcą wiązać się z Polską z uwagi na „dynamikę” problemu polsko-niemieckiego.

Trudno również zgodzić się z poglądami autora dotyczącymi Ukrainy. Z nielicznych wypowiedzi na ten temat należałoby wnioskować, że dr Ripka uważa niemal za przesądzone, że Ukraina pozostanie w orbicie rosyjskiej i mając do wyboru przystąpienie do federacji środkowo-europejskiej lub związanie się węzłami federacyjnymi z przysłą Rosją — wybierze tą drugą ewentualność. Trudno jest dziś przewidzieć koleje polityki przyszłej niepodległej Ukrainy, niemniej wydaje się bardziej prawdopodobne, iż do federacji, której jednym z członków będzie Polska zechce przystąpić raczej Ukraina niż Austria.

Trudności jakie nasuwa planowanie tak olbrzymiego związku państw są tak liczne i skomplikowane iż mogą zniechęcić największego entuzjastę federalizmu. Weźmy choćby dla przykładu Jugosławię, która miałaby wejść do projektowanego związku ośmiu państw. Dr Ripka mówi cały czas o federacji państw a nie narodów. Innymi słowy członkami proponowanej federacji byłyby suwerenne państwa, które część swej władzy przelałyby na instytucję zwierzchnie federacji. Ale nawet zakładając, że federacja będzie związkiem suwerennych państw a nie

narodów — trudno jest wyobrazić sobie by w ramach federacji mogły istnieć państwa o całkowicie różnych ustrojach wewnętrznych.

Dlatego wydaje mi się, że choć z polityczno-teoretycznego punktu widzenia konstrukcja federacyjna proponowana przez dr Ripkę jest doskonała — to jednak byłoby praktycznej i celowej zacząć od związku skromniejszego a mianowicie od federacji polsko-czechosłowackiej.

W ostatnim rozdziale swej pracy dr Ripka rozważa jakie istnieją możliwości przygotowania planów federacyjnych na emigracji. Między innymi autor proponuje by komitety narodowe, rady narodowe i inne istniejące obecnie polityczne reprezentacje narodowe środkowej Europy powołały do życia wspólną instytucję polityczną w postaci rady środkowo-wschodnio-europejskiej. Myśl jest niewątpliwie słuszna ale szanse realizacji tego projektu są minimalne.

Wyda mi się, że byłoby najcelowiej powołać do życia towarzystwo federacyjne polsko-czechosłowackie, które w swych szeregach skupiłoby zwolenników federacji zarówno Polaków jak i Czechosłowaków. Nie chodzi w tym wypadku o jeszcze jedno narodowe towarzystwo federalistów (którzy „federalizują” siebie nawzajem) lecz o towarzystwo, które skupiałoby Polaków i Czechosłowaków przekonanych zwolenników federacji polsko-czechosłowackiej. Byłoby rzeczą tegoż towarzystwa w normalny demokratyczny sposób propagować idee federacji i zdobyć dla swego programu zwolenników w politycznych reprezentacjach emigracyjnych tak polskiej jak i czechosłowackiej. Wówczas przekonaliśmy się natychmiast, że o ile łatwo jest „sfederalizować” kilku intelektualistów czy pisarzy o tyle jest rzeczą znacznie trudniejszą zdobyć dla idei federacyjnej „masy” emigracyjnej oraz przywódców partii i ugrupowań politycznych.

Jeżeli jednak projekt ma być realnie postawiony nie ma przed nami innej drogi. Każdy ruch polityczny jeżeli ma być oparty na zdrowych podstawach powinien być budowany „od dołu”.

Gdyby w przyszłej polskiej Radzie Jedności Narodowej (ufa mi, że kiedyś taka powstanie) zwolennicy federacji polsko-czechosłowackiej stanowili większość, gdyby w radzie czechosłowackiej zwolennicy federacji stanowili również większość — wówczas, ale dopiero wówczas — reprezentacje polityczne polska i czechosłowacka mogłyby wyłonić wspólną stałą komisję polsko-czechosłowacką, której zadaniem byłoby koordynowanie emigracyjnej polityki polsko-czechosłowackiej oraz opracowanie konkretnych planów federacyjnych. Przez „większość zwolenników” rozumiem większość zorganizowaną, która wyraża zgodę na pewne ustalone warunki. Teoretycznie niemal wszyscy są za federacją i zarówno w politycznej frazeologii byłej Rady Narodowej jak Rady Politycznej federalizm należy do stałego repertuaru. Ale to nic nie kosztuje ani do niczego nie zobowiązuje. Co innego są sympatycy a co innego zwolennicy. Pierwsi ustosunkowują się

życzliwie do idei, która jest w modzie — drudzy deklarują gotowość do przyjęcia pewnych zobowiązań. Politycznie liczą się tylko zrzeszeni zwolennicy.

W chwili obecnej nie wiemy ilu Polaków i Czechosłowaków przebywających w wolnym świecie jest za federacją. Gdyby istniał związek zwolenników federacji polsko-czechosłowackiej cyfra członków byłaby realnym wskaźnikiem popularności ruchu a za razem byłoby możliwe dokładnie ustalić z jakich kół rekrutują się zwolennicy i przeciwnicy federacji. Uczestnictwo w proponowanym związku byłoby dostępne zarówno dla osób prywatnych jak i dla stowarzyszeń, ugrupowań, partii politycznych, organizacji społecznych itp.

LONDYŃCZYK

Kronika angielska

SPRAWA DR RIPKI

Dr Hubert Ripka, którego książkę pt. „A Federation of Central Europe” omawiamy powyżej — został wezwany celem złożenia zeznań przez tzw. „Senate Internal Security Subcommittee”. Dr Ripkę oskarżył o komunizm senator Welker, republikanin z Idaho.

Jak wynika z doniesień korespondentów „The Manchester Guardian” oskarżenie jest rezultatem wewnętrznych walk w politycznych czeskich kołach emigracyjnych. Przeciwnicy Dr Ripki, a więc w pierwszej linii skrajni prawicowcy, Niemcy sudecy i słowaccy nacjonalści, doszli do wniosku, że byłoby najporęczniej „zlikwidować” Dr Ripkę rękami Amerykanów.

Mimo, że przesłuchiwanie odbywają się na tajnych posiedzeniach to jednak przeciwnicy Dr Ripki ze skrajnego skrzydła prawicy, upojeni sukcesem, wyjawili na łamach chicagowskiego „Narod’a” główne punkty aktu oskarżenia. Wedle tego pisma Dr Ripka został wezwany przez cytowany senacki komitet by wyjaśnić dlaczego dążył do zawarcia „paktu przyjaźni” z Sowietami co doprowadziło do włączenia Czechosłowacji w orbitę sowiecką i dlaczego zawarł w r. 1947 traktat handlowy z Sowietami. Ale to nie wszystko. Dr Ripka oskarżony jest również o to, że nie dopuścił do politycznego zjednoczenia emigracji czeskiej. Zarzuca mu się także, iż wywiera zły wpływ na treść i ton audycji czechosłowackich nadawanych z Monachium. Dzięki niemu audycje te są redagowane w duchu lewicowym i w niebezpieczny sposób zniechęcają ludność do oporu przeciwko okupantowi.

Nie zamierzam ani na tym miejscu ani w tej chwili analizować zarzutów podniesionych przeciwko Dr Ripce. Pragnę natomiast zwrócić uwagę na fakt, że przeciwnicy polityczni Dr Ripki swoją akcją rozpoczęli nowy rozdział w historii środkowo-europejskich emigracji w wolnym świecie. Jest to bowiem pierwsza próba użycia anty-komunistycznej maszynierii Senatu amerykańskiego jako narzędzia w wewnętrznych rozgrywkach emigracyjnych.

Najcharakterystyczniejszy punkt w tym akcie oskarżenia zmierza do uczynienia Dr Ripki współwinnym włączenia Czechosłowacji w orbitę sowiecką.

Faktem natomiast jest, że Dr Ripka był jedynym członkiem rządu czechosłowackiego *in exile*, który w maju 1945 roku, będąc jeszcze w Londynie, usiłował poprzez Anglików wymusić na Amerykanach decyzję, która umożliwiłaby wojskom amerykańskim zajęcie Pragi. Warto przypomnieć, że wojska generała Pattona znajdowały się w dniu 7 maja w odległości zaledwie 50 km. od Pragi i zatrzymały się na tej linii zgodnie z postanowieniami konferencji w Jaltie, gdzie dokonano podziału stref okupacyjnych.

Nie może podlegać wątpliwości, iż każdy Czechosłowak ma prawo krytykować działalność Dr Ripki i rozstrząsać czy było rzeczą celową zasiadać z komunistami w jednym rządzie, zawierając z Sowietami traktaty handlowe itp. Nie wydaje się natomiast rzeczą słuszną, by prawo krytyki w tych sprawach przysługiwało jakiegokolwiek oficjalnej instytucji amerykańskiej. Jeżeli bowiem podnosi się zarzut przeciwko Dr Ripce, iż zasiadał z komunistami w jednym rządzie i jako minister zawierał umowy takie czy inne, to identyczny zarzut można wysunąć pod adresem p. St. Mikołajczyka, który był wicepremierem rządu na czele którego stał notoryczny komunista Bolestaw Bierut. Ale niewątpliwie tylko Polacy mają prawo krytyki ówczesnej polityki p. Mikołajczyka. Prawo to w żadnym wypadku nie przysługuje Amerykanom gdyż p. Mikołajczyk wbrew opinii swoich rodaków a natomiast pod przemożnym naciskiem Amerykanów i Anglików wszedł do rządu Bieruta. Gdy jego misja skończyła się klęską Amerykanie wywieźli go z Polski jako swojego człowieka.

Jest jasne, że jak długo rząd amerykański nie wypowie układów jaltańskich i dopóki nie cofnie uznania komunistycznemu rządowi państw ujarzmionych, tak długo wszystkie akcje komitetu senatora McCarthy'ego wikać się będą nieustannie w absurdalnych nielogicznościach. Niezależnie od ogólnego tła tej sprawy nie ulega wątpliwości, że jeżeli akcją przeciwko Dr Ripce przyniesie rezultaty będzie to wskazówką dla wszystkich „czarnych” reakcjonistów w innych środkowo-wschodnich europejskich emigracjach, iż jest rzeczą możliwą zlikwidować wpływy polityków i pisarzy emigracyjnych o liberalnych i lewicowych poglądach oskarżając ich przed Amerykanami o powiązania z komunizmem.

Niebezpieczeństwo jakie kryje się w każdego typu „McCarthy'zmie” polega na tym, że drogą politycznego „stopniowania” dochodzi się w końcu do wniosku, że ideałem owego najpewniejszego antykomunisty jest tylko nieprzejednany prawicowiec. Wszyscy inni nie są już tacy pewni i należy się ich pozbyć póki czas...

BIBLIOGRAPHY OF BOOKS IN POLISH

Wątpię czy Maria Rodziewiczówna marzyła kiedykolwiek w najśmielszych snach, że jej „Straszny Dziadunio” doczeka się wydań w Glasgow... w Bari... w Nowym Jorku... w Chicago... w Rzymie a nawet w świętej a dalekiej Jerozolimie. Dzieje i kariery książek są równie nieoczekiwane jak kariery ludzi. „Straszny Dziadunio” jest beznadziejny, niemniej, w sensie geograficznym osiągnął sukces światowy.

„Bibliografia (*) druków polskich” opracowana przez p. Janinę Zabielską a poprzedzona doskonałym wstępem pióra Marii Danilewicz — stanowi niewyczerpaną kopalnię dla studiów nad naszą emigracją. W tym spisie obejmującym 5.625 pozycji wydawniczych odbijają się nie tylko nasze

(*) Bibliography of Books in Polish or Relating to Poland published outside Poland since Sept. 1939. Comp. by Janina Zabielska, Mag. Phil., London, 1953.

pielgrzymie dzieje, lecz i wszystkie blaski i nędze polityk wydawniczych i legendo-twórczych ośrodków.

Pułk, korpus, brygada czy dywizjon — wydawał, drukował, powieści w niezachwianym przekonaniu, że drogę do nieśmiertelności mości się przede wszystkim papierem. Na każdym szczeblu redagowaliśmy epopeję. Gromadziliśmy materiały i dokumenty z niesłychaną wprost zapobiegliwością przygotowując narodziny legendy o nas samych. Nie czekaliśmy na przyszłego Berenta. Postaraliśmy się przeznaczyć i zapobiegliwie by literatura o nas rosła pod naszym okiem i w naszych polowych drukarniach. Szybkość z jaką nasze dokonania stawały się literaturą i „przekazem” dla potomnych — budzi zdumienie i podziw. Pierwszy tom wańkowiczowskiej „Bitwy o Monte Cassino” ukazał się już w roku 1945.

Dziś znaczny procent tej historycznej nadprodukcji spoczywa w pakach w piwnicach instytucji, które przejęły zapasy książek z rozwiązanych jednostek wojskowych. Część pochłoniętych papiernicze młyny angielskie.

Patrząc z perspektywy lat na działalność owych licznych wydziałów propagandy i prasy trudno oprzeć się wrażeniu, że bezprzykładnie przeznaciliśmy historyczną rolę jaką przeznaczone było nam odegrać. Dopiero dziś widzi się w pełni jakie nieproporcjonalnie wysokie były koturny naszych reporterów i dziejopisów w stosunku do wymiarów i możliwości przydzielonej nam sceny.

Bibliografia p. J. Zabielskiej jest bezcennym opracowaniem źródłowym, które kataloguje 75 a może nawet 80 % druków polskich wydanych zagranicą w omawianym okresie. W Bibliografii pominięto całkowicie periodyki. P. M. Danilewicz motywując tę decyzję we wstępie do pierwszego tomu wskazuje na ogromne trudności w zebraniu odpowiednich danych. Na wystawie urządzanej w lutym ub. roku w Instytucie Gen. Sikorskiego zgromadzono około 2.000 polskich różnych periodyków z tym, że cyfra ta nie jest kompletną. Mimo, że doceniam w pełni trudności związane z tą sprawą decyzja zupełnego pominięcia periodyków nie wydaje mi się słuszną. Jeżeli laikowi wolno zgłaszać jakąś sugestię to proponowałbym by następny tom „Bibliografii” objął periodyki polskie wydawane na obczyźnie ale tylko te, które do tej pory wychodzą. Nie ma żadnej trudności w opracowaniu bibliografii „żyjących” (jeszcze) periodyków polskich gdyż każda redakcja dysponuje kompletami swojego pisma.

Periodyki odgrywają niezmiennie ważną rolę w życiu emigracji. Sądę nawet, że pisma emigracyjne odgrywają rolę znacznie większą dzięki specyficznym warunkom — niż pisma wydawane w normalnych warunkach i w normalnych czasach. Byłoby zupełnie niemożliwe opracować dorobek kulturalno-literacki — powiedzmy 2. Korpusu — przemilczając „Oria Białego”. W „Kulturze”, zwłaszcza w dziale najnowszej Historii Polski ukazało się kilka niezmiennie istotnych i jedynek w swoim rodzaju opracowań, których nie sposób pominąć w bibliografii druków polskich na obczyźnie.

Ponieważ p. J. Zabielska w pierwszym tomie swojej monumentalnej pracy nie uwzględniła periodyków w „List of Bibliographies” pominięto „Polonica Niemieckie od dnia 1. 9. 1939 do 31. 12. 1948 r.” w opracowaniu Jana Kowalika („Kultura, Nr 8/34 i następne) oraz drukowaną również na łamach „Kultury” bibliografię polskich druków w Szwajcarii.

POLITYKA NA ULICY

Istnieją dwie drogi bezpośredniego oddziaływania na prasę (a tym samym i opinię) brytyjską. Pierwsza droga to są listy do redakcji pism codziennych i periodyków. Druga — to dobrze zorganizowana demonstracja publiczna.

Jest rzeczą zdumiewającą, że Polacy — na ogół — nie wykorzystują ani jednej drogi ani drugiej. Listów do redakcji pism angielskich podpisanych polskimi nazwiskami spotyka się bardzo mało. Polskich demonstracji politycznych na ulicach Londynu nie widuje się nigdy...

W dniu w którym p. Milnikiel (reżimowy ambasador) otwierał wystawę architektury polskiej w Birmingham — miejscowi Polacy zorganizowali demonstrację niosąc liczne transparenty z wymownymi napisami. Szczególnie spodobał się prasie brytyjskiej następujący napis: „Milnikiel — czy przyszyłeś tu uczyć się demokracji brytyjskiej?”

Demonstracja odbyła się w wielkim porządku i wywarła wielkie wrażenie czego najlepszym dowodem były liczne opisy i komentarze w prasie brytyjskiej. Nawet tak poważne pismo jak „The Manchester Guardian” poświęciło sporo miejsca demonstracji w Birmingham przy czym z opisu nie trudno było się domyślić po czyjej stronie są sympatie wielkiego dziennika.

Nie ulega wątpliwości, że demonstracja była sukcesem i odniosła większy skutek — jeżeli chodzi o poruszenie brytyjskiej opinii publicznej — niż 15 akademii na których uchwalono by 15 patetycznych protestów.

Na ogół trzeba jednak powiedzieć, że Polacy mają nieufność do demonstracji i na dnie duszy uważają, iż jest to rzecz niedozwolona i sprzeczna z prawem. Nie używanie tej drogi tłumaczyć należy tym, że jeszcze ciągle brak nam doświadczenia w wykorzystywaniu tych możliwości oddziaływania politycznego jakie gwarantuje ustrój demokratyczny.

Demonstracji nie można urządzać co drugi dzień. Ale ilekroć w związku z rozwojem sytuacji międzynarodowej chodzi o zaprotestowanie czy też podkreślenie naszych żądań — dobrze zorganizowana, poważna, zdyscyplinowana demonstracja odniesie niepomniernie większy skutek niż memoriał naszego rządu, którego nikt nie przeczyta.

O tym czy dana demonstracja okaże się sukcesem decydują zawsze trzy czynniki: 1. Ilość uczestników, 2. Brak incydentów i starć z policją, 3. Dobór napisów na niesionych transparentach.

Organizowanie takich wystąpień nie jest rzeczą łatwą i nie należy się łudzić, iż najlepiej udają się demonstracje „spontaniczne” i improwizowane. Na ulicy spontaniczność i improwizacja kończą się zwykle zatargiem z policją i epilogiem w sądzie. Wydaje mi się, że byłoby rzeczą celową by organizacje społeczne wyłoniły specjalny komitet „demonstracyjny” (nie bójmy się w Anglii tego słowa!) którego zadaniem byłoby organizować masowe wystąpienia publiczne. Bo choć demonstracja uliczna jest akcją, której nie wolno nadużywać nie oznacza to jednak, iż należy z niej całkowicie zrezygnować.

LONDYN CZYK

Der MONAT

MIEDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKYEGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

Przeгляд gospodareczy

Czy Stanom grozi kryzys?

RECESJA AMERYKAŃSKA

Obawy, związane z recesją amerykańską, nie są niczym nowym. Jeszcze przed końcem drugiej wojny światowej pojawiały się przepowiednie, że w Stanach Zjednoczonych wybuchnie kryzys gospodarczy, a sama myśl o tym przywołała na pamięć lata trzydzieste z 12 milionami bezrobotnych w tym kraju. To ze swej strony napełniało troską Europę, rozumiejącą, że w powojennej sytuacji międzynarodowej, przy niepomniernie zwiększonej — ekonomicznej i politycznej — roli Stanów w świecie, kryzys amerykański byłby klęską Europy i całego wolnego świata. Obawy te potęgowały się następnie w świetle niepomyślnych faktów: w końcu 1948 roku było w Stanach 2 miliony bezrobotnych, w połowie 1949 roku — 3 i pół miliona, w 1950 roku — niemal pięć milionów. W styczniu 1952 raport Zjednoczonych Narodów, zatytułowany „Maintaining Economic Stability”, przewidywał na rok 1954 światową recesję gospodarczą, jako prawdopodobną, zalecając szereg środków dla jej zapobieżenia. Środki te zostały zignorowane, nic prawie w tej sprawie nie zrobiono, przyszedł rok 1954, sprawa nabrała dramatycznej aktualności, co jednak nie oznacza, że dramat w pełni musi się rozwinąć, a zwłaszcza — przejść w tragedię.

Poglądy wypowiedziane w tej sprawie są bardzo sprzeczne, i w gruncie rzeczy nie dają konkretnej, a dostatecznie uzasadnionej odpowiedzi na pytanie główne: jakie ostatecznie będzie natężenie i długotrwałość recesji. Co więcej: podczas gdy niektóre wypowiedzi słusznie mówią o recesji jako o fakcie już istniejącym, np. „Wall Street Journal” pisał niedawno, że recesja zaczęła się sześć miesięcy temu, to inne wciąż jeszcze traktują ją jako coś, co ma nadejść i rozważają na temat „kiedy?”, a — rzecz szczególna — „The Economist” jeszcze 10 października 1953 pisał, że recesja amerykańska wydaje się mniej „imminent”, niż to się zdawało przed kilku miesiącami.

Sprawa jest istotnie bardzo skomplikowana, powodów komplikacji jest wiele. Nie wszyscy przez recesję rozumieją to samo.

Spadek aktywności w pewnych dziedzinach życia gospodarczego Stanów Zjednoczonych nieraz w ostatnich latach szedł w parze z trwającymi jeszcze oznakami boom'u w innych dziedzinach; moment ożywienia sezonowego w poszczególnych przemysłach jest trudny do wymierzenia; wewnątrzno-polityczne punkty widzenia w Ameryce oraz niektóre „upolitycznione” wskaźniki gospodarcze zaciemniają do pewnego stopnia obiektywne spojrzenie na sytuację gospodarczą; rozwój wypadków na terenie międzynarodowym wpływa na politykę budżetową U.S.A., a przede wszystkim — nieleczone w gruncie rzeczy — zwichnięcie zasadniczej równowagi gospodarczej pomiędzy dolarową i niedolarową częścią wolnego świata stwarza przyczynę „samobójczy” do jego losów. W tych warunkach nie dziw, że większość przepowiedni nacechowana jest rezerwą i „dyplomatyczną” niejasnością. Tylko dwie kategorie ludzi rzekomo wszystko „wiedzą na pewno”: komuniści z jednej strony i burżuazyjni ekonomiści „matematyczni” z drugiej strony.

OPINIE

Ze wszystkich głosów, charakteryzujących na czarno przyszłość U.S.A., najgłośniej rozległy się w świecie dwa: czołowego ekonomisty sowieckiego prof. Wargi i Colina Clarka, autora słynnego artykułu w „Manchester Guardian”.

Wywody Wargi nawiązują do znanego argumentu o „gnięciu kapitalizmu”, o niemożności znalezienia drogi wyjścia w ramach gospodarki kapitalistycznej pełnej sprzeczności wewnętrznych, o nieuchronności zupełnego rozpadu gospodarki kapitalistycznej pod ciśnieniem tych sprzeczności. W artykule, ogłoszonym w moskiewskiej „Prawdzie”, Warga mówi nie o recesji, lecz o nadciągającym „kryzysie w ekonomice U.S.A.”, analizuje poszczególne objawy spadku aktywności gospodarczej tego kraju i kończy swe wywody w ten sposób: „Cyfry i fakty świadczą, że w U.S.A. nadciąga kryzys nadprodukcji... władcy monopolu amerykańskich usiłują zapobiec mu przez dalszy wyścig zbrojeń. Droga ta jednak nie uratowała krajów kapitalistycznych przed nieuchronnymi kryzysami. Nie uratuje ona również Stanów Zjednoczonych. Wręcz przeciwnie, droga ta nieuchronnie zaostrza i pogłębia sprzeczności kapitalistyczne”. Warga nie uświadamia sobie, że zbrojenia nie są czynnikiem, przy którego pomocy rząd U.S.A. chce „uratować” gospodarkę kapitalistyczną i że przypisywanie mu, że właśnie zbrojenia chce dziś uczynić treścią istotną polityki anty-kryzysowej, jest nonsensem, choć oczywiście istnieje pewien związek pomiędzy zbrojeniami a prosperity, a wielki kryzys ekonomiczny w Stanach, gdyby rzeczywiście nastąpił, mógłby doprowadzić do poważnego wstrząsu politycznego w tym kraju (co jeszcze zresztą nie oznacza zwycięstwa w nim komunizmu). Warga nie docenia elastyczności gospodarki ame-

rykańskiej i, mając przed sobą niektóre spadające wskaźniki gospodarcze widzi tylko jedną możliwość: kryzys i to kryzys o znaczeniu rozstrzygającym. Z wystąpieniem Wargi solidaryzuje się oczywiście pismo Kominformu „O trwały pokój, o demokrację ludową”, które w swym pierwszym, tegorocznym numerze maluje obraz taki, jakby gospodarka amerykańska stała w obliczu bezpośredniej ruiny. Warga formułuje swoje wnioski ostrożniej niż cytowane pismo propagandystyczne, ale treść istotna jest ta sama. W związku z tym warto przypomnieć, że w dawniejszych swych wypowiedziach Warga był zdania, iż kryzys gospodarczy w Stanach Zjednoczonych jest rzeczą raczej odległą, które to, ówczesne zdanie spowodowało niechęć akademika Wargi na Kremlu i... nowe wydanie jego książki, odpowiednio przerobionej: polityka sowiecka w owym czasie była bowiem oparta na założeniu odwrotnym.

Burżuazyjny prorok Colin Clark ogłosił artykuł, w którym zasygnalizował recesję na początek 1954 roku i wysunął tezę, że w połowie tego roku recesja osiągnie takie natężenie, że zahamowanie jej będzie przekraczało możliwości polityki gospodarczej. Wyrazem depresji będzie, zdaniem Clarka, bezrobocie i inne ujemne objawy w rozmiarze mniej więcej takim jak w roku 1949. Ale wtedy, powiada, „przedsiębiorczość znów wzrosła w początkach roku 1950, jeszcze przed wojną koreańską. Tym razem, o ile nie zrobi się czegoś, gospodarka stoczy się jeszcze bardziej w dół niż wtedy”. Artykuł Clarka pisany jest z rzadko spotykanym u ekonomistów nie-marksistowskich nastawieniem na jedną możliwość rozwoju wypadków gospodarczych. Stosuje on w swym rozumowaniu równania matematyczne, wyciąga z nich wnioski, nacechowane taką pewnością siebie, jak gdyby ekonomia była matematyką a czynniki nieobliczalne np. przyszłe reakcje przedsiębiorcy i konsumenta w żadnym razie nie mogły się odchylić od schematu. To nie oznacza, że Clark musi się mylić. Jego przepowiednie, związane z poprzednimi wstrząsami gospodarki amerykańskiej, były trafne, co znów nie oznacza, że i tym razem są trafne. Setki ekonomistów na obu półkulach zajmowały się artykułem Clarka. Można, zdaje się, powiedzieć, że większość nie podziela jego poglądów. A, co może najciekawsze, że dwaj ekonomiści z Departamentu Ekonomii Uniwersytetu w Michigan wystąpili przeciwko tezie Clarka, posługując się też... metodą matematyczną.

Z głosów pesymistycznych zacytujmy dalej opinię amerykańskiego „Business Week”, który mówi, że zdolność wytworzenia U.S.A. „staje się tak wielka, że potrzebny jest boom w produkcji dóbr konsumpcyjnych plus królewski rozmach w programie obrony, aby utrzymać pełne zatrudnienie”. W przeciwnym razie — pismo przewiduje poważną recesję.

Demokraci, ze względów wewnątrzno-politycznych, ostro na ogół formułują swoje opinie w sprawie recesji. Żyje w nich wiara Trumana, że z pomocą polityki rządowej można utrzymać prosperity jeszcze przez dziesięć lat, a może nawet zapewnić Stanom

Zjednoczonym drugi świetny okres rozwoju — taki, jaki dzielił Wielki Kryzys i rok 1952. Ale nawet Leon Keyserling, który przy Trumanie był przewodniczącym jego doradców ekonomicznych, wypowiedział opinię, że jest raczej nieprawdopodobne, aby w roku 1954 nastąpiła poważna depresja i że nie zdziwiłby się, gdyby produkcja i zatrudnienie tego roku, jako całości, utrzymały się na poziomie 1953.

Republikanie, oczywiście, koloryzują sprawy na różowo. W ich oczach obniżanie się niektórych wskaźników gospodarczych nie jest niczym groźnym: to po prostu schodzenie gospodarki na nieco niższy, ale wciąż jeszcze bardzo wysoki, poziom, to proces niezbędnego przystosowania. Zarzucają oni demokratom „sadyzm polityczny” w stawianiu horoskopów gospodarczych, przekształcenie „New Deal” w „Fear Deal” w celu pchnięcia społeczeństwa przeciwko rządowi.

Mr Hitchings z Ford Company oświadczył na posiedzeniu jednego z komitetów Kongresu że „najgorszy spadek przedsiębiorczości już minął. Konsument wyda w roku 1954 prawdopodobnie o 5 do 10 procent mniej w stosunku do nienormalnie wysokich wydatków roku 1953, ale wydatki jego będą co najmniej na poziomie 1952”. Podobny optymizm wyraził prof. Zelom, prezes Międzynarodowego Biura Statystycznego. Niektórzy ekonomiści, zarówno republikanie jak demokraci, sądzą nawet, że recesja może się skończyć już w maju, gdyż jest ona w ogóle wynikiem zbieżności normalnego, sezonowego spadku zatrudnienia z okresem przechodzenia „od budowania inwentarzy do ich redukowania”.

Wydaje nam się, że podsumować te pełną sprzeczności wielką dyskusję ekonomiczną w Stanach Zjednoczonych można przez przytoczenie opinii American Statistical Association, stowarzyszenia czołowych ekonomistów amerykańskich, którego poglądy są uważane za autorytatywne. Otóż doroczne zebranie tego stowarzyszenia uchwaliło opinię, że wchodzi w rachubę „ortodoksyjna recesja”, nie wykluczająca nawet wielkiej prosperity w następnym roku. Ten pogląd, będący jakby czymś pośrednim pomiędzy zdaniem pesymistów i optymistów, może praktycznie oznaczać spadek produkcji przemysłowej w granicach 5-10 % czyli powrót mniej więcej do poziomu 1951-1952. I to jest bodaj przeciętny pogląd na sytuację. Amerykanin uświadamia sobie, że podobny spadek produkcji nie oznacza żadnej katastrofy dla jego kraju i, jak powiedział prof. Hart z uniwersytetu w Columbii, takim spadkiem nikt nie będzie się specjalnie martwić, gdyż „jest to rzecz normalna”. „New York Times” dodał do tego: „Wszyscy ekonomiści są zgodni co do tego, że jeżeli recesja nie nastąpi w roku 1954, to z pewnością przyjdzie w 1955 albo w 1956”.

Prezydent Eisenhower wielokrotnie wypowiadał pogląd, że gospodarka amerykańska może się przystosować do zmieniających się warunków bez wpadania w chaos i że rok 1954 będzie rokiem prosperity. Wprowadzając zaś swój budżet 1954-1955 powiedział on w końcu stycznia br., że warunki w okresie budżeto-

wym będą „fairly stable”: preeliminowanie dochodów budżetowych oparte zostało na założeniu tej samej mniej więcej aktywności gospodarczej.

HOROSKOPY

Z analizy(*) podstawowych danych o rozwoju i stanie gospodarki amerykańskiej wynika, że po pierwsze, recesja amerykańska jest oczywistym faktem, po drugie, że natężenie jej jest w tej chwili rzeczywiście odpowiadające pojęciu „ortodoksyjnej recesji”, nie mającej nic wspólnego z wielkim wstrząsem gospodarki amerykańskiej w latach trzydziestych, a także pozostającej w tyle poza recesją roku 1949.

Ekonomia jest nauką szanowną, ale ekonomiści, którzy przepowiadają „na pewno i dokładnie”, co niesie przyszłość, nie zasługują na szczególne uznanie nawet w wypadku, gdy wróżba się sprawdzi: ekonomia nie dysponuje bowiem żadnym precyzyjnym instrumentem przewidywania podobnie jak medycyna nie umożliwia przewidzenia, w jakiej dacie człowiek zachoruje i ile będzie miał stopni gorączki. Zresztą w związku i z tą właśnie recesją było już mnóstwo mylnych przewidywań co do jej daty i natężenia, a nawet co do jej nadejścia w ogóle. Ekonomista powinien mówić jedynie o tendencjach w rozwoju wypadków gospodarczych i o alternatywnych możliwościach, uwarunkowanych różnymi czynnikami, zaś polityk i kupiec powinni uważać przepowiednie ekonomistów za coś pomocniczego jedynie i nastawiać swą działalność, o ile to możliwe, na różne ewentualności.

Niewielka recesja, którą Stany Zjednoczone dziś przeżywają, może przejść szybko względnie skończyć się po dłuższym czasie bez znacznego zwiększenia swego natężenia, a może też przejść w wielki kryzys. Tego ostatniego nikt nie jest w stanie wykluczyć w sposób stanowczy, choć również nie istnieje podstawa do twierdzenia, że jest on koniecznością w najbliższych latach. Nikt również nie może twierdzić, że dotychczasowy tok wypadków poręcza stopniowość i powolność dalszego biegu rzeczy: pamiętajmy o doświadczeniach 1929 roku i o prawie lawinowości, które nieraz opanowuje mechanizm kryzysu. Żaden jednak ekonomista nie jest również w stanie udowodnić, że proces spadania aktywności gospodarczej nie przyjmie charakteru procesu przystosowania się do zmienionych warunków gospodarczych, zwłaszcza przy rozumnej polityce ekonomicznej rządu. Wreszcie, za nieuzasadnione uznać należy przepowiednie ekonomistów sowieckich co do zbliżania się nieuniknionego krachu gospodarki kapitalistycznej. Światowy kapitalizm, choć żyje z wadą serca, choć przeżył dwa ciężkie ataki rozbijania się rynku

(*) Obszerny ustęp poświęcony tej analizie został przez Redakcję opuszczony z braku miejsca.

światowego po dwóch wojnach, jest jednak systemem gospodarczym o wiele trwalszym niż się zdaje jego zawodowym grabarzom. Nie jest bynajmniej wyłączone, że wzrost dobrobytu w U.S.A. będzie trwał jeszcze dziesiątki lat, choć trudno sobie wyobrazić, aby był nieprzerwanie ciągły i pozbawiony fluktuacji.

Rezygnując z wróżbiarstwa ekonomicznego, rzućmy teraz okiem na okoliczności: (a) pomyślne, które sprzyjają zakończeniu recesji, (b) niepomyślne, które działają w kierunku odwrotnym.

(a) Istotą kryzysów gospodarczych jest nadprodukcja albo przeinwestowanie, albo kombinacja obu tych czynników. Czynnik psychologiczny choć leży poza ekonomiczną istotą rzeczy, gra jednak ważną rolę; niewiara społeczeństwa w przyszłość, brak zaufania do rządu stanowią niebezpieczeństwo i dodatkowy czynnik kryzysu. Brak niebezpieczeństwa psychologicznego w Stanach Zjednoczonych stanowi w tej chwili wyraźny plus w sytuacji tego państwa. Społeczeństwo, mające za sobą długie lata wzrastającej pomyślności gospodarczej, nie wierzy, że jest prawdopodobny przeskok od boom'u do ruiny, toteż reaguje na ogół spokojnie na pewne oznaki pogarszania się sytuacji, wykazując ostrożny optymizm ludzi, którzy wierzą w siłę i odporność swego wielkiego kraju. Po drugie gospodarka amerykańska nieraz już wykazała wielką elastyczność w trudnych chwilach, i to elastyczność, która nie tylko pozwoliła jej zamortyzować nieuniknione wstrząsy, ale i zachować swą ekspansywność. Widzieliśmy np. pomyślne przedstawienie się tej gospodarki ze stopy wojennej na pokojową z jej olbrzymim zapotrzebowaniem na dobra konsumpcyjne, następnie równe spokojne przejście od tej gospodarki pro-konsumpcyjnej do gospodarki stojącej pod znakiem budownictwa i inwestycji przemysłowych, a wreszcie znów poddawanie się do olbrzymich zbrojeń pokoreańskich. Po trzecie, na gospodarkę amerykańską działają pro-stabilizacyjnie różne roboty publiczne, finansowane przez rząd federalny i stany, dalej zwiększone bezpieczeństwo socjalne, równomierniejsze rozprowadzanie dochodu społecznego na poszczególne warstwy ludności itd. Czynnikami te sprzyjają opanowywaniu kryzysów gospodarczych. Po czwarte, są i obiektywne oznaki poprawiania się sytuacji pod pewnymi względami, nie pogarszania się jej pod innymi względami. Są np. pierwsze przebieżki poprawy w rolnictwie, ceny na ogół nie spadają, handel, zwłaszcza detaliczny trzyma się, ruch budowlany jest niezły, brak spekulacji, powiększenie się nakładów kapitałowych w przemyśle w pierwszym kwartale br. w stosunku do pierwszego kwartału ubiegłego roku, pewien spadek składów towarowych w końcu ubiegłego roku i początkach bieżącego roku i to przy niesпадaniu cen detalicznych, bezrobocie jest mniejsze niż w roku 1949. Wreszcie, po piąte, poprawa nastroju Wall Street — tego ośrodka systemu nerwowego w gospodarstwie amerykańskim.

Teraz rzućmy okiem na okoliczności niepomyślne, towarzyszące powstaniu i przebiegowi recesji.

(b) Paradoksalnie można powiedzieć, że najgorsze jest to, że... tak długo było tak dobrze. Prawo cyklów gospodarczych musiało przyjść do głosu. Po wielu latach boom'u recesja jest rzeczą naturalną, nie należy się dziwić, że nadeszła, raczej dziwić się należy że nadeszła tak późno. Poza tą „strukturalną” i genetyczną okolicznością, są i inne rzeczy ujemne w przebiegu recesji. Prawdopodobieństwo, że przemysł samochodowy będzie musiał obniżyć swój plan produkcyjny ze względu na remanenty niesprzedanych wozów. Wraz ze wzrostem bezrobocia — wzrost opozycji robotników przeciwko importowi, a więc zubożenie dolarowe innych krajów, a więc zwężenie eksportowych możliwości Ameryki i w ogóle atmosfera sprzyjająca restrykcjom w handlu międzynarodowym, wbrew uchwałom papierowym i wbrew wskazaniam długofalowym. Dalej, pojawienie się konkurencji japońskiej. Mniejsze obniżki na terenie podatku dochodowego niż się tego spodziewano. Ewentualność spadku zapotrzebowania ze strony doskonale zaopatrzonych konsumentów. Także ewentualność spadku w przyszłości inwestycji przemysłowych wobec doskonałego wyposażenia przemysłu w maszyny itd. No i wreszcie, wzajemne oddziaływanie na siebie czynników pro-kryzysowych, co zwykle potęguje ujemne ich skutki w stopniu, przekraczającym ich mechanicznie rozumianą sumę, i co może grozić rozszerzeniem się skutków recesji na całą gospodarkę choćby nie cała stała pod znakiem nadprodukcji.

W tym gąszczu skomplikowanych problemów jest tylko jedna rzecz pewna, a mianowicie, że *dobra* polityka gospodarcza mogłaby być moderatorem zjawisk recesyjnych, a nawet pewnym przyczynkiem do jej szybszego zakończenia.

POLITYKA ANTYPRECESYJNA

(a) Założenia.

Centralnym pojęciem polityki gospodarczej, której holdują demokraci, a która zaczyna się wyraźnie zaznaczać w sposobie myślenia rządu republikańskiego, jest siła nabywcza społeczeństwa. Siła nabywcza społeczeństwa, jako całości, decyduje o rozmiarze krajowego aparatu wytwórczego, który ze swej strony decyduje o rozmiarze krajowego aparatu wytwórczego, który ze swej strony decyduje o możliwości zaspakajania potrzeb w ramach tej siły nabywczej. Jeżeli gigantyczny aparat wytwórczy U.S.A. ma się dalej rozwijać — a musi się rozwijać o ile ma zaspakajając wciąż rosnące potrzeby społeczeństwa — to jego siła nabywcza musi być zdolna do absorbowania wzrastającego dochodu społecznego. Nadprodukcja występuje wtedy, gdy siły wytwórcze przegoniły globalną siłę nabywczą społeczeństwa.

Postawa rządu wobec recesji może być: albo bierna, dać się kryzysowi wypalić, albo czynna — prowadzić politykę anty-

krzysową. Rząd U.S.A. wielokrotnie oświadczył, że postawa jego będzie czynna. Jego doradcy ekonomiczni z niemalą racją uważają, że nie może być inaczej. Postawa bierna byłaby złem z punktu widzenia społecznego, byłaby absurdem z punktu widzenia polityki w stosunku do komunizmu, absurdem z punktu widzenia rządzącej partii republikańskiej, absurdem z punktu widzenia zdrowego rozsądku, skoro wielkie dziedziny życia gospodarczego, w skali światowej, są wyjęte spod działania automatyzmu, a wreszcie postawa bierna byłaby po prostu niemożliwa w atmosferze poglądów moralnych, które dziś wyznaje znakomita większość ludzi. W tych warunkach polityka ekonomiczna staje się sztuką gospodarowania siłą nabywczą społeczeństwa. Duch Keynesa zbliża się do Białego Domu.

Siła nabywcza społeczeństwa jest funkcją popytu, reprezentowanego przez (1) konsumenta prywatnego, (2) przez inwestora prywatnego i (3) przez ciała publiczne, głównie przez państwo, które zakupuje dobra i usługi. Chodzi o to, że na skutek różnych okoliczności, czynniki, warunkujące rozmiar globalnego popytu już osłabły względnie grozi im osłabnięcie w stosunku do lat boom'u. Aktualne pytanie brzmi więc: czy i jak można je zintensyfikować, aby przywrócić równowagę na poziomie możliwie najbliższym przed-recesyjnemu, a tym samym zapobiec dalszemu pogarszaniu się sytuacji? Pytanie na nieco dalszą metę brzmi: czy możliwa jest zdolność nabywcza, będąca odpowiednikiem stałego wzrostu dochodu społecznego, który to wzrost, jak słusznie czy niesłusznie sądzą liczni ekonomiści, mógłby wynosić w najbliższych trzech latach 10 miliardów dolarów rocznie?

Na pytania te ekonomiści amerykańscy i nieamerykańscy — poza notorycznie ortodoksyjnymi — odpowiadają w zasadzie pozytywnie, ale są wielkie między nimi różnice, gdy chodzi o określenie stopnia intensywności i zasięgu zalecanej polityki „reflacyjnej”: jeden biegun to ekstremistyczni „nakręcaacze koniunktury”, drugi biegun — krańcowo ostrożni i umiarkowani politycy, którzy pragnęliby w pewnym stopniu wpłynąć na dynamikę siły nabywczej społeczeństwa, ale nie wątpią, i słusznie, w istnienie procesów samoczynnego równoważenia się gospodarstwa, które to procesy w pewnym zakresie należy dopuścić do głosu; ci politycy przestrzegają przed nadmiernym albo zbyt pochopnym dodawaniem oliwy do maszyny gospodarczej. Oczywiście między tymi biegunami dużo jest poglądów pośrednich w tym starym sporze zwolenników inflacji i zwolenników deflacji.

Demokraci na ogół domagają się szybszych, śmielszych, dalej idących chwytów polityczno-gospodarczych w kierunku świadomej aktywizacji życia gospodarczego. Republikanie, zwłaszcza prawy ich odłam, idą na ogół w kierunku przeciwnym. Eisenhower pod wpływem swych doradców ekonomicznych skłania się jakby do „poglądu środka”. Nie za wszelką cenę chce on pełnego zatrudnienia. Ponadto, pogląd jego nacechowany jest

unikaniem przedwczesnego wystrzelania amunicji polityczno-gospodarczej: oświadczył on np., że dopiero w marcu, który jest zwykle miesiącem ożywienia działalności prywatno-gospodarczej, podejmie zdecydowane kroki, o ile w tym czasie nie nastąpi poprawa albo nastąpi pogorszenie sytuacji. Odnosi się wrażenie, że 3 i pół miliona bezrobotnych jest to maksymalna cyfra, którą rząd amerykański będzie tolerował. Taktyka w polityce antyrecesyjnej wymaga zarówno unikania przedwczesności akcji jak i odkładania jej do czasu, gdy siły kryzysowe poszły już zbyt daleko. Głębszy sens polityki amerykańskiej wymaga też, naszym zdaniem, pamiętania o tym, aby jednym z elementów tej polityki uczynić równiejsze rozprowadzanie dochodu społecznego między poszczególnymi warstwami społecznymi. Tego wymaga racja nie tylko społeczna.

Przejdziemy teraz do omówienia sytuacji i akcji na poszczególnych odcinkach frontu antyrecesyjnego.

(b) WYDATKI PAŃSTWOWE

Oto obraz wydatków i dochodów państwowych w miliardach dolarów. (Początek roku budżetowego dnia 1 lipca):

Rok	Wydatki ogółem	Dochody	Deficyt	Wydatki na obronę
1953	74.0	64.6	9.4	50.3
1954	70.9	67.6	3.3	48.7
1955	65.6	62.6	2.9	44.9
1955 w stosunku do 1954				
	—5.3	—5.0	—0.4	—3.8

Najczęściej słyzy się pytanie: jaka jest rola wydatków na obronę w pomyślności gospodarczej U.S.A. i co może wypełnić lukę w popycie w okresie po-koreańskim i po redukcji wydatków tej kategorii w budżecie 1955? Propaganda sowiecka, a nawet sowieccy profesorowie ekonomii twierdzą, że cała koniunktura amerykańska stoi na zbrojeniach. Twierdzenie to jest nonsensem. Ale i pewni niesowieccy analitycy przeceniają nieraz rolę zbrojeń w gospodarce U.S.A. Prawda, że wydatki na obronę wynoszą w budżecie 1955 aż 68.2 procent ogółu wydatków państwowych, ale również prawda, że stanowią 15.4 proc. dochodu społecznego i że preliminowana redukcja wynosi 6 procent ogółu wydatków. Po drugie, przed wojną koreańską na obronę szło 6 proc. dochodu społecznego, bezpośrednio po Korei 11 procent, ale cała niemal nadwyżka wydatków została sfinansowana z 10-procentowego wzrostu dochodu społecznego, a więc bez zmniejszania stopy życiowej społeczeństwa amerykańskiego. Po trzecie, w okresie lipiec-grudzień 1952 wydatki wojenne przestały wzrastać, więc wzrost dochodu społecznego w tym czasie należy przypisać gospodarstwu prywatnemu. W tymże 1952 roku przemysł prywatny sfinansował inwestycje za 26.5 miliarda dolarów!

I wreszcie : w budżecie 1955 wydatki na obronę zostały zmniejszone o 3,8 miliarda dolarów. Tak wygląda ta rzekoma polityka stwarzania koniunktury przez zbrojenia. Oczywiście istnieje związek między koniunkturą a zbrojeniami, ale nie można twierdzić, jak to czyni Warga, że boom stoi na zbrojeniach.

Przejdźmy teraz do bardzo ważnego zagadnienia : jaką rolę na froncie antyrecesyjnym odegra budżet 1955, który wchodzi w życie 1 lipca 1954?

Zmniejszenie wydatków o 5,3 miliarda oznacza, że w nadchodzącym roku budżetowym państwo będzie gorszym nabywcą dóbr i usług niż było w poprzednim. Jak zapłacić tę lukę w popycie, zmniejszonym z „winy” państwa? Na to ekonomiści odpowiadają : podnieść konsumpcję prywatną albo poziom inwestycji przemysłowych albo wzmocnić oba te źródła popytu. Czy budżet może spełnić to zadanie?

Odpowiedź nie jest prosta. Budżet wprawdzie zawsze jest ważnym czynnikiem w całokształcie gospodarstwa społecznego, ale nie zawsze — *instrumentem polityczno-gospodarczym*, celowo służącym dobru tegoż gospodarstwa. W okresach malejącej aktywności gospodarczej budżet wydatków należy nie zmniejszać, ale powiększać, aby stworzyć możliwość finansowania robót publicznych, które by w sposób pożyteczny zatrudniły bezrobotnych i podtrzymały ich siłę nabywczą. Dlatego budżet w okresie recesji powinien być nastawiony raczej na *świadomy* deficyt niż na równowagę. Dlatego ortodoksyjne wołanie niektórych republikanów o równowagę budżetową jest antycelowe z punktu widzenia polityki przeciwkryzysowej. Deficyt budżetowy roku 1955 jest preliminowany na poziomie o około pół miliarda niższym niż 1954. Zapewne, różnica nie jest wielka, ale ważna jest tendencja i kierunek preliminowania. Ten ostatni, gdy chodzi o wydatki i deficyt, nie harmonizuje z zapowiedzią rządu amerykańskiego co do walki z recesją. Nie musi to zresztą oznaczać niekonsekwencji : może oznaczać albo nadzieję, że do szerokiej interwencji poprzez budżet może nie będzie musiało dojść, albo, że w razie potrzeby wyjdą dodatkowe ustawy, powiększające sumę wydatków, albo że sposób wykonywania budżetu zapewni pewną możliwość zwiększenia wydatków w praktyce. W każdym razie sposób finansowania antycyklicznych robót publicznych nie zarysowuje się w tym budżecie z dostateczną jasnością.

Dochody państwa, jak widać z tabliczki, zostają zmniejszone o 5 miliardów. Ważne jest to, ile w tej redukcji przypada na zmniejszenie podatków bo właściwie tylko ta suma przyczyni się do finansowego odciążenia społeczeństwa, a więc do stworzenia w nim dodatkowej siły popytu. I ważne jest, kto otrzyma ulgi podatkowe. Jeżeli konsument, to wzrośnie zapotrzebowanie na dobra spożycia (o ile oczywiście zwolnione przez skarb sumy nie zostaną zaoszczędzone przez obywateli). Jeżeli podnieta będzie skierowana w stronę przemysłowca, to można oczekiwać, że wpłynie to dodatnio na ożywienie ruchu inwestycyjnego w przemyśle i w budownictwie (o ile oczywiście inwestycje nie zostaną

odłożone do przyszłości). Odciążenie podatkowe może też spowodować pewne potaniecie niektórych towarów, a przez to powiększyć obrót handlowy. Nie wchodząc w szczegółową analizę zaprojektowanych i już zrealizowanych zniżek podatku dochodowego, można powiedzieć, że odnosi się wrażenie, że na ogół ulgi są pomyślane jako bezpośredni impuls raczej dla inwestycji niż dla konsumpcji. Ale nikt nie może przewidzieć, jaki będzie praktyczny ich efekt dla powiększenia globalnego popytu, o co tu chodzi.

(c) KONSUMPCJA

Konsumpcja jest potężnym źródłem popytu. Dodajmy słówko o sile nabywczej „obozu konsumentów”. Otóż: ogół dochodów które otrzymały gospodarstwa domowe w r. 1952, wynosił około 91 % całego dochodu społecznego. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że anty-recesyjna polityka gospodarcza kieruje swe zainteresowania przede wszystkim w kierunku konsumpcji choć jest różnica poglądów co do metod jej ożywienia. Paradoksalność sytuacji polityczno-gospodarczej polega jednak na tym, w gruncie rzeczy konsumpcja na razie na ogół nie spadała, jak wiemy np. z danych o handlu detalicznym. Pewne zastoje w sprzedaży dotyczą poszczególnych, niezbyt wielu, towarów; składy niewysprzedawalne nie są bynajmniej zjawiskiem powszechnym. Tak więc zamierzenie podniesienia konsumpcji jest dyktowane troską raczej o przyszłość, bliższą czy dalszą, niż o teraźniejszość. W każdym razie należy zanotować, że to źródło popytu zyska na obniżce podatku dochodowego 2 miliardy dolarów rocznie.

(d) INWESTYCJE

Londyński „Economist” przewiduje, że nakłady inwestycyjne spadną w roku 1954 o 8 % oraz że również spadnie suma kapitałów, inwestowanych w budownictwie gdyż „startów” budowlanych będzie około 975 tysięcy zamiast 1.100 tysięcy w roku ubiegłym. Liberalniejsze udzielanie pożyczek hipotecznych może w pewnej mierze przeciwdziałać tej tendencji. Poza tym, im dalej od chwili zakończenia intensywnego powojennego ruchu inwestycyjnego, tym większa będzie szansa podejmowania nowych inwestycji, nie wiadomo jednak, czy już jest „dostatecznie daleko” od roku 1945.

Czy i w jakiej mierze polityka anty-recesyjna podoła trudnościom, które by się wyłoniły, gdyby konsumpcja i inwestycje spadły, zwłaszcza silnie spadły, w okresie, gdy państwo staje się słabszym nabywcą dóbr i usług — przyszłość pokaże. Rząd republikański stoi przed wielką próbą. Na razie na jego dobro należy zapisać obranie wobec recesji postawy czynnej, połączonej z ostrożnością i docenianiem znaczenia praw ekonomicznych.

Obniżenie stopy procentowej było posunięciem niewątpliwie zdrowym, ważnym i na czasie. Również dobrze świadczy o rządzie U.S.A., że nie uległ sugestiom co do zmniejszenia rozmiaru produkcji rolnej i że raczej sympatyzuje z myślą, aby w ciągu najbliższych trzech lat, nadmiar produktów rolnych, ciężących na rynku postawić do dyspozycji innych przyjaznych krajów „dla wzmocnienia w ten sposób ich gospodarki” miliardem dolarów, a poza tym, aby pewną część nadwyżek oddać szkołom na lunch'e dla dzieci. Ale prawdziwą wielkość długofalowej myśli ekonomicznej wykaże rząd amerykański tylko w tym wypadku, o ile przyczyni się do rzeczowego — to jest nie à la Randall — zliberalizowania handlu międzynarodowego, oraz do stworzenia, jak to proponowały „Foreign Affairs”, Centralnego Banku Anglo-amerykańskiego dla finansowania międzynarodowych robót publicznych i innych rzeczy, decydujących o pomyślności i integracji wolnego świata. Należy się bowiem obawiać, że druga alternatywą może być integracja świata pod rządami Moskwy w najbliższym ćwierćwieczu.

Stanisław ZARZEWSKI

Próby oceny polskiej gospodarki

Tak się złożyło, że niemal równocześnie ukazały się we Francji i w Niemczech prace o gospodarce polskiej w ciągu ostatnich lat (*). W obu wypadkach chodzi o wydawnictwa instytucji, powołanych do badania zagadnień gospodarczych, a różnica polega jedynie na tym, że francuski „Institut national de Statistique et des Etudes Economiques” jest instytucją oficjalną, rządową, a niemiecki jego odpowiednik półrządowy.

Opracowanie niemieckie jest podpisane nazwiskiem autora, opracowanie francuskie nie, ale we wstępie prof. Piattier, dyrektora Instytutu, czytamy że „Memento” jest dziełem M. Simona „i jego współpracowników”.

Powiedzmy sobie od razu, że obie książki nie tak głęboko jakbyśmy chcieli analizują istotnie ważne, kluczowe zagadnienia gospodarcze. Chodzi nam przede wszystkim o zagadnienia poziomu dochodu społecznego i jego wysokości, wyrażonej w jakichś jednostkach porównywalnych.

(*) *Memento Economique LA POLOGNE*, Institut National de la Statistique et des Etudes Economiques, Presses Universitaires, Paris 1954.

Deutsches Institut fuer Wirtschaftsforschung, R. P. Rochlin, *Die Wirtschaft Polens von 1945 bis 1952*, Berlin, bez daty.

Badacze gospodarki krajów komunistycznych zgodni są w ocenie, że na ogół dane statystyk ilościowych, czyli w gruncie rzeczy dane techniczne, a nie gospodarcze, są tam pewniejsze, niż dane gospodarcze, wyrażane w jednostkach pieniężnych.

Nic w tym dziwnego, bo dane techniczne (ilość ton węgla, długość linii kolejowych, spożycie masła) wyrażane są w pojęciach wspólnych nam i ekonomistom komunistycznym. Natomiast pojęcia dochodu społecznego, budżetu państwa, inwestycji, oszczędności itp. są inne i pragnąc zdobyć podstawę porównań, jako cel analizy, musielibyśmy dane statystyk komunistycznych wlać w ramy naszych pojęć, a nie jest to, przy znanej szczupłości informacji zadanie łatwe. Tym niemniej zadanie takie było podejmowane przez kilku ekonomistów dla Rosji Sowieckiej (Clark, Jasny i inni), a prace ich rzuciły więcej światła na istotne oblicze gospodarki sowieckiej niż liczne powtarzania cyfr oficjalnie ogłaszanych.

Jeżeli podnosimy ten ważny moment to nie po to, by uczynić autorom obu omawianych prac zarzut. Przeliczenie całej statystyki gospodarczej, tak by dojść do prawdopodobnych szacunków jest zadaniem niezwykle trudnym i wymaga pracy olbrzymiej. Można taką rzecz zrobić dla okresu sprzed, dajmy na pięciu lat, a nie można jej jeszcze podejmować dla roku 1951 czy 1952. Wiele danych można uzyskać tylko *ex post* przez interpolację cyfr późniejszych. W wypadku Polski zmienność warunków w początkowych latach być może nie pozwoliłaby jeszcze na osiągnięcie zadowalających wyników drogą skomplikowanych szacunków.

Autorzy obu opracowań chcieli dać maximum informacji aktualnej. P. Simon wykorzystał źródła do jesieni 1953 roku, p. Rochlin do końca bodaj 1952.

Czytelnik zdziwi się może, gdy stwierdzimy, że pod względem ścisłości i dokładności operowania materiałem źródłowym (wyłącznie krajowym) opracowanie francuskie stoi wyżej. To samo powiedzieć można o właściwej części ekonomicznej, obejmującej w „Memento” 50 stron druku. Dane urzędowe reżimu zostały tu przynajmniej starannie zebrane i miejscami krytycznie skomentowane, czasem z dużą uprzejmością, bo krytyczne uwagi, merytorycznie bardzo mocno ufundowane, formułowane są w sposób bardzo „nuansowany”. Niektóre tabele są wynikiem rzeczywiście syzyfowych prac, co widać choćby z obfitości źródeł i... mnogości rozbieżnych w treści cytat z różnych źródeł półczy całkiem urzędowych. Widać w tym dobrą metodę pracy.

Miejscami aż żal, że analizy podstawowych danych gospodarczych nie posunięto odrobinę dalej. Tak na przykład wedle ekonomisty krajowego konsumpcja „mas pracujących” wynosi w Polsce 75 % dochodu narodowego (r. 1951). Na następnej stronie wysokość inwestycji wedle planu na ten rok ustalono na 25 procent dochodu narodowego. Czyli wszystko co nie jest inwestycją ma być spożyciem mas pracujących, a więc na przykład wydatki wojskowe (robotnik spożywa swe bezpieczeństwo), poza

tym zaś bogacze wiejscy, jeśli idzie o ich spożycie, zaliczani są do mas pracujących.

Tak samo np. ogólnikowe — niewątpliwie słuszne stwierdzenie — że silnie podniesiono (tajne) stawki podatku obrotowego od dóbr konsumpcyjnych nie wystarczy jeszcze do wyjaśnienia wzajemnych powiązań między polityką kolektywizacji, a zagadnieniem opodatkowania produktów spożywczych, które należy w Polsce do najtrudniejszych dla reżimu, a za granicą do najtrudniejszych dla badaczy.

W każdym razie p. Simon tej sprawy nie pominął zupełnym milczeniem, jak Rochlin i nawet niektórzy polscy badacze.

Nie dość ekonomiczne podejście do danych statystycznych spowodowało, że zarówno Simon jak Rochlin powtarzają sławną statystykę „wartości” wywozu i przywozu Polski „w cenach z roku 1937”. Tajemnica tej statystyki wartości polega na tym, że jest ona inną postacią statystyki *technicznej*, stwierdzającej w zaszyfrowanym języku przy pomocy „złotych” ile kilogramów węgla ładowano na statki w portach polskich, ale nie ułatwiającej nam wiele poznania gospodarczej roli wywozu węgla z Polski.

A nawet ta właśnie postać statystyki zmierza wprost do *zatarcia* informacji na ten temat. Wartość dolara w stosunku do węgla eksportowego polskiego zmalała od roku 1937 czterokrotnie, a wartość dolara w całości międzynarodowych obrotów towarowych zaledwie około dwukrotnie. W ogłoszonej przez reżim statystyce przelicza się ilościowe dane po cenach *jednostkowych* poszczególnych pozycji z roku 1937 i gubi w ten sposób niezwykle korzystne dla Polski przesunięcie „terms of trade”. Najlepiej nam to uprzytomni takie zestawienie :

1) Wartość wywozu 11 milionów ton węgla w r. 1937 : 40 milionów ówczesnych dolarów ;

2) „Wartość” wywozu 30 milionów ton węgla „w cenach 1937 r.”, w 1949 r. wedle Rochlina : 108 milionów dolarów ;

3) Wartość 8 milionów ton węgla wywiezionego do niektórych krajów zachodnich w r. 1949 w cenach bieżących : 180 milionów dolarów.

(W dwu pierwszych cyfrach zawarte drobne wartości innych produktów mineralnych).

Jak z tego wynika wartość (nie płacona cena...) wywozu węgla polskiego z roku 1949 powinna wynosić w statystyce wartości wedle cen bieżących tego roku na wolnych rynkach nie 108, a ponad 600 milionów dolarów ! Uwzględnienie spadku siły nabywczej dolara sprowadzi cyfrę przy porównaniu z roku 1937 do połowy, ale co 300 to nie 108 !

Musimy natomiast podziękować panu Simon — jeżeli już jesteśmy przy węglu — za uwagę i odsyłacz na temat dostaw węgla do Rosji (str. 151): „6,5 miliona ton dostarcza się (Rosji, przyp. recenz.) w zamian za reparacje jakie Z.S.S.R. pobiera w swej strefie okupacyjnej (Niemiec), a w odsyłaczu uwaga, że Polska zrezygnowała ze swego udziału w odszkodowaniach ze

strefy wschodniej, wynoszącego 15 % tego, co brała Rosja. Wynikałoby stąd, że kontynuowanie dostaw ulgowych węgla do Rosji nie ma już tego cienia uzasadnienia, jaki istniał do roku 1953.

Tego rodzaju bystrych spostrzeżeń jest w pracy pana Simon sporo. Mimo pewnego żalu, że nie poszedł on w swej analizie ekonomicznej głębiej musimy jego książkę uznać za pracę o dużej wartości. Obok właściwej analizy gospodarki polskiej przynosi ona na wstępie podstawowe wiadomości geograficzne i krótki zarys historii. Książka napisana jest z obiektywną życzliwością, w oparciu o solidną wiedzę i bogatą dokumentację. Rzeczowość informacji jest dla nas najcenniejsza, bo obala różne bajeczki propagandowe, jak np. o Chińczykach na Śląsku.

Czasem dążenie do unikania jakiegokolwiek zaakcentowania komentarza wywołać może jednak u czytelnika nie poinformowanego fałszywe wrażenie : nie wystarczy powiedzieć, że kandydatów do Sejmu zgłaszają organizacje polityczne i społeczne, jeśli zachodni czytelnik nie wie, jakie organizacje są wyłącznie dozwolone (strona 23).

Na koniec parę uwag merytorycznych. Na stronie 96 w statystyce wydobywania soli pomieszano różnego rodzaju dane (zresztą autor sam wyraża tu wątpliwości). Warto było bliżej zająć się produkcją cynku, gdyż jest ona w Polsce ważna i zagadnienie wydobywania rud cynku to najjaskrawszy przykład rańkowości gospodarki górniczej. By już do tego nie wracać : Rochlin, choć uczeń górniczego specjalisty Friedensburga też tego nie zauważył. Tkaniny wełniane to w Polsce dzisiejszej nie znaczy, niestety, *tissus de laine*, ale tkaniny ubraniowe robione raczej z włókien ciętych. Tłumaczenie poprawne językowo nie oddaje treści pojęcia, o które chodzi (str. 101 i inne). Identyfikowanie dostaw do Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” ze sprzedażą dla wsi jest przesadą (str. 162). Znaczną część zapotrzebowania wsi pokrywają inne organizacje handlowe. Statystyka cen, zwłaszcza produktów przemysłowych dla konsumpcji osobistej, mogłaby być wyzyskana lepiej. Tu materiały krajowe są obfite i nie były dotychczas wyzyskane, a mogłoby to się przyczynić do wyjaśnienia zagadki wysokości podatków obrotowych.

Jedna rzecz trochę mnie zdziwiła : pisząc o trudnościach produkcji Simon przypisuje je w części postawie robotników i personelu kierowniczego : „czy to wskutek braku przygotowania, czy wskutek zmęczenia, czy także wskutek charakteru rasy (nonszalancja i beztroska)” (str. 82). Na ogół teoria o niezmiennym charakterze ras ludzi jest przez naukę współczesną odrzucona. Raczej obserwujemy zmiany w postawie różnych narodów : jedne tracą zalety jakimi odznaczały się w dziejach, inne zdobywają i przekształcają charakter narodowy w sensie dodatnim. Poza nauką niemiecką, która na przestrzeni nie tyle ostatnich, co *przedostatnich* dwunastu lat wiązała charakter z rasą nie stawało się sprawą rasy w sposób taki jak autorzy „Memento”.

Praca Rochlina wychodzi z berlińskiego Instytutu Badania Konjunktur, kierowanego obecnie przez F. Friedensburga. Jak już wspomniałem Friedensburg jest znawcą górnictwa węglowego, ze skłonnością do zacierania granicy między techniką a gospodarką. Widać to po pracy Rochlina, która jest mniej ekonomiczna niż książka Simona i co dziwniejsza nieco jak na potrzeby badaczy zbyt pobieżna w cytowaniu źródeł. Chcielibyśmy przy niektórych pozycjach, zaopatrzonych jednym słowem objaśnienia w odsyłaczu „Schätzung” (oszacowano) dowiedzieć się coś więcej na temat *jak* i na jakiej podstawie oszacowano?

Wydaje się, że materiał źródłowy, na którym opierał się Rochlin, był uboższy od materiałów wyzyskanych przez Simona. Książka wydana tak jak studium Rochlina zyskuje na czytelności i przejrzystości, ale specjaliści nie zadowolą.

Taka metoda jest szczególnie niebezpieczna w odniesieniu do badań krajów komunistycznych, gdzie nieraz dopiero konfrontowanie różnych źródeł może nam powiedzieć więcej, niż to co chciano byśmy myśleli. Klasycznym tego przykładem jest sprawa statystyki eksportu węgla wedle wartości, którą omówiliśmy wyżej. Rochlin poprzeliczał bardzo dokładnie koks i węgiel brunatny na jednostki węgla kamiennego, ale pominął to co najważniejsze.

W sprawie budownictwa mieszkaniowego Rochlin (str. 28) nie wpadł na to, co schwycił Simon: że w Polsce planuje się stałe zagęszczanie ludności w mieszkaniach na przyszłość, to znaczy zmniejszanie powierzchni mieszkaniowej na głowę ludności, mimo całego hałasu z odbudową Warszawy i budową nowych miast.

Sam styl książki przypomina nieco „raporty” w których chodzi o to, by wszystko było krótko, jasno i bez wątpliwości, podczas gdy dla badacza właśnie wątpliwości są najważniejsze! Często opiera się Rochlin na wydawnictwach U.N.O., nie zawsze pewnych jako źródło.

Z tym wszystkim praca berlińska nie jest zła. Jako informator statystyczny o produkcji, zwłaszcza przemysłowej, może być bardzo użyteczna. Trzydziestostronicowy dodatek statystyczny będzie dogodnym źródłem dla prasy itp. Ton książki jest przyzwoity, oceny przedwojennych stosunków obiektywne.

Jak i przy omawianiu książki Simona mamy szereg uwag szczegółowych.

Na str. 52 szczególnie daje się odczuć brak podania źródła, z którego p. Rochlin czerpał informacje o wydatkach na inwestycje w roku 1939.

Rochlin nie wie, że plan budowy elektrowni torfowej w białostockim jest zaniechany, pisze też błędnie, że elektrownia Jaworzno II (zwana też Dwory — leży między Jaworzniem a Dworami) jest oparta o siłę wodną (str. 76); w terminologii wyrobów tekstylnych popełnia ten sam błąd co Simon (Wollgewebe — str. 87) na serio bierze nazwę „spółdzielni” przy przedsiębiorstwach de facto państwowych (P.S.S. i G.S. — str. 97), ale to

już może wynik niedostatecznego poświęcenia uwagi sprawie form gospodarczych.

Brak czcionki polskiej, łącznie z niestaranną korektą doprowadza do wielu dziwołagów w spisie nazw miejscowości na ziemiach Starej Polski, które naturalnie nazwane są „Deutsche Ostgebiete”. (Kto chce żyć w świecie fikcji...)

Polczyn Zdrój ma się nazywać „Polzyn Zdrój”, Strzelce Kraińskie „Strzelde Krainskie” itd.



Trzeba powiedzieć na zakończenie — choć nie szczędziliśmy i ważnych i drobnych uwag krytycznych, że obie prace wydane na temat gospodarki polskiej stoją na dobrym poziomie naukowym. Znaczą one pewnie ciekawy etap w badaniach Polski.

Niewątpliwie prace Ośrodka Badania zagadnień krajowych w Paryżu, wydane w zeszytach krajowych *Kultury*, stanowiły poważny start i za jednym zamachem zdystansowały to, co robiło się w zakresie badań innych krajów Europy ujarzmionej. Od tego czasu właściwie stoimy w miejscu, a za to rozpoczął się okres publikowania prac o Polsce przez poważnych badaczy niepolskich. Znow jesteśmy tu — jako przedmiot badań — bez konkurencji. Niewielka to jednak pociecha dla nas, że nie ma podobnych prac o Węgrzech, czy Czechach lub Rumunii, ani po francusku, ani po niemiecku.

Bardziej powinniśmy się troszczyć o to, że nie ma nikogo kto by *mógł* — takich którzy mają kwalifikacje jest wielu — oprzeć się na tym co zrobiono dotychczas i pójść dalej, poddać zasadniczej analizie porównawczej w stosunku do okresu przedwojennego podstawowe wielkości gospodarcze i na tej podstawie dać właściwy obraz rzeczywistości, syntezę bez której albo uciekamy się do płytkich wybiegów, albo, co gorsza, zaczynamy ulegać złudzeniom, jakie wytwarza krzywe zwierciadło sprawozdań o wykonywaniu planów i artykułów krajowej prasy ekonomicznej, których treść niektórzy nasi nieprzygotowani specjaliści od „wojny psychologicznej” zdają się przyjmować bardziej na serio niż... autorzy.

W. ZAL.

Książki

Dwight Macdonald

Dwight Macdonald jest zjawiskiem (jeżeli o człowieku można mówić że jest zjawiskiem) ściśle amerykańskim. Na wiekopomną chwałę Ameryki trzeba zapisać tradycję politycznych pamfletów wydawanych własnym nakładem, małych pism czytanych przez tysiąc osób, dyskusji w których pacyfiści, *conscientious objectors*, anarchiści różnych odcieni dzielą włos na czworo. Tradycja ta jest coraz trudniejsza do utrzymania ze względu na koncentrację środków przy pomocy których można sięgnąć do publiczności: koszt wydawania pisma dzisiaj jest bez porównania większy niż np. w r. 1850. Niemniej tradycja dotychczas nie wygasła. Oczywiście, z realistycznego punktu widzenia da się bez trudu dowieść, że ten podskórny nurt amerykańskiego życia jest bez większego znaczenia. Realistyczna ocena prowadzi jednak często do błędów. Ponieważ istniał typ Amerykanina jako człowieka w pełni wolnego, umiającego decydować w każdej chwili o wszystkim ściśle według własnego moralnego osądu, kraj ten ma Thoreau, Whitmana, Melville'a, ażeby wymienić tylko największych.

Macdonald wydawał w latach 1944-1949 pismo *Politics* — organ najzupełniej odstrasający, jeżeli chodzi o szersze koła czytelników, zarówno przez swoje zbite kolumny małego druku, jak przez dziwaczne, ekscentryczne stawianie problemów. Pismo było więc czytane głównie w środowiskach intelektualnych New Yorku. Jednym z jego współpracowników była Simone Weil — zanim okryła jej nazwisko pośmiertna sława. Wpływ *Politics* — chociaż ograniczony ilościowo, był moim, zdaniem, niepośledni zarówno w Ameryce jak w Anglii i nawet we Francji. Istnieje już dzisiaj wśród pisarzy coś w rodzaju klanu post-marksistów starających się „zaczynać od pieca” tj. zobaczyć świat dzisiejszy taki jaki jest i nie przyjmować za dowiedzione żadnych terminów jakimi operuje się potocznie. *Politics* trafiało właśnie do tego klanu.

Otrzymałem książkę Macdonalda *The root is man* (*). Zawiera ona artykuły z *Politics* zaopatrzone komentarzami autora. Komentarze przedstawiają jego dzisiejsze stanowisko, często zmienione — Macdonald nie cofa się przed napisaniem noty: „To zdanie dzisiaj wydaje mi się nonsensem”. Mamy możność śledzenia meandrow jego myśli i ta swoboda, ten oddech człowieka w liniach druku, są ożywcze. Jaka szkoda, że te teksty nie mogą dotrzeć do Polski — przez kontrast z obowiązującym tym stylem powiedziałyby wiele o istocie niewoli która wtedy jest najstraszniejsza kiedy wchodzi w krew, kiedy zdaje się n o r m a l n a.

Zaczyna się od rozważań nad odpowiedzialnością Niemców (1944). Macdonald, doskonale poinformowany o Majdanku (był to pierwszy obóz jaki mogli zwiedzić korespondenci dzienników), o organizacji obozów koncentracyjnych, komorach gazowych, krematoriach, wymordowaniu Żydów, występuje przeciwko teorii zbiorowej niemieckiej winy. W państwie totalitarnym jednostka nie może nic. Naród niemiecki nie jest ani gorszy ani lepszy od innych. Każdy naród w takich samych warunkach byłby zdolny do wszelkich zbrodni. Taka opinia może budzić zastrzeżenia. Nie zapominajmy jednak o dacie. Macdonald występuje przeciwko szalowi patriotyczno-propagandowej nienawiści, która, jak to przenikliwie przewiduje, zmieni się w miłość do dobrych, zacnych Niemców — bo taka musi być logika wypadków. Zarówno ta nienawiść jak miłość należą według niego do sfery mitologii jaką posługuje się główny wróg człowieka: Państwo. Nienawiść do Niemców „jako takich” służy uzasadnieniu bombardowań cywilnej ludności, prawdopodobnie bezcelowych militarnie, i podbudowaniu hasła „unconditional surrender” (Macdonald nie lubi Roosevelta) które opóźnia raczej niż przyspiesza koniec wojny.

W nocy uwzględniającej późniejsze wydarzenia, Macdonald powiada:

„Rosyjska blokada Berlina w zimie 1948-1949 dramatycznie odwróciła rolę dwóch zbiorowisk ludzkich, amerykańskiego lotnictwa i berlińskiej ludności. Pierwsze zmieniło się z oprawców w pracowników społecznych dostarczających węgla i żywności tej drugiej, która z kolei została przekształcona przez naszą prasę z tchórzliwych współników jednego rodzaju totalizmu, w bohaterów bojowników przeciwko innemu totalizmowi. Ponieważ to odwrócenie miało bardzo mało wspólnego z jakimś wolnym wyborem i akcją ze strony istot ludzkich składających się na te oba zbiorowiska, epizod uderzył mnie jako ironiczne potwierdzenie moich obiekcji co do pojęcia zbiorowej odpowiedzialności”. I dodaje: „Człowiek żyje w historii ale nie jest mu w niej wcale wygodnie. Nawet w najlepszym razie — przez co rozumiem nieduże, zwarte wspólnoty jak miasta-państwa starożytnej Grecji — istnieje zawsze rozpaczliwa walka pomiędzy tym czego chce

(*) The Cunningham Press, Alhambra, California, 1953.

jednostka i co przydarza się jej w wyniku jej życia w społeczeństwie. (Proces wleczenia jednostki jakby była pakunkiem czy trupem i wtłaczania jej w jakiś źle dopasowany kontekst ideologii czy działania — oto co delikatnie nazywa się „historią”).

Żeby zilustrować jak Macdonald patrzy na los jednostki w dzisiejszym świecie, warto powtórzyć za nim dość pouczającą historię, którą podaje tak jak ją ujął Orwell (w londyńskiej „Tribune” z 13 października 1944):

„Wśród jeńców niemieckich wziętych we Francji jest pewna ilość Rosjan. Niedawno złapano dwóch którzy nie mówili ani po rosyjsku, ani żadnym językiem znanym angielskim władzom czy współwięźniom. Mogli rozmawiać tylko ze sobą. Profesor języków słowiańskich sprowadzony z Oxfordu nie mógł nie zrozumieć z tego co mówili. Wtedy zdarzyło się, że sierżant który poprzednio służył na granicy Indii, posłyszał ich rozmowę i rozpoznał język którym nieco władał. Był to — tybetański. Powoli zdołał z nich wyciągnąć ich przygody.

Kilka lat przed tym zabłądzili na granicy i znaleźli się w Związku Sowieckim, gdzie zostali wcieleni do batalionu pracy, a później, kiedy wybuchła wojna z Niemcami, wysłani do Rosji zachodniej. Dostali się do niewoli niemieckiej i przekazano ich do Afryki północnej, stamtąd do Francji, gdzie dano im broń i postano na front. Przez cały ten czas mogli rozmawiać tylko ze sobą i nie mieli pojęcia co się dzieje czy też kto bije się z kim.

Historyjka ładnie by się zaokrągliła, gdyby zostali teraz wzięci do armii brytyjskiej i posłani do walki przeciwko Japończykom, ładując gdzieś w Azji Centralnej niedaleko swojej rodzinnej wioski, ale ciągle bardzo zdziwieni wszystkim co się wydarza.”

Artykuły Macdonalda są polemiką i ważne jest żeby ustalić do kogo się zwraca. Jego oponentami są ci których określa jako „liblabs”. Te liblaby (liberal-labour) to optymistyczni zwolennicy postępu „na zasadach naukowych”, fabrykanci różnych okularów, mających przyozdobić przykrą rzeczywistość. Nie znaczy to że słowa jego mają ton beznadziejności, goryczy, lub że występuje jako obrońca status quo. Idealem jego jest społeczeństwo socjalistyczne oparte na wolności jednostek. Zwraca się jednak przeciwko dziewiętnastowiecznym złudzeniom nacechowanym hubris, pychą które według Greków poprzedzała zawsze upadek bohatera. Tak więc należy do tej samej, biorąc najogólniej, rodziny co Simone Weil, Orwell, Camus. Pozycja o tyle trudna do utrzymania że dostarcza argumentów umysłom najbardziej płaskim, które nic nie pojmują z rozróżnień, z podstawowych zasad jakie wchodzą w grę i rechoczą: „A nie mówiliśmy!” — co się wyklada jako: „Bzdury, proszę pana, trzeba żyć i basta, gie zawsze takie same tylko muchy się zmieniają”.

Macdonald swojego czasu był trockistą. Swoją polemikę z liblabami otwiera cytata z artykułu, jaki Trocki ogłosił w listopadzie 1939 roku (w „New International”). Ponieważ nikt prawie tego nie zna, warto cytata powtórzyć.

„Jeżeli wojna — pisał Trocki — wywoła, jak w to mocno wierzymy, proletariacką rewolucję, musi to siłą rzeczy doprowadzić do obalenia biurokracji w Z.S.S.R. i odrodzenia demokracji sowieckiej na bez porównania

wyższej ekonomicznej i kulturalnej bazy niż w roku 1918. W takim wypadku pytanie czy biurokracja stalinowska była „klasą” czy pasożytniczą naroślą na państwie robotniczym, otrzyma automatycznie odpowiedź. Każdemu stanie się jasne, że w procesie rewolucji światowej biurokracja sowiecka była jedynie epizodem.”

„Jeżeli jednak przyjąć założenie, że obecna wojna spowoduje nie rewolucję ale schyłek proletariatu, wtedy powstaje inna alternatywa: dalszy rozkład kapitalizmu monopolistycznego, jego fuzja z państwem i zastąpienie demokracji, wszędzie gdzie ta jeszcze przetrwała, przez reżim totalitarny. Niezdolność proletariatu do wzięcia w ręce kierownictwa w społeczeństwie może mieć ten wynik, że z bonapartystycznej faszystowskiej biurokracji wyrośnie nowa klasa eksploatująca. Byłby to, według wszelkich oznak, reżim schyłkowy, zwiastujący zmierzch cywilizacji.”

Jakkolwiek przytłaczająca mogłaby być ta druga perspektywa, jeżeli proletariat światowy okaże się niezdolny do wypełnienia misji włożonej na niego przez bieg rozwoju, nic innego nie pozostaje jak uznać, że program socjalistyczny oparty na wewnętrznych sprzecznościach kapitalistycznego społeczeństwa skończył się jako Utopia. Jest oczywiste że potrzeba byłoby wtedy nowego programu minimum, aby chronić interesy niewolników totalitarnego społeczeństwa biurokratycznego.”

Nadzieje Trockiego na rewolucję proletariatu nie spełniły się. Spełnia się drugi, pesymistyczny, wariant jego przepowiedni. Proletariat może być 1) albo użyty przez zawodowych rewolucjonistów do wprowadzenia komunizmu na modłę rosyjską — Macdonald proponuje dla tego ustroju nowy termin: Kolektywizm Biurokratyczny; 2) albo działać w ramach łagodnego trade-unionizmu, co z hasłami socjalistycznymi nie ma nic wspólnego. Założyciel American Federation of Labor, Gompers, był marksistą, „we wczesnych latach siedemdziesiątych New York wyglądał jak Paryż w czasie Komuny”. Ale gdzie są niegdysiejsze śniegi? To całkowite odcięcie dróg wyjścia — czy — jak chce Trocki „schyłek proletariatu” — zmusza do rewizji wielu pojęć drogich liblabom.

Przed wszystkim pojęcie Postępu, które rosnąc jak lawina od końca osiemnastego wieku najpełniejszy wyraz znalazło w systemie Marksa. „My którzy odrzucamy marksizm jesteście dłużni Marksowi za to że jego śmiałość i intelektualny ogrom jego dzieła pozwalają nam jaśniej sformułować naszą własną pozycję przez wykazywanie czym różni się od jego pozycji. Jest to przysługa którą każdy wielki myśliciel wyświadcza swoim krytykom” — powiada Macdonald. Jak najzwężej streszczając wywody Macdonalda można powiedzieć, że widzi on podwójny charakter myśli Marksa, który z jednej strony za cel rewolucji uważał wyzwolenie jednostki i występował przeciwko Państwu — jego obaleniu miał służyć przewrót — z drugiej strony ustalał prawa mające „z żelazną koniecznością” doprowadzić do tego celu. Podczas kiedy wiele jego historycznych przepowiedni sprawdza się dzisiaj, etyczna treść jego dzieła, tak związana z dziewiętnastowiecznym optymizmem, leży w gruzach.

Dawny porządek kończy się w wielu krajach, ale burżuazja jest zastępowana nie tyle przez proletariat ile przez nową poli-

tyczną klasę rządzącą. Proces odbywa się z góry, nie z dołu, i zmierza ku nacjonalizmowi i wojnie. Nie wyzwolenie mas, ale ich niewola, nie Królestwo Wolności ale Królestwo Konieczności. Kajdany robotnika stają się widoczne. W kapitalizmie były ukryte. Robotnik spotykał się tam na rynku z nabywcą jego siły roboczej i odbywała się transakcja handlowa. „Niewolnik rzymski był trzymany w kajdanach — mówi Marks — robotnik najemny jest przywiązany do swego właściciela niewidzialnymi niemi... Jego ekonomiczne poddaństwo jest i powodowane i ukrywane przez periodyczne sprzedaż siebie samego, przez zmianę pana i przez oscylacje cen pracy na rynku”. Dzisiaj żadnych „oscylacji cen”, żadnej „zmiany panów”. Jest jeden pan: Państwo. Cały mechanizm był doskonale widoczny w hitlerowskich Niemczech jak też jest widoczny w Związku Sowieckim. Marks nie docenił poza tym znaczenia wojny jako fenomenu w historii cywilizacji. Wojna stała się celem samym w sobie. „Skutki technicznych przygotowań które muszą być zrobione w nowoczesnej wojnie stały się ważniejsze niż jakikolwiek polityczny efekt wyniku wojny. Istnienie potężnych wojennych aparatów, z instytucjami społecznymi i gospodarczymi które zostały odpowiednio zdeformowane aby je utrzymać, i całkiem usprawiedliwiony strach każdego narodu przed atakiem ze strony innego — te czynniki są kluczem problemu, raczej niż potrzeba ekspansji kapitalistycznego imperializmu i „sprzeczność” pomiędzy kolektywizmem sowieckim i prywatnym kapitalizmem amerykańskim. Maszyna wymknęła się kontroli i pracuje według własnej logiki. Oto jeszcze jeden przykład „reifikacji” („u-rzeczowienia”): twory ludzkie rozwijają swoją własną dynamikę i narzucają swoje własne prawa swoim twórcom”.

Być może te stwierdzenia nie są odkrywcze — brzmią jakoś dziwnie znajomo — nic dziwnego, były już nieraz wypowiadane po 1946 r. Idźmy dalej, żeby nie popaść w jęk.

Pojęcie „lewicy” jest dziś, zdaniem Macdonalda, nie do utrzymania. „Lewicowiec” powinien zdecydować czy jest „postępowcem” czy „radykałem”. Postępowiec wierzy że żyjemy w jednym świecie, którym rządzą prawa możliwe do odkrycia drogą naukową. Coraz większa liczba odkrytych praw, coraz większa władza człowieka nad tym co go otacza: Postęp. Radykał widzi granice nauki. Zdaje sobie sprawę, że nasz świat nie jest jeden ale podwójny: 1) Praw odkrywanych przez naukę, 2) Wartości.

„Przez „metodę naukową” — powiada Macdonald — rozumiem proces zbierania danych, stawiania hipotez tłumaczących przeszłe zachowanie się tego co badamy i sprawdzania tych hipotez dzięki temu, że szuka się czy pozwalają one przewidzieć poprawnie jak to, co badamy, zachowa się w przyszłości. Istotą jest móc przyjąć albo odrzucić naukowy wniosek przy pomocy obiektywnych (i ostatecznie ilościowych) testów, których wynik jest niedwuznaczny (to znaczy uznaje się pewien powszechny standard niezależny od indywidualnego obserwatora, zmuszający każdego do zgodzenia się z danym wnioskiem jeżeli odpowiada wymogom standardu.”

„Przez sąd w artości ującej — mówi dalej — rozumiem wypowiedź dotyczącą pojęć „Złego” i „Dobrego” w sensie czy to etycznym czy estetycznym. Taki sąd jest zawsze dwuznaczny, ponieważ dotyczy jakościowego rozróżnienia tam, gdzie z natury nie da się nic sprowadzić do jednolitych a więc wymiernych części; „osobiste wyuczucie” obserwatora nie tylko wchodzi w skład sądu, ale jest jego głównym wyznacznikiem. Dlatego nie można rozwiązać moralnego czy estetycznego problemu w ostateczny sposób tak, jak rozwiązuje się problemy naukowe i dlatego właśnie jedna epoka może budować na naukowych osiągnięciach innych epok, podczas gdy wiadomo powszechnie że w sztuce i w etyce nie widać wcale takiego postępu.”

Postępowcy idą za Marksem i Deweyem „którzy zrobili prometejski wysiłek, żeby połączyć dwa światy, dedykując wartości z naukowego badania”. Wartości są uznane za *z ł u d n e*: zakłada się, że są one tylko refleksem, odbiciem jakiejś głębszej rzeczywistości, którą zdolna jest odkryć wiedza naukowa — ta rzeczywistość jest historyczna u Marksa, psychologiczna np. u Freuda. Są dość realne jako zjawiska, ale wtórne.

Jednak nauka nie jest zdolna odpowiedzieć nam na podstawowe pytanie: czego powinniśmy chcieć, jak żyć. Liblaby podnoszą wielki wrzask, kiedy dotyka się tego punktu, bo czują się zażenowani. Etyka oparta na naukowych podstawach jest niemożliwa.

„Dyskutowałem ostatnio — mówi Macdonald — ten problem wartości z marksistami i deweyanami. Zwykle zaczynają od przyjęcia jako „prawdy oczywistej” że człowiek powinien chcieć raczej życia niż śmierci, dostatku raczej niż ubóstwa; kiedy raz przyjmie się takie założenie, oczywiście już bez trudu potrafią wykazać jak nauka może pomóc nam w osiągnięciu tego Celu. Ale jeżeli założenie jest podane w wątpliwość, natychmiast staje się jasne, że jest ono oparte na innych założeniach: że „człowiek” znaczy „większość ludzi w miejscu i w czasie o którym mówimy”, i że „normalne” i „naturalne” definiuje się w ten statystyczny sposób jako to czego *p o w i n n o* się chcieć. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ich odpowiedź musi przybierać te ilościowe formy, bo nauka operuje wymiernymi ilościami. Ale jeżeli to, czego chce większość ludzi, uznać za kryterium wartości nie ma już problemu, poza stwierdzeniem czego naprawdę ludzie chcą — pytanie na które nauka rzeczywiście może udzielić odpowiedzi, ale nie to samo o które chodziło na początku. Bo odpowiedź prowokuje poprzednie pytanie w innej odmianie: *d l a c z e g o* ktoś powinien chcieć tego, czego chce większość ludzi? Zdaje się, że bywa zupełnie przeczenie: ci którzy przekazali nam wiedzę o etyce, od Sokratesa i Chrystusa do Tołstoja, Thoreau i Gandhiego, zwykle chcieli dokładnie tego, czego większość ludzi ich czasu nie chciała i często ponosiła okrutną śmierć z tego powodu.”

Niech mi nie będzie wzięte za złe, że używam zbyt wielu cytów. Każdą recenzję ma zadania użytkowe. Macdonalda polscy czytelnicy prawdopodobnie czytać nie będą i staram się dać im niejaki wyobrażenie o tych sporach, jakby wziętych z czasów Platona — mając nadzieję, że przyczyniam się jakoś do dmuchania w żar, żeby z niego ułatywało jak najwięcej iskier.

Człowiek powinien więc, według Macdonalda, zaakceptować fakt, że żyje równocześnie w dwóch światach. Źródła wartości

i akcji są w jednostce. Wolna wola, jakkolwiek porusza się w kręgu niezbyt szerokim (bo wiele w człowieku jest poddane determinizmowi), istnieje. Historyczna względność wartości była w naszych czasach zbyt silnie podkreślana — nie wolno zapomnieć o niezmiennym elemencie, który pozwala nam uzyskać łączność z ludźmi minionych cywilizacji — w etyce i sztuce.

Tędy przebiega więc linia podziału pomiędzy „postępowcami” i „radykałami”. Wśród postępowców — trzeba dodać — najkonsekwentniejsi są chyba komuniści ortodoksyjni (Np. karłowolomne wysiłki „heretyka” Mascolo żeby utrzymać balans między dwoma światami trudno uważać za udane). Natychmiast jednak kiedy przekraczamy granicę i znajdujemy się wśród tych, co samoistny byt wartości przyjmują — dosięgają nas stare jak samość pytania : skąd się bierze wartość? co ją gwarantuje? Simone Weil czy np. Jaspers odpowiedzą, że, bez przyjęcia Absolutu wszelka wartość rozwiewa się jak mgła. Macdonald odrzuca religię. Wartość dla niego jest niejako praktycznie absolutna — jeżeli nie ma sprzeczności w takim zestawieniu słów; oczywiście możemy odnaleźć łączność z Lao-Tse, ale nie z mieszkańcem Saturna. „Korzeniem jest człowiek”. Tutaj Macdonald zbliża się do Camusa.

Ale co trzeba robić? Sam Macdonald przypomina, że najlepsze myśli są na nic, jeżeli nie wpływają na akcję. Wiadomo co jest celem : człowiek powinien być przywrócony samemu sobie, co możliwe jest tylko w takim społeczeństwie, w którym ludzie wchodzą w bezpośrednie związki ze sobą, a więc gdzie organizmy ekonomiczne i polityczne są dostatecznie małe, żeby jednostka mogła w pełni zrozumieć ich działanie i brać w ich życiu czynny udział, kształtować je swoją wolną i nieprzymuszoną wolą. „Dla Hegla punktem wyjścia jest Państwo. W demokracji punktem wyjścia jest człowiek... Nie człowiek jest stworzony dla prawa, ale prawo dla człowieka” — Macdonald przypomina to zdanie młodego Marksa. Czy jednostka czuje się bezsilna wobec państwa czy partii czy związku zawodowego jest w gruncie rzeczy wszystko jedno. Co więc trzeba robić? Na możliwości szerszej akcji dzisiaj, Macdonald zapatruje się sceptycznie. Zdaje się uważać że żyjemy w okresie przygotowawczym i że świadomość mitologicznego charakteru różnych tam-tamów ideologicznych przenika w umysły bardzo powoli. Swoje wskazówki dla „radykałów” zamyka w pięciu hasłach.

1. Negatywizm. Samochód leci pełnym biegiem w stronę przepaści. Widząc radykałów siedzących przy drodze, pasażerowie krzyczą pogardliwie : „Ech, wy, negatywiści! Patrzcie na nas! My działamy, my bierzemy udział!”

2. Nierealizm. Dewey w pierwszej wojnie światowej nawoływał swoich współrodaków do wzięcia w niej udziału. Jego uczeń Bourne zobaczył w wojnie to, czego nie pozwolił Deweyowi zobaczyć jego realizm : katastrofę, koniec dziewiętnastowiecznych marzeń.

3. Umiar. Dla Greków, „geometrów cnoty” jak ich nazywa Weil, był to główny temat rozważań. Cywilizacja zachodnia przestała to rozumieć. Należy przyznawać się do ignorancji, żyć wśród sprzeczności, nie zalepiać ran plastrami wszytkoobejmujących systemów.

4. Niedużość. Camus wydawał w ruchu oporu „Combat” który po wojnie zyskał wielki nakład. Camus stał się jednym z najbardziej wpływowych dziennikarzy we Francji. Wtedy wycofał się, ponieważ, jak stwierdził w rozmowie z Macdonaldem, pisząc dla szerokiej publiczności nie mógł mówić tego co rzeczywiście i prawdziwie.

5. Samo-lubstwo. „Fuj, wy troszczycie się tylko o zbawienie własnej duszy”. A czy nie lepiej zbawić swoją duszę niż ją stracić — i nie zyskać, co ważniejsza, świata? Kochać całą ludzkość trudno. Za duża. Niech każdy jako wstęp do politycznej akcji i politycznej moralności siebie zapyta co go zadawalnia, czego chce. Ludzkie bezpośrednie związki niech wejdą na miejsce abstrakcji.

Nazywano Macdonalda dziwakiem, utopistą, ekscentrykiem itd. Starałem się streścić „macdonaldyzm” nie bez pewnego ukrytego zamiaru. Oto przyszło mi do głowy, że dla niezliczonej liczby Polaków, Żydów, Czechów, Litwinów, Ukraińców itd. płynących jak oka w rosole w wielkiej zupie zachodniej, wiele z pomysłów amerykańskiego radykała nie koniecznie musi wydawać się bardzo obcymi. Ponieważ nie mają oni możliwości żadnej szerszej akcji, zdolni są pewnie ocenić to jego stawianie na powolne procesy w masie ludzkiej i jego wiarę w to, że liczy się jeden człowiek, albo, jeżeli uda się, trzech czy czterech związanych przysiężnią. Macdonald zdaje się pokładać nadzieję w fermentach ukrytych pod powierzchnią, nieautomatycznych, takich, do których każdy może się przyczynić. Twierdzenie Toynbee'ego, że miliony uchodźców to jak proletariatus rzymski który stał się zaczął chrześcijaństwa, jest pewnie przesadzone. Coś jednak jest w tym oczekiwaniu nowych ruchów, kiedy dotychczasowe formy działania zdają się, z dużą prawidłowością, prowadzić do nędznych wyników.

Czesław MIŁOSZ

Krok w tył

Tadeusz Breza debiutował w roku 1936 powieścią *Adam Grywałd* (1), którą Kazimierz Czachowski sklasyfikował jako dzieło wyrafinowanego intelektualisty podkreślając duże wartości kulturalne książki. W analitycznej metodzie pisarskiej Brezy

(1) Tadeusz Breza, *Adam Grywałd*, wyd. F. Hoesick, Warszawa, 1936, str. 328.

dopatrywał się Czachowski wpływów Prousta i Conrada; przyznawał mu oryginalność obserwacji, żywość, śmiałość i subtelność w przedstawianiu trudnych i niecodziennych stosunków międzyludzkich. Większość ówczesnej krytyki polskiej przyjęła Adama Grywałda równie pozytywnie wróżąc autorowi nie małą przyszłość pisarską.

Dziś w perspektywie dalszych osiągnięć Brezy, Adam Grywałd wydaje się produktem już dojrzałego artysty, ale jeszcze nie w pełni dojrzałego pisarza. Powieść ta opisuje środowisko zamożnego mieszczaństwa i ziemiaństwa, tak lub inaczej związane z rządami sanacyjnymi. Ale sprawy polityczne i społeczne nie interesują autora. Centralnym problemem, albo raczej motywem powieści jest osamotnienie ludzi skomplikowanych, dotkniętych bezwładem wyrafinowania, zmęczonych życiem i głęboko amoralnych. Przedstawione przez Brezę środowisko, choć ciekawe dla psychologa, a nawet psychiatry, jest wyobcowane ze współczesnego kontekstu społecznego. Dominuje w nim niedosyt i uczucie niedokonania, któremu odpowiada zastosowana przez autora luźna forma gawędy, retrospektywnych spojrzeń w przeszłość bohaterów, celowe wyolbrzymianie szczegółów i umiejętne posługiwanie się plotką towarzyską jako odskocznią do zgłębiania wiedzy o ludziach. W stylu Brezy znać wpływ nie tylko Prousta, ale i Kadena z okresu *Mateusza Bigdy*. Nie bez słuszności Melania Kierczyńska nazwie później ten sposób literackiego przedstawienia metodą mikropsychiczną. W swej pierwszej powieści Tadeusz Breza sięga głęboko w dostępną mu rzeczywistość (w której sam zresztą siedział), ale nie próbuje, czy może nie chce zająć wobec niej określonego stanowiska. Nie ulegając pod tym względem sugestii pisarstwa Conrada, wymierzającego sprawiedliwość widzialnemu światu, autor Grywałda po prostu opisuje swój własny światek. Nie jest to zresztą mało, skoro zważymy, że czyni to szczerze, kulturalnie i z intuicją prawdziwego artysty.

Dopiero w roku 1947 ukazała się następna powieść Brezy: natychmiast nagrodzone przez Klub Odrodzenia *Mury Jerycha*, a w dwa lata później tom I *Nieba i ziemi*. Tom drugi (i wbrew pierwotnym zamierzeniom autora — ostatni) pojawił się — po przeróbkach — dopiero w drugiej połowie roku 1950 (2). Powieści te są ze sobą ściśle związane tematyką i osobami bohaterów, ale różnią się nieco stylem.

Przyjrzenie się warstwom językowo-brzmieniowej i znaczeniowej tego dużego cyklu jest bardzo pouczającym przykładem rozwoju wewnętrznego pisarza i jego świadomej pracy nad sobą.

(2) Tadeusz Breza, *Mury Jerycha*, wyd. trzecie, Czytelnik, Warszawa, 1949, str. 336; *Niebo i ziemia*, tom I., Czytelnik, Warszawa, 1949, str. 320; tom II, Czytelnik, Warszawa, 1950, str. 329.

Widać, że długoletnie szlifowanie tomu I-go a zwłaszcza II-go *Nieba i ziemi* nie poszło na marne. Gdy w *Murach Jerycha* autor wpada miejscami w nieprzyjemną manierę, w dalszych partiach dzieła przestaje łamać składnię, porządkuje i upraszcza komórkę zdaniową. Tom II *Nieba i ziemi* wydaje się *optimum* możliwości językowych i stylistycznych autora w ramach jego charakterystycznego sposobu pisania, znanego nam z Adama Grywałda. W ostatnim tomie nie do pomyślenia są potknięcia w rodzaju: „wraz z szampanem, pitym przy pani Sztentlerowej za jej ostatecznie ustaloną podróż do swoich, który pędził z dna szklanego rój małutkich banieczek gazu” (str. 74 *Murów Jerycha*). W środkowych, a zwłaszcza końcowych rozdziałach cyklu autor wyceszał tekst, językowo spokojniał, zrozumiał widocznie, że dosyć było w polskiej literaturze jednego Berenta i że nawet on bywał nieraz pobity w walce ze składnią.

Szczególnie mocny jest Breza w obrazowaniu i zwięzłej charakterystyce ludzkiego wnętrza. Fragmenty tego przerywanego łańcucha obrazów, który R. Ingarden nazywa „warstwą wyglądu dzieła literackiego”, rozbliskują na kartach książki. Oto parę przykładów.

Obraz oficera 2-go Oddziału, budzącego się w przedziale kolejowym po nocnej podróży:

„Siedział niezgrabny, rozbity zmęczeniem, przygarniał palcami włosy do tyłu, jakby się za nie ze snu wyciągał; czesał się, ale twardy, zwichrzony porost, traktowany tak grubym grzebieniem, nie chciał przywarować (...) Twarz, która była jak gdyby nie wypakowana ze snu, nie uporządkowana według jakiegoś założenia, jeszcze bez żadnej miny, rozlazła, powleczonea tłuszczem i pyłem. W tym jedne oczy na serio wzięły przebudzenie”. (*Mury*, str. 12).

O słynnego poetę katolickiego zapytują przez telefon hr. Prospera Szpitalnika Padalicę Turzyckiego (który nota bene szczyć się, że jest prawdopodobnie potomkiem bękartą po Bolesławie Chrobrym):

„Turzycki trzymał w domu wszystkie ilustrowane wydawnictwa informacyjne. — To literat! — sprawdził. — Rzeczywiście wygląda wspaniale. Poczekaj! — Porachował linijki tekstu, skalkulował. — To znakomity pisarz! — A jego osiągnięcia? — Chwileczkę, zaraz ci powiem. — Turzycki przybliżył album do oczu i wyliczał: — Ma złoty krzyż zasługi, kawalerską Polonię restitute, legię honorową, łwa holenderskiego i bułgarski krzyż. Jednym słowem — piękna kariera w literaturze!” (*Niebo i ziemia*, I, str. 41.).

Młody, świeżo nawrócony na pisarstwo katolickie poeta Motycz rozmawia o moralności ruchu Papary (Falangi) z członkiem sztabu „wodzą”, Czatkowskim. Czatkowski zazdrości Motyczowi przeżyć religijnych:

„No! — zawołał Czatkowski. — Ale masz odczynnik. Wiesz przynajmniej, kiedy jesteś świętą? — A ty nie wiesz? — zdziwił się Motycz. Czatkowski się poskarżył: — Nie, nigdy. Nie mam całej pewności! — Motycz zagadnął: — A wasz ruch nie przepisuje wam jakiejś moralności? — Ależ

naturalnie — odrzekł Czatkowski. — Ale taką strasznie niemoralną, że każdy musi ją do swego użytku rozcieńczyć jakąś dawniejszą moralnością". (Niebo i ziemia, I, str. 148).

Inny fragment tejże rozmowy :

„Na przykład — rzekł (Czatkowski) — ja w Jezusie Chrystusie nie czuję materiału na kogoś, kto by mógł przystać do naszego ruchu ! — Motycz pocieszył go : — Tego nie można wiedzieć. Chrystus lubił robić niespodzianki. Pamiętasz, jak się umiał zniżyć do celników ? Czy do Magdaleny ? — Czatkowski się zniecierpliwiał. — Ależ ja się wcale nad tym nie zastanawiam, czy On by się mógł do nas przekonać, ale czy my do Niego ! Do tej Jego miękości ! Ty się do Niego nawróciłeś, bo szukasz nowinek, ale my od nich właśnie uciekamy. Od tego ceremoniomaniowania się z każdym człowiekiem dlatego tylko, że to człowiek (...) Stanowczo jest coś w Nim, co z nami nie kwadruje". (Niebo i ziemia, I., str. 146).

Czy nie znakomita charakterystyka aspektów moralnych totalizmu, którego najczystszy przedstawiciel i protagonistą w opisywanych przez siebie późnych latach trzydziestych uczynił Breza studenta, czy dyplomanta Papare ? I czy można być pewnym, że jego prototyp, polski kieszonkowy Mussolini, przeszedł aż tak gruntośnie przeobrażenia, aby całkowicie odejść od takich i podobnych poglądów ? Zbyt łatwo ex-Falanga dogadala się z czerwonym totalizmem (który też nie przejmując się „każdym człowiekiem”), by można pochopnie w to uwierzyć.

Tak charakteryzując środki artystyczne pisarza, przechodzimy stopniowo do treści jego dzieła. W *Murach Jerycha* zawarł Tadeusz Breza wszystko to, co w drugiej połowie lat trzydziestych rządziło Polską lub miało szanse dorwać się do władzy : skracającą na prawo sanację i młodych faszystów spod znaku Papary. Wspomina też o komunistach, ale na trzecim planie i dopiero w napisanym już pod okupacją sowiecką tomie drugim *Nieba i ziemi* rozbudowuje znacznie wątek komunistyczny poświęcając mu przeszło połowę tomu. Rolę stronnictw tzw. historycznych autor całkowicie pominął i bodaj słusznie. Stronnictwa te w latach trzydziestych nie miały na kraj prawie żadnego efektywnego wpływu. Zresztą autorowi nie chodziło o geografie polityczną końca dwudziestolecia drugiej niepodległości. Jego panorama ludzi i stosunków rozwija się przede wszystkim w płaszczyźnie moralnej i psychologicznej.

Breza zanurza się w człowieka. Wgryza się w ludzi, a dopiero przez nich, przez ich najgłębszą prawdę, spogląda na stosunki i zdarzenia. Widać to wyraźnie w kompozycji obu powieści. Poszczególne rozdziały komponowane są poprzez ludzi. Przy łada okazji autor cofa się w przeszłość, sięga głębiej i głębiej, tnie odważnie psychiczne tkanki i ściegna środowiska szukając jądra prawdy z maestrią i pasją chirurga, który chce poznać przyczyny schorzenia organizmu. W dodatku nie ułatwia sobie zadania satyryka, jak czynił to później Putrament kreśląc karykaturalne postacie znieprawdopodobnych dygnitarzy sanacyjnych. Ludzie w książce Brezy są żywi i choć często opisywani z gniewem i gry-

zącą ironią, nigdy nie przestają być postaciami brylowatymi, oglądanymi z wielu stron z dużego dystansu.

Mury Jerycha rozpoczynają się opisem małodusznego, pogrzebu króla Stanisława Augusta, którego zwłoki — jak wiadomo — pochowano potajemnie w jakiejś zapadłej dziurze na kresach. W tym nocnym obrzędzie biorą udział : dyktator Polesia pułkownik Czernski, delegowany z prezydium rady ministrów młody, śliski karierowicz Jelski, konserwator — zubożały książę Medeksza, miejscowy proboszcz, starosta i miejscowy rybak Sać, który — sam jeden w tym gronie — zdobywa się na nutę hołdu wobec królewskiego majestatu i na modlitwę za duszę Króla. Opis samego pogrzebu — choć bynajmniej nie blady — jest tylko tłem dla ludzi i tajemnic ich wnętrza.

Następnie przez syna rybaka, młodego Sacia, którego organizacja Papary podstawiała Czernskiemu w charakterze sekretarza i szpiega, przeskakuje autor na sztab młodego „wodza” faszystów, wśród których Jelski nurkuje jako nieoficjalny łącznik i informator rządu, w razie potrzeby dostarczający im — oczywiście pośrednio i bardzo dyskretnie — pieniądze na akcję polityczną.

Subtelnyymi pociągnięciami pokazuje autor nici łączące półtotalitarny świat sanacyjny z antysemitkami i hurraarodowymi ludźmi Papary, do których należy córka księcia Medekszy (jak wiadomo w otoczeniu prototypa było naprawdę немало kobiet, a wśród nich nierzadko arystokratki). Głównym terenem spotkania obu tych światów jest salon byłej Żydówki Reginy Sztetlerowej, żony bogatego przemysłowca. Przypominający sceny z *Oziminy* Berenta opis przyjęcia u Sztetlerów — a raczej analiza ludzi, którzy się tam znaleźli — zajmuje 140 stron *Murów Jerycha*.

Galerią typów z salonu Sztetlerów z nieznacznymi uzupełnieniami : dwójkarza Kozica, „wodza” Papary, paru komunistów i dwóch dziewcząt — operuje autor do końca obu powieści. Są to postacie artystycznie udane, a przy tym prawie wszystkie prawdziwe. W niektórych można się dopatrzeć niemal wiernych portretów rzeczywistych ludzi, inne są artystycznymi i psychologicznymi splotami raczej idei, niż prawdziwych postaci. Komuniści wypadli Brezie słabiej, aczkolwiek znacznie bardziej przekonująco niż Putramentowi w jego powieściowym paszkwile *Wrzesień*. Wśród nich największą rolę odgrywa czerwony intelektualista, brat radcy Dykierta, matematyk Jan Dykiert.

Mówiąc o nim i innych komunistach przechodzimy automatycznie na teren *Nieba i ziemi*. Co za dziwny tytuł ! Zajęło mi trochę czasu rozszyfrowanie jego sensu. Nie ulega wątpliwości, że przynajmniej pierwsza część tytułu ma wydźwięk ironiczny. *Niebo* — rodzaj Olimpu, ale i teren działania poetów „katoliczek” — to góra opisywanego przez Brezę społeczeństwa. Tam wewnętrznie pusta, choć światowo wyrafinowana i rozwydrzona półdziewica Tobitka Bołdarszewska przeżywa swą gorzką miłość do arcysnoba Turzyckiego ; tam pisarz Motycz targuje się z Czatk-

kowskim o funkcję i tytuł poety „ruchu” Papary, ale jednocześnie drży, czy nie straci okazji wydania tomu wierszy w domu wydawniczym liberalnych Minbergów; tam działa sztab Papary i przygarnięty przezeń szuler, złodziejasek i alfons Drefczyński; tam księżniczka Medekszanka flirtuje na wszystkie strony, a jej ojciec zbiera dzieła sztuki; z tego Olimpu grzmi minister Jaszczka poganiając Skirlińskiego i planując uczynienie Zawiszanki swą „ministerialną” kochanką, a zarazem księżną Medekszową za co rodzinie zapłaci się zwrotem Bramury — popowstańczego majątku Medekszów, przejętego po Rosjanach przez państwo polskie. Ci ludzie (plus paru innych) zaludniają *niebo*, czyli pierwszy tom książki.

Na *ziemi* widzimy zbankrutowanego polityka sanacyjnego Kostopolskiego-Hirama, proroka katastrofy, nie cofającego się przed ordynarnym szantażem, aby wywieźć za granicę swe olbrzymie pieniądze, zdobyte nielegalnie podczas długiego ministrowania; zapobiegliwych i rzetelnych (ale tępionych przez urząd skarbowy) Sianosów, łapiącego komunistów Kozica i jego klientów: już aresztowanego Jana Dykierta (którego się jednak wypuści dla pewnej kombinacji) oraz kandydatów do kryminału — czerwonych redaktorów komunizującego pisemka „Nowy Siew”. Trzeba przyznać, że Breza widzi swych komunistów prawie z takiego dystansu jak sanatorów i falangistów. W dyskusji w Związku Literatów Polskich przyznał się, że przerobił tom drugi *Nieba i ziemi*, można więc przypuszczać, że włożył sporo trudu, aby uczynić ich sympatycznymi i żywymi. Udało mu się to w znacznym stopniu, ale mimo to przemiana wewnętrzna Jana Dykierta wypadła trochę płytko, naiwnie i po inteligencku. Na plus autora — odpowiadający po tamtej stronie najostrzejszym zarzutom krytyki komunistycznej — zapisuję fakt, że zgodnie z rzeczywistością nie przesadził bynajmniej roli komunistów w latach trzydziestych. Przedstawił ich jako małą grupkę, raczej na marginesie polskiej rzeczywistości, niż w centrum zmagania o władzę.

Domyślam się, że problem komunistów przesadził o zaniechaniu przez autora kontynuacji dzieła. Bo jakże? Jeśli by nawet zdecydował się oświetlić pozytywnie rolę komunistów w późniejszych latach, to jak przeskoczyć rozwiązanie K.P.P. w roku 1937 i wytrzebieenie przez Moskwę większości polskich działaczy komunistycznych? Jak przebrnąć — bez oczywistych fałszerstw — przez pakt Ribbentrop-Mołotow? Przed tymi przeszkodami zatrzymał się Newerly (który swą *Pamiętkę z Celulozy* urwał na roku 1936) i nawet Putrament we *Wrześniu* i dotychczas żaden pisarz w Polsce nie odważył się na podjęcie tych tematów (Żukrowski zaledwie musnął wkroczenie wojsk sowieckich w dniu 17. IX. 1939 w swoich *Dniach klęski*).

Choć w okresie N.E.P.-u kulturalnego Klub Odrodzenia nagroził *Mury Jerycha* (równocześnie z tomem opowiadań Żuk-

rowskiego), całość pracy Brezy spotkała się z surowym potępieniem krytyki marksistowskiej, zmobilizowanej na nowe linie w związku z proklamowaniem w końcu roku 1949 socrealizmu. Autorowi zarzucano między innymi złe rozpoznanie sił, ścierających się w Polsce sanacyjnej (nie uwzględnienie walki klasowej), mętniaństwo polityczne, a pod względem artystycznym formalizm, psychologizm, ucieczkę w dziwność — słowem Breza został ubrany w normalny garnitur oskarżeń, które dla nas, na Zachodzie, wydają się bzdurne i śmieszne, ale tam mogą wykończyć najtęższego pisarza. Nawet mniejsza ich ilość zakorkowała na lata Jerzego Andrzejewskiego i kazała mu się przerzucić na krańcowe politructwo publicystyczne. Breza milczał cztery lata i dopiero w 1952 wystąpił z powieścią *Uczta Baltazara* (3), którą z miejsca wyróżniono nagrodą państwową II-go stopnia.

Gdyby z egzemplarza tej książki obdarto kartę tytułową, mało który, a może żaden z ekspertów literackich nie poznałby że jest to dzieło Tadeusza Brezy. Czytana bez karty tytułowej, *Uczta Baltazara* przedstawia się jako jedna z lepszych powieści socrealistycznych — oczywiście poniżej poziomu Newerlego, Strykowski, a nawet *Pokolenia* Czeszki. Ale gdy wiemy, kto ją stworzył, ogarnia czytelnika smutek na myśl, co zrobiono, co pozwolił z siebie zrobić Tadeusz Breza.

Przed wszystkim uderza odhumanizowanie nowej powieści. Gdy w poprzednich utworach autor idzie od człowieka do człowieka — tu skacze po przedmiotach, sytuacjach ogólnych i ludzkich środowiskach, a ludzie snują się po kartkach dzieła jak marionetki i cienie. W *Murach Jerycha*, czy w *Niebie i ziemi* mamy niewiele długich, świetnie skomponowanych rozdziałów — w *Uczcie* jest ich aż 35: krótkich przystanków w sensacyjnej i szybkiej akcji, podzielonych na trzy części, znaczące z grubsza etapy rozwojowe, a raczej życiowe głównego bohatera.

W przeciwieństwie do *Murów Jerycha* mamy w *Uczcie* styl przesadnie ascetyczny, zdania przeważnie krótkie. Obrazowanie w nowej powieści jest świadomie ubogie — tak pisać, tak przedstawiać sytuację i ludzi mógłby każdy niezły rzemieślnik pióra. Czasami tylko rozbłyska w *Uczcie* wyrazisty obraz. Do nich należy świetna scena zapoznania się doświadczonej mistrzyni tańca z młodzieńką baletnicą. Owa *Uczta Baltazara* to obraz i symbol, bo rzecz dzieje się w roku 1947, a powieść traktuje głównie o burżuazji, której los wypisał na walących się murach Mane, Tekel, Fares.

Jednego podobieństwa można się dopatrzeć pomiędzy fakturą *Murów Jerycha* i *Nieba i ziemi* a *Ucztą*. Jest nim brak komentarza odautorskiego.

Ale gdy w poprzedniej twórczości Breza komentarza tego nie potrzebował, gdyż jego postaci charakteryzowały się same monologiem wewnętrznym, rozmowami lub działaniem —

(3) Tadeusz Breza, *Uczta Baltazara*, Czytelnik, Warszawa, 1952, stron 399, rysunki Krzysztofa Henisza. Powieść jest filmowana.

w *Uczcie* ucieka się autor do paliatywów bezpośredniej, odautor-skiej relacji. Stąd trącające myszką dłuższy w rodzaju listu bohatera, opisującego po dziennikarsku stosunki w nowym środowisku, albo tasiemcowe przemówienie przodownika nowej polskiej rzeczywistości. Oczywiście jest to lepsze od tabel statystycznych i technicznych opisów produkcji, od jakich roi się pośledniejsza twórczość socrealistów, ale tu chodzi o Tadeusza Brezę: *non licet parva magnum comparare*.

Ogromnemu zubożeniu językowemu, stylistycznemu i obrazowemu towarzyszy w *Uczcie* Baltazara potworna *elephantiasis* warstwy przedmiotów przedstawionych, to jest ludzi, rzeczy i stosunków, o których w dziele mowa (wracam znów do terminologii prof. Romana Ingardena, gdyż jego teoria literatury znakomicie ułatwia analizę każdego utworu literackiego). Tak z kolei przechodzimy do treści ostatniej powieści Brezy.

Na kanwie romansu kryminalnego, tętniącego nerwową akcją, usiłował Breza pokazać bardzo szeroki obraz Polski z roku 1947. Potrzebne mu to było, aby swego bohatera przekonać do nowej polskiej rzeczywistości. Będąc wytrawnym pisarzem i orientując się w trudnościach młodych debiutantów socrealizmu — nie popełnił Breza błędu wysuwania na czoło utworu sekretarza partii lub wybitnego działacza komunistycznego. Podobnie jak Strykowski i Newerly, głównym bohaterem uczynił człowieka bezpartyjnego i niezdecydowanego, mianowicie młodego studenta Andrzeja Uriaszewicza, byłego powstańca warszawskiego, który zakosztowawszy nieco wolności na Zachodzie, przyjeżdża do Polski jedynie po to, by załatwić lukratywny interes. Po odszukaniu ukrytego przez przemysłowców Lewartów cennego obrazu Veronesa, „Uczty Baltazara”, Andrzej zamierza wywieźć go z kraju i otrzymawszy prowizję zaszyć się w jakimś spokojnym kątku świata nie angażując się w żadne walki i światopoglądowe konflikty. Ale — domyślacie się, drodzy państwo — „młoda i prężna rzeczywistość” (owe „byczo jest”, które tak jadowicie wykpił Breza w *Niebie i ziemi*) wciąga z wolna Uriaszewicza. Poznaje blaski i cienie odbudowującej się ojczyzny, widzi zbrodnie podziemia i ich kontrast: ofiarność przodowników i bojowników nowego życia. Oczywiście zostaje w kraju, odkupiwszy swe wahania i nieładne zamiary „bohaterską” walką na morzu... z porwaną przez wicher portową. W międzyczasie Bezpieka przymyka bandę kombinatorów i byłych eneszetowców, parających się z sabotażem i szpiegostwem, jeden z nich popełnia samobójstwo, a drugi tonie w Bałtyku wraz z „Ucztą Baltazara”, która — niepotrzebna już jako pretekst literacki — „okazuje się być” nie bezcennym oryginałem, lecz bezwartościową kopią.

W ten schemat fabularny, zamykający się grzecznie w każdym szczegółzie z mechaniczną precyzją dobrze obmyślanej składanki, wpłótł autor jeszcze tuzin innych tematów — od baletu, poprzez „reakcyjne” duchowieństwo aż do odbudowy portu nad Bałtykiem.

Uczta Baltazara nie jest bojowym utworem komunisty, lecz

próbą pogodzenia inteligencji z nową rzeczywistością i włączenia jej do procesów budowy i odbudowy kraju. Artystycznie książka jest klęską autora, którą dostrzegli co przenikliwi krytycy krajowi. Mówiąc o przerostach barokowych i psychologizmach, z których miał się wyzłocić Breza w *Uczcie* Z. Lichniak napisał: „Miał wyrwać kłakole, a skosił wraz z nimi łan pszenicy” (4). „Zachodzi tu przysłowiowy wypadek wylania dziecka razem z kąpielą” — orzekła Wanda Leopold (5), zapominając dodać, że to krytyka partyjna kopnęła balę, w której siedziało dziecko.

Dlaczego tak obszernie zajmuję się sprawą Tadeusza Brezy i jego ostatnią książką? Bo *casus Breza* jest typowy i niezmiernie ciekawy z punktu widzenia możliwości kierowania, czy sztucznego kształtowania twórczości artystycznej. Zagadnienie to znacznie obszerniejsze od ram socjalistycznego realizmu. Bo czy tu na Zachodzie nie spotykamy — łagodniejszych nieco — tendencji kierowania literaturą? Czy nie zdarzają się nawet na naszym emigracyjnym podwórku pozornie niewinni apostołowie „literatury zaangażowanej”, a także zupełnie wyraźni literaccy politrucy *à rebour*? Czy nie słusza jest, włożona przez Brezę w głowę poety Motycza, refleksja, że politycy uznają tylko pisarzy ze swojej partii? „To jest właśnie u polityków niemile — rozmyśla Motycz — że oni nawet zaświadczenia na nieśmiertelność muszą ludziom wystawiać grupowo” (*Niebo i ziemia*, I. str. 142).

Gdy czytałem te słowa, stanęło mi przed oczyma jak żywe partyjne zebranie literackie w Londynie sprzed dwóch może lat, na którym głośliło się hasło literatury narrodowej przez trzy „r”, w czasie którego profesorowie uniwersytetu piali sławę pisarzy swojej partii. Dla mnie osobiście różnica między takim stanowiskiem, a teorią i praktyką socrealizmu tkwi tylko w kolorze i natężeniu, ale nie w samej zasadzie.

Janusz JASIEŃCZYK

Polskie wydawnictwa artystyczne

Każdy z nas wie, że wystarczy wziąć do ręki książkę wydaną w Niemczech, Anglii lub Francji, aby niezależnie od języka rozpoznać z jakiego kraju pochodzi. Każdy z tych krajów osiągnął pewną indywidualną szatę zewnętrzną dla książki. Czy można to powiedzieć i o książce polskiej? Czy-

(4) Zygmunt Lichniak, Eksperyment Tadeusza Brezy, *Dziś i Jutro*, Nr 39, z 1952 r.

(5) Wanda Leopold, O drodze pisarskiej Tadeusza Brezy, *Nowa Kultura*, Nr 30 z 1952 r.

ba tak, bo niżej podpisanego, na przykład, rażą wzrokowo książki polskie, wydawane w Wielkiej Brytanii, choć ich szata graficzna jest zazwyczaj nienaganna. Prawdopodobnie dlatego, że przywykliśmy widzieć polskie książki w szacie graficznej, która jest im właściwa.

Wygląd graficzny przedwojennej książki polskiej, zwłaszcza drukowanej w Drukarni Narodowej w Krakowie lub wydawanej u Jakuba Mortkowicza czy też, ostatnio przed wojną, w „Rój” — dotyczy to przynajmniej tych książek, które „Rój” drukował w Drukarni Narodowej albo w „Linolite” na Dłgiej — był indywidualny i estetycznie przyjemny. Mówimy oczywiście o lepszych osiągnięciach. Nie podobają mi się wprawdzie wydawnictwa Wegnera, poświęcone krajobrazom Polski (np. Ossehdowskiego *Huculszczyzna*), wzorowane zapewne na francuskich typu Artaud, ale trzeba im przyznać troskę o szatę graficzną. Te książki można już zaliczyć do wydawnictw artystycznych, ale coś poza tym, jeśli chodzi o właściwe albumy poświęcone sztuce? Tymczasem Niemcy, Francja czy Szwajcaria już grubo przed wojną miały niezrównane graficznie wydawnictwa, poświęcone reprodukcji dzieł sztuki takie np. jak *Iris Verlag* w Bern. Trzeba przyznać, że niektórzy z sąsiadów przewyższali nas w tej dziedzinie, zwłaszcza Czesi, których przedwojenne książki odznaczają się niemal bez wyjątku wspaniałą szatą graficzną. Zwłaszcza pięknie wydają Czesi i Słowacy wiersze (książki słowackie były w latach 1944-1947, dzięki istnieniu w czasie wojny „protektoratu” słowackiego, jednymi z najładniej i najstarszej wydawanych w Europie), a albumy poświęcone czeskiej sztuce ludowej, gotykowi itd. zaczęły się ukazywać wkrótce po wojnie.

W Polsce w roku 1945 oczywiście wszystko było strasznie zniszczone, a w dodatku dwa ważne centra wydawnicze (Lwów i Wilno) przestały istnieć, toteż dopiero gdzieś w 1949 zaczęto wydawać książki na dobrym papierze, ale do dziś wiele powieści drukuje się na takim papierze, że pożałuj się Boże.

Wydawnictwa artystyczne ruszyły chyba dopiero w 1950 czy 1951. Jednym z ostatnich jest nowa seria tomików *Klejnoty Sztuki Polskiej* (formatu 15 na 20 cm.) (1). „Polacy od wieków gonią za cudzym; wyrzekają się własnego, a potem żal po czasie, że sobie cudzoziemiec przyswoił... Ten i ów utyskuje..., że pozbawiony puścizny przeszłości, nie ma własnej rodziny pomników; a te są: o nich nie wie, wiedzieć nie myśli” (Lelewel, 1850). Te słowa daje redakcja wydawnictwa, obok cytaty z Lenina, jako motto dla całej serii i zaczyna, zgodnie z ich myślą, od mało znanych szerszej publiczności drzwi gnieźnieńskich. Cytata powyższa pochodzi zresztą ze specjalnej rozprawy, którą Lelewel poświęcił wojnom.

Drzwi katedry gnieźnieńskiej odlane zostały z brązu w pierwszej połowie XII wieku; mają przeszło trzy metry wysokości i przeszło półtora metra szerokości i jakoby przewyższają artystycznie wszystkie inne drzwi tego typu w Europie. Czy powstały w Polsce nie wiadomo. Styl ich pozwala na zaliczenie do tak zwanej szkoły mozańskiej (na paryskiej wystawie sztuki znad Mozy w 1952 figurowała nawet doskonała, naturalnej wielkości fotografia drzwi), pochodzą więc z okolicy położonej między Germanią a Galią. Jest ona w pewnym sensie kolebką Europy (tam było centrum państwa Karola Wielkiego) i nie jest przypadkiem, że stamtąd właśnie książę przy-

nieśli Polskę ponownie chrześcijaństwo w roku 1045, po reakcji pogańskiej i odnowieniu chrześcijaństwa przez Kazimierza Odnowiciela.

Ale czy drzwi powstały rzeczywiście nad Mozą? Można by oczywiście pomyśleć, że gdzie było w tych „dzikich czasach” transportować taki ciężar przez tyle puszcz i bezdroży! Ale wiemy, że jeszcze większe od gnieźnieńskich, drzwi katedry w Nowgorodzie znajdowały się początkowo w Płocku, jak świadczy o tym wyrzeźbiona na nich postać biskupa Aleksandra z połowy XII wieku, a dopiero potem, chyba w XIV wieku, zabrowane w niewiadomych okolicznościach, przetransportowane zostały do dalekiego Nowgorodu. Przewiezienie więc drzwi nie byłoby niemożliwością, ale nie które postaci wydają się wskazywać, że twórca projektu był w Polsce.

Na drzwiach przedstawiony jest bowiem w dwudziestu scenach żywot św. Wojciecha, umęczonego przez pogańskich Prusów i właśnie ci pogańscy Prusowie odróżniają się strojem i wyglądem zewnętrznym od Biskupa. Scena 1: św. Wojciech z towarzyszami przybija w łodzi do brzegu, na brzegu Wisły Prusowie o typie „sarmackim” z długimi wiszącymi wąsami, z tarczami i dzidami pokazują mu wyraźnie palcem: „Wracaj skąd przyszedł”. Na następnej jednak Biskup chrzci ich, są pokorni, nie mają tarcz i dzid, nawet wąsów nie widać; na następnej biskup naucza i oto Prusowie wyprostowali się znowu, jeden ma dzidę, wąsy widać wyraźnie i widać też po ruchach głowy i rąk, że nanka im się nie podoba. Następuje ostatnia scena Świętego: po prawej stronie Prusowie uzbrojeni w tarcze i dzidy. Toteż za chwilę nastąpi męczeństwo: jeden z Prusów stawiając nogę na plecach Biskupa obcina mu głowę toporem, a drugi przebija go dzidą. Opisywać tak można by bez końca, tym bardziej że oprócz właściwych scen istnieje jeszcze obramienie zawierające niezliczoną ilość mitycznych i prawdziwych zwierząt, oraz takie szczegóły jak praca w winnicy, winobranie, itd., z czego nie należy znowu sądzić, że drzwi nie mogły powstać w Polsce, bo wiemy z dochowanych przywilejów, że były winnice, niezbędne dla Kościoła ze względu na wino mszalne że zajmowali się nimi Francuzi. (W dokumencie z 1204 obok dziesiątek imion słowiańskich mamy dwa „francuskie”: Ludwik i syn jego Henryk, którzy winorośl uprawiać winni, *qui vineam colere debent*). Zresztą samo geograficzne pochodzenie drzwi nie jest takie ważne, ważniejsze jest, że już wtedy Polska nie była tylko odbiorcą czy naśladowcą ale do pewnego stopnia współtwórcą.

Druga książeczka zawiera reprodukcję trzydziestu głów ocalałych ze stu dziewięćdziesięciu czterech „snycerską robotą mistrzów rzeźbionych”, które zdobyły niegdyś strop Salí Poselskiej renesansowego zamku na Wawelu. Związana jest z nimi tradycja, że jedna z głów zwróciła się do króla „nawołując do zgody i pokuty”, czy też mówiąc: „Rex Auguste, iudicia iuste!”. *Si non e vero e ben trovato* to głowy te, jak to się mówi, gdyby mogły to by przemówiły. Można to powiedzieć niemal o każdej z nich, choć każda niewątpliwie — i tu leży wielkie mistrzostwo snycerzy — przemówiłaby inaczej: inaczej brodaty myśliciel z gołą głową, inaczej brodaty książę w mitrze, inaczej „władca wschodni”, rodzaj krwiożerczego Shylocka, wzorowany zapewne na jakimś Żydzie krakowskim przez snycerza antysemitę, inaczej tępawy chłopak czy nieśmiała dziewczyna. Wszystkie te głowy, wykonane wyjątkowo dłutem bez pomocy świdra, mają jedną dziwną cechę: natarczywe spojrzenie. Bo też spoglądały z góry na audiencję, wśród których — jak podają kroniki — było nawet i poselstwo perskie. Są to portrety z natury, nierzad karykaturalne, a zawsze żywe. Również ta książeczka zaopatrzona jest w ciekawy i wartościowy wstęp.

Kaplica zygmuntońska zamówiona została przez Zygmunta Starego jako mauzoleum dla zmarłej żony i dla siebie. Budowano ją od 1518 do 1533 roku

(1) *Klejnoty Sztuki Polskiej*. Komitet redakcyjny publikacji z zakresu wiedzy o sztuce w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Redaktor naczelny Rafał Glücksman. Drzwi gnieźnieńskie w opracowaniu Tadeusza Dobrzeńskiego, str. 24+62 ilustracje. PIW, 1953, nakład 25.000. Głowy wawelskie, w opracowaniu Anny Misiąg-Bocheńskiej, str. 24+63 il. PIW, 1953. Nakład 25.000. Kaplica zygmuntońska, w opracowaniu Adama Bochnaka, str. 27+63 il. PIW, 1953. Nakład 25.000.

a dla zrobienia miejsca zburzono kaplicę Wniebowzięcia z roku 1340, ufundowaną przez Kazimierza Wielkiego i jest to niejako symbol epoki: nowa kaplica ma charakter całkowicie świecki. Twórcą jest oczywiście Włoch, Bartolomeo Berrecci z Pontassieve koło Florencji (podpisywał się zresztą jako Florentyńczyk). A. Bochnak podkreśla we wstępie, że Berrecci rozwiązał oryginalnie i umiejętnie problem oświetlenia i że dał kopule zarys pół-eliptyczny a nie półkolisty wyprzedzając tym o 50 lat Michała Anioła. Można by więc z pewnymi zmianami powtórzyć, to co powiedzieliśmy o drzwiach gnieźnieńskich: Polska nie była tylko odbiorcą dzieł drugorzędnych, przyjeżdżali do niej artyści z ówczesnej ojczyzny sztuki, aby tworzyć tu rzeczy oryginalne i pierwszorzędne. Mauzoleum przyczyniło się nawet do wytworzenia specjalnego stylu mauzoleów szlacheckich; autor przypuszcza, że w rozpowszechnieniu tego stylu grali główną rolę polscy współpracownicy Berrecciego.

Kaplica jest, jak wspomnieliśmy, całkiem renesansowa, jest monументem sztuki świeckiej. Renesansowe są nagrobki obu Zygmunatów, renesansowe przedstawienie Zygmunta Starego jako Salomona i zgoła nie kościelne lecz swawolne harce bogów mitologicznych z nagimi białogłowami nad ołtarzem. W książeczce są pewne usterki korekty, niedbała jest też okładka a raczej obwoluta przedstawiająca nagrobki, którym ucięto u góry kawałek łuku, wszystkiego o jakieś dwa milimetry, ale wygląda to fatalnie, a w dodatku odbito tak, że ta obcięta górna część nakryta jest farbą obwoluty. Kolory też się nie bardzo tutaj udały. Ale ogólnie biorąc obwoluty są dobre — mają charakter renesansowy. Pochwalić trzeba, że nie trzymano się jednego szablonu dla obwolut i zmieniono w *Kaplicy* tarczę-ramkę dla tytułu serii (*Klejnoty* etc.), która — choć na miejscu w *Drzwiach* — razi nieco w *Głowach*.

Książeczki wzorowane zapewne na tego typu wydawnictwach, co *King Penguin*, *Insel Bucherei* itp., wychodzą z porównania technicznie i treściowo z honorem a nawet zwycięsko (tak np. *King Penguin* ma może tekst mniej popularzatorski — choć tekstem polskim nie zarzucić nie można, są poważne a przystępne — ale za to mniej ilustracji. *Insel Bucherei* ma mniej tekstu i mniej ilustracji, a taka *Electa* z Florencji ma 72 ilustracje ale tylko 8 stron tekstu). Zresztą *Klejnoty* mają nieco większy format, co oznacza głównie większe marginesy. Papier jest przyzwoity, okładka tekturowa jak i w analogicznych wydawnictwach zachodnich, ale z obwolutą. Cena 20 zł. nie jest bardzo niska, ale i nie wygórowana, zważywszy jakość i rozmiary książki.

(tor)

Duchy na strychu

„Stanisław August” Mackiewicza (*) jest zapewne najbardziej olśniewającą a zarazem najbardziej ponurą i okrutną książką, jaką kiedykolwiek napisał Polak dla polskiego czytelnika. Nie mogę się oprzeć pokusie aby nie zacząć od omówienia stylu i techniki, którymi została napisana ta książka, jakkolwiek do tradycji recenzenckiej należy zdaje się, że o stylu i technice pisar-

(*) Stanisław Mackiewicz, *Stanisław August*. Londyn, Gryf Publications, 1953. Str. 257, cena 12 sh. 6 d.

skiej mówi się na zakończenie. Chodzi jednak o to że właśnie styl i technika „Stanisława Augusta” olśniewają nade wszystko. Styl Stanisława Mackiewicza od dawna zasługuje na to aby go po prostu nazwać stylem „mackiewiczowskim”. Styl bez wykrętasów i ornamentacji. Zdania krótkie, proste, rąbane, gdzie orzeczenie idzie normalnie po podmiocie, a przedmiot po orzeczeniu. Swobodnie i na pozór beztroskie, a w rzeczywistości — celowe i rozmyślane operowanie prowincjonalizmami, archaizmami, socjetyzmami, ba — nawet barbaryzmami. Styl pisarski, który tworzy własną gramatykę, jak by powiedział sam Mackiewicz, gdyby mu na to pozwoliła wrodzona skromność. Styl, na który nasi puryści krzywią się pobłaźliwie.

Bardziej może od stylu olśniewa technika. Technikę tę nazwałbym „błyskawicową” — i nie w sensie mętnej przenośni lecz w sensie jak najbardziej dosłownym. Objaśnię to na przykładach. Treść książki to jakby film streszczający dzieje Polski w drugiej połowie XVIII wieku, film składający się z kilkudziesięciu migawek, to jest zdjęć „błyskawicznych”. Weźmy Rejtana, którego każdy Polak zna z opowieści historycznych i z obrazu Matejki, jako żywy i tragiczny protest patrioty przeciwko ciemnym siłom mającym wkrótce doprowadzić do upadku ojczyzny. (Na obrazie te „ciemne” siły tłoczą się zresztą w strojach barwnych i pięknych). Lecz oto pada błyskawica i w jej blasku giną z oczu bogate kolorowe stroje, ginie postać patrioty, widzimy tylko wąsatą twarz szlachcica wykrzywioną czymś w rodzaju *rigor mortis*, twarz człowieka skazanego na obłąkanie. Weźmy konfederatów barskich i ich „nactnienie” ks. Marka, którego geniusz poetycki Słowackiego wywindował na piedestał jako tego, co „sztandar zatknąwszy na Barze sam leży na tym sztandarze...” Lecz oto Mackiewicz naciska swój bezlitosny „flashlight” i okazuje się, że książd Marek Jandołowicz nie tylko nie poległ na sztandarze, bo żył jeszcze długo, lecz że był pijaczyną, specjalistą od lekarstw cudownych, zamawiaczem szczurów, zmij i innych gadów, niepoczytalnym mistykiem, który swe proroctwa i błogosławieństwa opierał „...na fundamencie przypomnienia z obywatelami niebieskimi (przezeń) zawartego”. W blasku tej błyskawicy „...z trzech sióstr (Konfederacji Radomskiej, Barskiej i Targowickiej) upiorzycą najwinniejszą, bo najgubniejszą była niewątpliwie Konfederacja Barska; gdyby nie ona państwo polskie nie upadłoby w XVIII wieku!” No i w świetle relacji mackiewiczowskiej konfederaci barscy bynajmniej nie świecili cnotami rycerskimi a zwłaszcza męstwem.

Już te przykłady, które przytoczyłem jako ilustracje do „techniki”, użytej przy pisaniu książki, dają przedsmak treści. „Stanisława Augusta” nazwałbym pierwszą konsekwentną i monograficzną próbą odkłamania dziejów polskiego osiemnastowiecza. „Z grubsza — pisze Mackiewicz — teza Polaka wychowanego na naszej historiografii wygląda jak następuje: naród w czasach rozbiorów był wspaniały, bohaterski, kryształowy, cnotliwy; tylko król był obrzydliwy, tchórzliwy, przekupny, nie-

moralny..." Jakże zakłamał historię Polski w XVIII wieku romantyzm polski i przez ten romantyzm natchniona historiografia polska..." Bo Mackiewicz uważa że było całkiem odwrotnie: „Stanisław August był jedynym Polakiem tamtych czasów, który umiał przewidywać politycznie". I choć autor nie ukrywa przed czytelnikiem ani jednej z dobrze znanych od 150 lat każdemu dziecku polskiemu słabych stron ostatniego króla, to jednak te grzechy jego dziwnie błędną na tle śmiertelnych grzechów całego ówczesnego społeczeństwa: „Stanisław August nie tylko nie był gorszy od przeciętnego Polaka swoich czasów, ale dużo lepszy".

Na wstępie nazwałem „Stanisława Augusta" książką ponurą i okrutną. Trudno istotnie o bardziej skondensowane nagromadzenie ciemnych barw tego ciemnego okresu, gdy Polska nierządem stała. Książkę czyta się z uczuciem bólu, wstydu i upokorzenia. A uskoki liryczne i aluzje aktualne jeszcze bardziej pogłębiają to uczucie. Epizody, którymi szafuje autor, a które na pierwszy rzut oka mają znaczenie drugoplanowe (np. szczegóły zamachu na króla, ustęp o Dekiercie, o ucieczce Adama Ponińskiego i wiele innych) są, zdaniem moim, mistrzowskimi rzutami pędzla dla uwypuklenia i „uperspektywienia" tej makabrycznej panoramy jaką był nasz wiek osiemnasty, wiek niesłychanych, nieznanym w dziejach żadnego narodu anarchii i upodlenia: sejmj chronicznie zrywany, często jeszcze przed obiorom nowego marszałka; aparat sądowy i administracyjny sparaliżowany; brak wojska własnego, wojska cudze natomiast wkraczają i stacjonują na prośbę zarówno zwolenników jak i przeciwników króla; agenci obcy rządzą się jak u siebie w domu dyktując dygnitarzom i samemu królowi wolę swych monarchów; idiotyczne oskarżanie króla o „tyraństwo"; wreszcie przekupstwo, przekupstwo... I na tle tej przebogatej panoramy strachów i upiórów, tego „teatru okropności" obejmującego kraj z 9-milionową ludnością (a Rosja liczyła wtedy tylko 27 milionów!), postać ostatniego króla wyrasta nie tylko na postać świetlaną, ale i tragicznie wspaniałą!

Książka nie należy do gatunku krzepiących, jeżeli przez „krzepienie" rozumiemy systematyczne, konsekwentne i naukowe zamazywanie prawdziwego obrazu historycznego. Krytycy — historycy zawodowi — odniosą się zapewne do książki Mackiewicza z właściwą ich profesji ostrożnością, to jest ograniczą się do wytknięcia autorowi tych lub innych nieścisłości w szczegółach drugorzędnych. („Lecz tacy są już specjaliści: im mniejsza rzecz tym większa ścisłość" — jak złośliwie powiedział Tuwim w „Kwiatach Polskich"). Krytycy-historycy „akademijni" (to jest spece od katarzynkowych przemówień na akademiach „upamiętniających" oraz od artykułików okolicznościowych) wytoczą zapewne ciężkie działa i strzelą pociskami „szargania świętości" na temat: po co pisarz polski podaje gotowy materiał, który posłuży różnym profesorom Sharpom do szkalowania Polski?

Mam przekonanie że czytelnik nie należący do powyższych kategorii oceni „Stanisława Augusta" trochę inaczej. „Szczerzyła do mnie swe trupie zęby prawda wyciągnięta z grobu" — stwierdza Mackiewicz w rozdziale końcowym. Prawda historyczna, choćby najbardziej nieprzyjemna i najokrutniejsza, choćby podważająca wkute nam od dziecka dogmaty i legendy, nie powinna być ani chowana pod kocem, ani szminkowana. A chodzi o rzecz dziwnie nam bliską, choć od śmierci Stanisława Augusta dzieli nas lat sto pięćdziesiąt i pięć. Aluzje aktualne, o których już wspominałem, rozsiane są na przestrzeni całej książki. Mają one wymowę patetyczną. Wykazują nam w sposób jaskrawy, że — jeśli o cechy narodowe chodzi — historia powtarza się aż do znudzenia. Pouczają nas, że historia powinna być mistrzynią życia (choć w dziejach Polski jest i było zawsze na odwrot). Tragiczne i — co tu obwijać w bawełnę — obrzydliwe przywary Polaków osiemnastowiecznych nie straciły nic ze swej aktualności w roku 1953-im. Młode i najmłodsze pokolenie na emigracji zdradza, jak wiemy, nagminny wstręt do „wspominków", zaliczając w czambuł do tych wspominków nie tylko memuary prywatno-obyczajowe, ale i wszystko co pachnie historią. Dla niejednego z tych młodych „Stanisław August" stanie się do pewnego stopnia rewelacją: zdziwią się gdy spostrzegą (nawet bez pomocy aluzji autorskich) ile przypowiastek na nasz dzień dzisiejszy mieści się w owym upiornym osiemnastowieczu polskim. W tym znaczeniu książka Stanisława Mackiewicza jest nie tylko bardzo aktualna, ale jak najbardziej dydaktyczna: ku dokształceniu młodych i kształceniu najmłodszych.

Jest w książce rozdział zatytułowany „Duchy na strychu" — fragment „upiornego dramatu walki (króla) ze śmiercią państwa". Z jednej strony walczył człowiek mądry, wykształcony, światły, łączący miękkość manier z geniuszem dyplomaty i darem przewidywania. Przeciwno sobie miał „duchy na strychu" — jakąś milionosobową, a więc prawie bezosobową maskarę polskiego osiemnastowiecza, w którym palono jeszcze od czasu do czasu „żywe upioryzce", a w owocach wieku oświecenia dopiero król zaczął smakować. Gdy mowa o „duchach na strychu" i o wieku oświecenia warto odnotować tęzę historiozoficzną autora, tęzę fascynującą i raczej przekonywującą: zdaniem Mackiewicza wiek osiemnasty w Polsce był „pogrobowcem" wieku siedemnastego: „W Polsce wiek XVIII istniał w publicystyce, w literaturze, w stronnictwie Czartoryskich, na dworze Stanisława Augusta; społeczeństwo jednak, naród, powszechność tkwiła całkowicie w pojęciach, obyczajach, gestach, pozach wieku XVII". Stąd wniosek autora że „wieku oświecenia" właściwie u nas nie było i że nie trzeba dziwić się „...tej łatwości, z jaką u nas wiek XVIII przeszedł w romantyzm"...

„Stanisław August" stanie się zapewne książką tak zwaną kontrowersyjną. Tym lepiej dla książki: więcej ludzi ją przeczyta. Jeśli jednak istnieje rzecz taka jak *ostateczny* sąd historii i jeśli kiedykolwiek sąd taki będzie wydany, to na pewno na

wyroku trybunału dziejowego zaważy cytowane przez Mackiewiczza zdanie z listu Repnina, listu pisanego już po detronizacji, a więc w czasie gdy Stanisław August był dla polityki rosyjskiej nic nie znaczącą figurą prywatną: „Ten monarcha był zawsze szkodliwy naszym (to jest rosyjskim) interesom”.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Notatki wydawnicze

Dwie książki przeczytane ostatnio sprawiły na mnie podobne wrażenie: przeczuwając w nich głęboką i ważną prawdę, której przecież nie mogłem uchwycić, powracałem raz po raz do pocieszającego przekonania że mam do czynienia z mistyfikacją. Pozostaje w obu wypadkach zasadnicza wątpliwość: dlaczego ludzie szczeni się wiedzą ezoteryczną (a więc tajemną, uzyskaną indywidualnym wysiłkiem i którą można przekazać jedynie poprzez wtajemniczenie, okupione podobnym indywidualnym wysiłkiem) wydają książki przeznaczone dla szerokiej publiczności? Zastrzeżenie to dotyczy zresztą wyłącznie wewnętrznej, moralnej koherencji systemów, które są nam przedstawiane. Nie odbiera ono znaczenia błyskawicznym intuicjom które napotykamy właśnie dzięki temu pozornemu brakowi logiki. Raymond Abellio, polityk przemieniony w proroka, którego poprzednie książki omawialiśmy w „Kulturze”, jest niewątpliwie jednym z najciekawszych współczesnych pisarzy. Jeśli dzieło jego nie ma dziś rozgłosu który przypadł w udziale Spenglerowi, Frazeowi czy Jungowi, to z przyczyn podobnych tym, dla których najbardziej skuteczni „znachorzy” nie zostaną wybrani do Akademii Medycyny. Oto jedna z najpotężniejszych erudycji, która się nie podporządkowuje „nauce”; temperament najściślej religijny poza ramami kościołów; twórca nowej, pasjonującej socjologii, klasyfikujący grupy ludzkie w oderwaniu od statystyki i psychologii mas, w oparciu o tradycję która była zapewne żywa dla magów chaldejskich i Ezechiela, ale której korzenie są w naszym pojęciu martwe. *Assomption de l'Europe* (Au Portulan, Flammarion, Paris, 1954) jest analizą „idealnego” Zachodu („Occident”, w przeciwieństwie do „Ouest”), bardziej zawiłą i skomplikowaną od niemal algebraicznych równań które stawiał Abellio w „Vers un Nouveau Prophétisme”. Jest to książka zbyt bogata dla przeciętnego czytelnika — dla mnie w każdym razie. Św. Tomasz z Akwinu i Meister Eckhart, cała filozofia racjonalizmu, Nietzsche i Husserl — Abellio przemienia myśl zachodnią w jeden wir, który prowadzi do zastosowania pojęć nowoczesnej fizyki do nauk moralnych i politycznych; do postanowienia kwestii przyszłości świata na płaszczyźnie na której konflikt pomiędzy „wschodem” i „zachodem” sprowadzony jest do rzędu dziecinnych „pretekstów”. Interpelacja cykliczna historii (a właściwie bytu) prowadzi Abellio do jego najważniejszego wniosku — że jesteśmy w przedzie dnia wyklucia się „kasty kapłańskiej”, której brak na świecie (a w każdym razie w świecie zachodnim) od przeszło tysiąca lat. Analiza tych „zarodków” kapłaństwa w marksizmie i w katolicyzmie jest jednym z najśmielszych zakusów ścisłej i potężnej myśli Abellio. Nie jestem pewien czy zrozumiałem to „Wnie-

bowstąpienie Europy”. Ale jestem pewien że nie sposób streścić tej książki: wartość jej wydaje mi się polegać właśnie na zapładniającym wpływie samego toku myśli autora.

Słowniki, podręczniki i pojęcia „ludzi wykształconych” przyjmują zwykle za pewnik że „alchemia”, to rodzaj „chemii” obskurantyzmu — Nicolas Flamel, Hermes, czy Izak Holender są w tym ujęciu przesadnymi przodkami Lavoisiera. Mało kto wie natomiast że tradycja alchemiczna nie została nigdy przerwana, że po dziś dzień „bracia” i „siostry” dążą do przeprowadzenia „Wielkiego Dzieła” i że tygle, znane nam ze starodawnych sztychów i operowych dekoracji, nadal funkcjonują w nowoczesnych kamienicach Paryża, Londynu czy Nowego Jorku. Znaczenie alchemii pierwszy popularnie wyjaśnił Jung w swym najpiękniejszym dziele „Psychologia i Alchemia”. Praca alchemika, to nie tylko (a nawet nie w pierwszym rzędzie) praca nad przemianą materii, nad jej oczyszczeniem: to praca *równoległa* nad sobą samym, nad odrodzeniem osobowości. Ze praca nad oczyszczeniem materii jest przy tym nie tylko pretekstem, ale niezwykle cenną pomocą, wytłumaczył nam to Gaston Bachelard, jeden z najwybitniejszych współczesnych uczonych w swych książkach o „wyobraźni materialnej”, w swych „psychoanalizach materii” („L'Eau et les Rêves”, „L'Air et les Songes”, „La Tette et les Rêveries de la Volonté” itd.). O istnieniu René Alleau, ucznia Fulcanello który na początku XX wieku odrodził największe tradycje alchemii, wiedziałem od dawna. Zdarzyło mi się nawet spotykać ludzi (w tym profesorów Sorbony, znanych specjalistów nauk ścisłych), którzy twierdzili że Alleau jest Fulcanellim, który sam (kto wie?) był może przedtem kimś innym... W skromnym mieszkaniu Alleau schodzi się od lat grupa ludzi, obserwująca prace nad „Wielkim Dziełem”, a wśród nich kilku najsławniejszych pisarzy Francji, najbardziej „postępowych” fizyków... Ale dotychczas praca Alleau ograniczała się do tej ciągłej sublimacji — materii? ducha? Wydając *Aspects de l'Alchimie Traditionnelle* (Editions de Minuit, Paris, 1954), Alleau nawiązał do tej tradycji alchemików, którzy w sposób ukryty dla laika dzielili się jednak po wynalezieniu druku swoimi odkryciami z oddalonymi braćmi, otwierając drzwi dla tych którzy dojrzeliby dla „prawdziwej wiedzy”. W słownictwie i grafice alchemii jest dziwna poezja — nie było tam nigdy rozdarcia ani rozstania pomiędzy „psychologią głębin” i świadomością. Książka Alleau jest przy tym niezmiernie ważnym przyczynkiem historycznym, śmiało nawiązującym tradycję alchemiczną do pewnych „konfraternii” Grecji i Dalekiego Wschodu. Znaczenie tej książki (którą „sceptycy” skłonni by może przyjąć z uśmiechem) określa fakt że Albert-Marie Schmidt (najwybitniejszy francuski historyk ezoteryzmu) w recenzji o niej napisał że Alleau jest w stanie dać nam wiadomości, które Jung, Mircea Eliade, czy on sam, Schmidt, mogliby tylko niezdarnie i naukowo przeczuwać...

Wobec książek Abellio i Alleau, powieść Gabriel Veraldi *A la Mémoire d'un Ange* (Gallimard, Paris, 1953) ma ten sam ciężar gatunkowy (czy raczej jego brak), co dobra „Science Fiction” wobec prac wielkich fizyków. Ale znać na tej książce, tryskającej erudycją i nieco powierzchowną inteligencją, wpływ ezoteryzmu na współczesną myśl. Gabriel, bohater Veraldiego (i jego imiennik) jest wnukiem Des Esseintes, słynnego estety z „A Rebours” Huysmansa. Bogaty, subtelny, inteligentny, znudzony. Zamiast pasywnie bawić się „symfonią” smaków, kolorów (des Esseintes spędzał dnie obserwując jak kolorowe krople opadają w przeźroczystych basenach),

Gabriel ma bardziej współczesną pasję (jeśli Huysmans jest jego dziadkiem, to wujem jest niewątpliwie Aldous Huxley): pasjonuje go eksploracja granic własnej świadomości. Kolejno przewodnikami po tym pograniczu zmysłów i ducha będzie dla niego alkohol i rozpusta. Potem przejdzie do innej ascezy, i poprzez jogę odkryje „świadomość”. Końcowe samobójstwo bohatera jest wypadkiem ale eksploracji nie można było w żadnym razie dalej prowadzić. Veraldi (który był po Gasczarze najpoważniejszym kandydatem do ostatniej nagrody Goncourt) ma 25 lat i *A la Mémoire d'un Ange* jest jego pierwszą książką. Jest to inteligentna i świetnie napisana wulgaryzacja danych naukowych i ezoterycznych, które są dziś dostępne dla każdego młodego człowieka, oczywiście jeśli ma pasję ciekawości. W wypadku Veraldi mamy do czynienia z rzadką dość kombinacją temperamentu erudyty i ciekawości prawdziwego pisarza.

Marcel Jouhandeau, jeden z największych pisarzy francuskich, w którym z ostatnich numerów N.R.F. melancholijnie stwierdził że przekroczył już próg starości. W całym swoim dziele powiedział on nam o sobie wszystko, z dziwną mieszaniną okrucieństwa i pobożności wobec samego siebie. W tych tragicznych książkach, w których piekło za życia wydaje się straszniejsze od spiekoty książek Mauriac (Jouhandeau też jest katolikiem, głęboko wierzącym, ale Kościół widzi w jego dziele niebezpieczny satanizm), jedyną przystanią która czasem przyświeca jest świat dzieciństwa autora. *Apprentis et Garçons* (Gallimard, Paris, 1954) jest czwartym tomem „Memorialu” w którym Jouhandeau daje ostatnie przypiski do swego autobiograficznego dzieła. Na pozór jest to książka pogodna, niemal blaha. W krótkich szkicach przewijają się postacie czeladników, ojca pisarza, zamożnego rzeźnika w Chaminadour. Ale Jouhandeau ma dar nie tylko wyjątkowej konkretizacji, materializacji słowa, jednym zdaniem odkrywając prawdę przedmiotu, gestu, atmosfery, umie on też śledzić w na pozór powierzchownych, powszednich sprawach głęboki wzór życia, odkrywać dziwne, groźne perspektywy.

Francuski Instytut Narodowy Studiów Demograficznych wydał z poparciem U.N.E.S.C.O. niezmiernie ciekawe studium dotyczące mniejszości narodowych we Francji (Alain Girard et Jean Stoetzel : *Français et Immigrés. L'Attitude Française. L'Adaptation des Italiens et des Polonais*, Presses Universitaires de France, Paris 1953).

Książka zawiera gruntowne opracowanie trzech ankiet przeprowadzonych przez Instytut w roku 1950. Pierwsza — to ankieta w której kilka tysięcy Francuzów, wybranych z różnych klas społecznych metodą sondażu określa swoje stanowisko wobec mniejszości. Dwie pozostałe ankietę dotyczą mniejszości włoskiej i polskiej we Francji i stanowią studium poziomu życia, obyczajów, stopnia asymilacji, stosunku do Francji, oblicza religijnego i politycznego czterech skupisk emigracyjnych : polskich rolników w dep. Aisne, polskich górników w Nordzie, Włochów w rejonie paryskim i włoskich rolników w Lot-et-Garonne.

Ankieta przeprowadzona wśród Francuzów rzuca ciekawe światło na tę mieszaninę liberalizmu i ksenofobii, na której opiera się stosunek Francuzów do cudzoziemców. Ciekawe jest uszeregowanie sympatii w stosunku do różnych narodowości na terenie Francji. Największą sympatią cieszą się imigranci belgijscy, szwajcarscy i holenderscy; najmniej lubiani są Niemcy, Arabowie, Austriacy i Rumuni; Polacy znajdują się pośrodku — na równi z Hiszpanami i Włochami. Reakcje psychologiczne są znamienne. Tylko

drobny procent Francuzów „nie lubi” obecności imigrantów w lokalach; ale za to nawet ci którzy świadomie odpowiadają że „nie widzą żadnej różnicy pomiędzy Francuzem i imigrantem”, oświadczają że niechętnie by widzieli małżeństwo własnych dzieci z imigrantami.

Najciekawsza dla nas jest analiza imigracji polskiej. Polacy asymilują się trudniej od innych narodowości i studium podkreśla z pewnym zdziwieniem ich patriotyczny upór. „Niebezpieczeństwem” jest tu ksiądz polski i szkoła polska. Według autorów, nastawienie polskich imigrantów do reżimu warszawskiego było początkowo w 50 % przychylnie, ostatnio uległo znacznemu zniechęceniu, głównie na skutek listów otrzymywanych z Polski. Ze zdziwieniem dowiadujemy się z ankiety że większość polskich rodzin, którym zadawano pytania, czyta zarówno „Narodowca” jak i „Gazetę Polską” (rok 1950). Ale sama masa socjologicznego materiału jest tu ciekawsza od wniosków autorów. Znajdziemy w niej pozostałości polskich tradycji, kompromisy kulinarne polsko-francuskie, styl życia i zabaw polskiej młodzieży.

Aleksander Szombati, redaktor kulturalnego tygodnika węgierskiego „Világ”, wydawanego w Brukseli, był do roku 1939 krytykiem literackim „Pesti Napló”, najpoważniejszego dziennika węgierskiego o kierunku konserwatywno-liberalnym, który można by porównać do „Kuriera Warszawskiego”. Jego nowa powieść, która ukazała się ostatnio we francuskim tłumaczeniu *La Soif Eternelle* (Talismans, Bruxelles) oparta jest na elementach autobiograficznych. Jest to obraz węgierskiej przedwojennej liberalnej inteligencji, której niektórzy przedstawiciele usiłują walczyć z reżimem Horthy'ego, inni trzymają się z dala od polityki, jeszcze inni grawitują w stronę komunizmu. Nawiasem mówiąc, zarówno proces Rajka, jak artykuły François Fejtő w węgierskim emigracyjnym miesięczniku „Latohatar” wykazują że komuniści w przedwojennych Węgrzech byli o wiele bardziej wpływowi, zwłaszcza wśród inteligencji, niż w przedwojennej Polsce.

Przegląd miesięczników

Przez dwa lat Anglia pozbawiona była literackiego miesięcznika. Obecnie, w dwa miesiące po „Encounter”, ukazał się *The London Magazine*, redagowany przez John Lehman. Wobec wysokich kosztów druku i ograniczonej publiczności, żaden literacki miesięcznik nie może się utrzymać w Anglii bez finansowej pomocy jakiegoś mecenasa. Najlepsze angielskie pismo literackie, „Horizon”, które wychodziło przez cały okres wojny, finansowane było przez zamożnego dyktanta, Peter Watson, tak długo jak było go na to stać. „Encounter”, wydawany przez Kongres Wolności Kultury jest przez to samo organem walki z totalizmem podjętej przez Kongres. *The London Magazine* finansowany jest przez „Daily Mirror” — może jako moralne zadośćuczynienie walki z kulturą z takim powodzeniem prowadzonej przez to najbogatsze pismo angielskie. Jest to miesięcznik czysto literacki, pozbawiony jakiegokolwiek politycznego charakteru (który już w „Encounter” przejawia się o wiele słabiej niż w „Preuves”). Oba pisma dają sposobność do oceny poziomu angielskiej powojennej literatury. To co uderza w pierwszym rzędzie, to brak interesujących młodych talentów, a jednocześnie bardzo wyrównana, subtelna technika pisarska. Cha-

rakterystycznym zjawiskiem jest że jedyna „szkoła” literacka młodej współczesnej Anglii jako hasło obrała „Konsolidację”. John Lehman stwierdza to z pewnym smutkiem, mówiąc że hasło to przypomina mu niestety „brunatny sos twardniejący wokół zimnych kartofli”. Ostrożność, obawa przed oryginalnością, konformizm — na podstawie zdobytej przez poprzednie pokolenie subtelności psychologicznej i stylistycznej finezji — takie właśnie sprawia najmłodsza angielska literatura w pierwszych numerach „*Encounter*” i „*London Magazine*”.

Skromna *Paris Review*, wydawana przez młodych pisarzy amerykańskich zamieszkałych w Europie (8, rue Garancière, Paris 7), również nie wytrzymuje zestawienia z tradycją anglosaskich „magazine’ów” wydawanych w Paryżu między dwoma wojnami. Przed trzydziestoma laty w takich właśnie pismach debiutował Henry Miller, Joyce drukował pierwsze rozdziały „*Finnigans’ Wake*”. *Paris Review* nawiązuje do romantyczno-psychologicznej tradycji amerykańskiej literatury. Nie znać na tych młodych pisarzach wpływu Faulknera, Steinbecka, Hemingwaya — tego cośmy zwykli w Europie uważać za „literaturę amerykańską”. Są tam natomiast obfite echa Carson MacCullers, Prokoscza, Tennessee Williamsa czy Truman Capote’a. Jest to w pierwszym rzędzie literatura samotności, zamknięta w dzieciństwie i okresie dojrzewania, literatura nowego romantyzmu. Nawet temat i tło pozostają niemal zawsze te same. Młody Amerykanin niezrozumiany przez rodzinę i pozbawiony przyjaciół. Jarmarczne budy, bary wielkiego miasta, estetyka przedmieścia, dżungli i pustyni cywilizacji przemysłowej. Dlatego może w czwartym numerze *Paris Review* (zima 1954) najbardziej autentyczne literacko jest opowiadanie Zygmunta Haupta, oparte na osobistych wspomnieniach dawnego pobytu w Paryżu. Jak zawsze u Haupta uderza tu siła ewokacji, poetycki realizm, malarska trafność spojrzenia.

We francuskim życiu politycznym i literackim *Crapouillot* (3, Place de la Sorbonne, Paris) odgrywa rolę niepoprawnego „enfant terrible”. Jest to luksusowo wydawany kwartalnik, poświęcający każdy numer innemu problemowi. Redaktorem „*Crapouillot*” jest Jean Galtier-Boissière, filolog, erudyta, a przede wszystkim człowiek znający wszystkie francuskie personalia ostatniego półwiecza, wtajemniczony we wszystkie plotki, we wszystkie skandale. W redakcji wielkiego tygodnika Galtier-Boissière byłby nieocenionym narzędziem politycznej presji. Woli on jednak być „klusownikiem” francuskiego życia, nie identyfikując się z żadną partią, wywlekając na światło dzienne różne skandale, zapewne powodowany na równi uczciwością i odwagą osobistą co zmysłem przekory i miłośnią sensacji. Ostatni numer *Crapouillot* poświęcony jest francuskim miliardom. Jest to niezrównana galeria portretów najpotężniejszych francuskich rodzin. Między innymi ciekawymi szczegółami *Crapouillot* podaje jak „neutralista” Beuve-Méry pozostał redaktorem „*Monde*’u” wbrew protestom antysowieckiej części opinii, właśnie na interwencję najbogatszego akcjonariusza tego pisma, ściśle związanego z francuskim kapitałem — akcjonariusza którego bank był specjalnie zainteresowany handlem z Dalekim Wschodem...

„Krucjata mrozu” Abbé Pierre’a obudziła Francję z obojętności. Półki termometr wskazywał 20 stopni wydawało się że cały naród jednoczy się wokół skromnego kapucyna. Czy był to tylko chwilowy wstrząs?

Czy projektowana bezprocentowa pożyczka kilkunastu miliardów franków przeznaczona na budowę domów znajdzie dość subskrybentów? Z właściwą sobie mieszaniną kpiny i powagi mówi o Abbé Pierre w marcowej *Parisienne* Jacques Audiberti. Od dawna — pisze — wydawało się że Francuzi stali się obojętni jedni drugim, że przejawiał się jakiś koniec wspólnoty narodu. „Nagle wszyscy zapłakali. Duchesse’y i im podobne ruszają w ekwipażach polować na clochard’a. Napływają miliony i płaszcze. Właścicielka hotelu, nagle nawrócona, oddaje za darmo dziesięć pokoi. Tak jakby rzeźnicy raptem przebaczyli wołom”. Czy Abbé Pierre pójdzie dalej? Audiberti żartobliwie analizuje jego zadatki na „wodza narodu”. Kończy jednak dziękując mu za to że po raz pierwszy od lat dał on Francuzom „zarys ojczyzny”.

Cyniczna *Parisienne* nie jest skłonna do pochwał, zwłaszcza gdy w grę wchodzi idea. Tym bardziej uderzające są uwagi, w tym samym numerze, o „Zniewolonym Umyśle” Miłosza. Pierre Andreu nazywa Miłosza „wielkim pisarzem” i cytuje całą stronę jego eseju, stwierdzając że analiza polskiego pisarza stawia palącą tezę nowego realizmu w wolnej literaturze: realizmu który by nie był „socjalistyczny”, ani „faszystowski”, ale „dramatyczny, zgodny z sytuacjami którymi musi stawić czoło współczesny człowiek”.

Nova et Vetera, kwartalnik wydawany w Szwajcarii (12, Boulevard Georges Favon, Genève), jest zapewne czasopismem katolickim na najwyższym dziś poziomie intelektualnym. Toteż artykuł Charles Journet o przesładowaniu Kościoła w Polsce (styczeń-marzec 1954) uderza głęboko chrześcijańskim, doktrynalnym i filozoficznym podejściem do tego tematu. Artykuł Journet’a stanowi religijne uzupełnienie doskonałej broszury wydanej w styczniu przez *Les Amis de la Liberté*, w której losy Kościoła w Polsce poddane są pierwszej próbie uczciwego studium historycznego.

W lutowej *Parisienne* Jacques Laurent (autor „*Caroline Chérie*” i mecenas inteligentnej „*Paryżanki*”) zaatakował literaturę „zaangażowaną politycznie”. Starał się on jednym mieczem ściąć głowy Malraux, Sartre’a, Mauriac’a i Thierry Maulnier. Polityka niszczy styl — zapewnia Laurent. Ale jego prawdziwa pretensja ujawnia się kiedy wypomina Thierry Maulnier obronę mas prześladowanych przez totalizm komunistyczny, czy obronę skazanego na śmierć w Ameryce murzyna Mac Gee, żalując że Maulnier nie kruszy kopii o „skandale we własnym domu”, jak śmierć Pétaina na Ile-d’Yeu (chociaż Laurent dodaje tu sprytnie Henri Martina). Artykuł Laurenta wywołał odpowiedź Malraux w liście do *Parisienne*, prostujący szereg „nieścisłości” Laurenta, oraz doskonały artykuł Thierry Maulnier w marcowej *Table Ronde*. Gdy Laurent twierdzi, że los Polaków w obozach koncentracyjnych jest nam obojętny, że nie może się przejąć odległą śmiercią Mac Gee — czy nie wykazuje przez to pewien stopień braku wyobraźni — pyta Maulnier? I czy ten brak wyobraźni Laurenta i wielu innych nie jest wystarczającym powodem do tego żeby ludzie o większej wyobraźni musieli się na te tematy wypowiadać? Dziwnym zbiegiem okoliczności, ten sam numer *Table Ronde* zawiera pierwszy odcinek autobiograficznej powieści Laurenta, „*Le Petit Canard*”. Młody bohater spotyka w 1940 roku polskiego żołnierza i odczuwa żywe oburzenie gdy Polak mówi o groźbie „naszej klęski”. Jak śmie ten barbarzyńca mówić „my” o Francji! A więc może nie tyle obojętność, czy brak wyobraźni — co po prostu pogarda?

Nadesłane nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

- FARRERE (Claude). *Souvenirs*. Pp. 287. (Ed. Arthème Fayard, Paris, 1953, frs 600).
- ROMAINS (Jules). *Examen de conscience des Français*. Pp. 160 (Ed. Flammarion, Paris, 1954, frs 250).
- CHURCHILL (Winston). *Mémoires sur la deuxième guerre mondiale*. Vol. VI, 2^e partie: *Le rideau de fer*. Pp. 451. (Ed. Plon, Paris, 1954).

LITERATURA

- LAPIERRE (Dominique). *Lune de miel autour de la Terre*. Pp. 279. (Ed. Grasset, Paris 1953, frs 690).
- MONNIER (Adrienne). *Les gazettes*. 1925-1945. Pp. 318. (Ed. René Julliard, Paris, 1953, frs 690).
- JUENGER (Ernst). *Journal*. Vol. II. 1943-1945. Pp. 441. (Ed. Julliard, Paris, 1953).
- SAINTE-SOLINE (Claire). *Reflux*. Roman. Pp. 271. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs 465).
- GANDON (Yves). *La ville invisible*. Roman. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs 435).
- MAURIAC (Pierre). *Claude Bernard*. Pp. 232. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 450).
- GREENE (Graham). *C'est un champ de bataille*. Roman traduit de l'anglais par M. Sibon. Pp. 307. (Ed. Robert Laffont, Paris, 1953, frs 540).
- AYME (Marcel). *Les quatre vérités*. Pièce en 4 actes. Pp. 225. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 450).
- KIRST (Hans Hellmut). *Où est la justice capitaine?* Roman traduit de l'allemand par E. Bestaux. Pp. 297. (Ed. Robert Laffont, Paris, 1953, frs 690).

GUITION (Jean). *Dialogues avec Monsieur Pouget*. Pp. 258. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 495).

BAZIN (Hervé). *L'huile sur le feu*. Pp. 331. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 495).

DHOTEL (André). *Le Maître de pension*. Pp. 300. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 540).

CEP (Jan). *O Lidsky Svet*. Rozhlasové Uvahy. Str. 163. (Nakl. Krestanska Akademie studijni ustav Cirilometodejské ligy akademické, Rzym, 1953).

GHELDERODE (de Michel). *Théâtre*. III. La pie sur le gibet — Pantagléize — D'un diable qui prêcha merveilles — Sortie de l'acteur — L'école des buffons. Pp. 332. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 575).

JOUHANDEAU (Marcel). *Mémorial IV. Apprentis et garçons*. Pp. 162 (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 350).

GUARESCHI (Jan). *Mały świat Don Camilla*. Przekład Jana Bielatowicza. Str. 197. (Nakl. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, cena 15 sh.).

SZKICE I ESSEJE

CAMUS (Albert). *Actuelles II*. Chroniques. 1948-1953. Pp. 182. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 340).

TOYNBEE (Arnold J.). *Guerre et civilisation*. Traduit de l'anglais par Albert Colnat. Pp. 257. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 450).

PICON (Gaëtan). *L'écrivain et son ombre*. Introduction à une esthétique de la littérature. Pp. 316. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 625).

HISTORIA

CHESTERTON (G. K.). *Krótką historia Anglii*. Przel. z angiels. Adam Doboszyński. Str. 217. (Nakl. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953, cena 15 sh.).

BRION (Marcel). *Histoire de l'Égypte*. Pp. 485. (Ed. Arthème Fayard, Paris, 1954, frs 900).

POEZJE

ROBIN (Armand). *La fausse parole*. Pp. 62. (Ed. de Minuit, Paris, 1953).

SMIEJA (Florian). *Czuwanie u drzwi*. Poezje. Str. 44. (Nakl. Polskiego T-wa Literackiego, Londyn, 1953).

RILKE (R.-M.), HOFMANN-STRAHL (H. von), DAUTHENDEY (M.). *Wibir poezij*. Przel. na język ukraiński M. Orest. Str. 95. (Augsburg, 1953).

SŁOWACKI (Juliusz). *In Switzerland*. Translated into English verse by Kenneth Mackenzie. Str. 32. (Nakl. Eyre and Spottiswoode for the Association of Polish Writers, W. Brytania, listopad 1953, cena 3 sh. 6d.).

KANGRO (Bernard). *Flucht und Bleibe*. Deutsch von Hermann Stock. Str. 96. (Nakl. Eesti Kirjanike Kooperativ, Lund, 1954).

RÓŻNE

GOMULICKI (Wiktor). *Wspomnienia niebieskiego mundurka*. Str. 233. Ilustracje K. Górskiego. (Nakl. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953, cena 15 sh.).

Annuaire de l'Institut de Philologie et d'Histoire Orientales et Slaves. Tome XII (1952). Mélanges Henri Grégoire. Pp. 686. (Ed. Université Libre de Bruxelles, Secrétariat des Editions de l'Institut, Bruxelles, 1953, prix: 600 fr. b.).

Ricerca Slavistica. Vol. II. 1953. Str. 222. (Wyd. Gherardo Casini, Rzym, 1953, 1.500 lir.).

Das ukrainische Lwiw. Lemberg. Bearbeitet und herausgegeben von dr. Gregor. Prokoptshuk. Str. 96. Nakl. Verlag Ukraine, Monachium, 1953.).

SOROKA (Wacław). *Stronniectwa i ich przeciwnicy*. Str. 14. (Odbitka z „Jutra Polski”, Londyn, 1953).

WANDYCZ (Damian S.). *Zapomniane list Piłsudskiego do Masaryka*. Str. 21. (Nakl. Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Londyn, 1953).

ARAGON. *L'homme communiste*, II. 1953. Pp. 334. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 550).

BOCHENSKI I. M. (O. P.). *Szkiecy etyczne*. Zebrał i ułożył Adam Bocheński. Str. 210 (Nakl. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953, cena 15 sh.).

PIEPER (J.) et RASKOP (H.). *Je crois en Dieu*. Pp. 165. (Ed. Desclée de Brouwer, Paris, 1953).

BERSANO BEGEY (Marina). *Storia della Letteratura Polacca*. Str. 275. (Casa editrice „Academia”, Milano, 1953).

SŌEUR GENEVIEVE GALLOIS, O.S.B. *La vie du petit Saint Placide*. Préface de Marcelle Auclair. Pp. 226. (Ed. Desclée de Brouwer, Paris, 1953).

La mort et l'au-delà. Cahiers de La Pierre-qui-vire. Pp. 186. (Ed. Desclée de Brouwer, Paris, 1954).

CZAPSKA (Maria). *Milosierdzie na miarę kłesk*. Rysunki Józefa Czapskiego. Str. 120. (Nakl. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1954, cena 12 sh. 6 d.).

GUILLOUX (Louis). *La maison du peuple suivi de Compagnons*. Avant-Propos d'Albert Camus. Pp. 224. (Ed. Grasset, Paris 1953, frs 375).

HOFFMAN (J.). *Ukraińskie Wolyńskie na emigracji*. Str. 8. Przekład z Tek Historycznych, T. VI., Nr 1-2, 1953.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. Hostowca („Kultura” nr 77) porusza jedną kwestię o charakterze zasadniczym: czy i kiedy dokumenty historyczne, zawierające rzeczy poufne i sądy o ludziach, mogą być ogłaszane drukiem?

Wydaje mi się, że nasza epoka nie nadaje się do przesadnych rygorów w tej dziedzinie. Dokumenty najtajniejsze niemieckie i włoskie wystawione są dziś w całej ich jaskrawości na światło dnia. Francuzi ujawnili najbardziej drażliwe momenty, przekonaniowie i personalne, związane z kryzysem ich kraju w ostatniej wojnie. W Ameryce badanie agentur bolszewickich z niedawnej przeszłości jest w pełnym toku, a postać tak wybitna, jak prezydenta Roosevelta poddana została pod skalpel publicznej i personalnej krytyki — pomimo że żyje jego żona, jego dzieci i wnuki.

Oczywiście, zawsze jest lepiej zachować pewien odskok czasu. Wydaje mi się znowu, że lat 35 jest terminem dość przyzwoitym i uwzględniającym personalno-polityczne drażliwości. „Dziennik Misji Paryskiej” ogłosiłem właśnie po tym okresie czasu, zawierającym więcej niż przeciętną życia jednego pokolenia. Dodaje, że ogłosiłem go jako dokument; nie „przygotowałem go do druku”, jak mylnie podaje p. Hostowiec, lecz ogłosiłem jako pierwotny tekst sprzed 35 lat, opatrując go jedynie objaśniającymi przypisami. Nie skreśliłem momentów drażliwych — ani polskich, na przykład dotyczących masonerii, ani obcych; gdybym je skreślił, pomniejszyłbym wagę dokumentu.

Najchętniej ograniczyłbym moją odpowiedź do tej kwestii zasadniczej. Niestety, p. Hostowiec porusza przy tej sposobności pewne szczegóły polityczne i obawiam się, że sposób ich poruszenia może wywołać nieporozumienia.

Stosunek mój, czy czynników z którymi byłem wówczas związany do Litwy — stosunek stałej i głębokiej przyjaźni politycznej i politycznej solidarności — nie ma nic wspólnego ze stosunkiem do Taryby, która była tworem i agenturą niemiecką. Niestety, związane z tą instytucją i jej ludźmi kwestie drażliwe, między innymi pieniężne, nie dają się przemilczeć. Ostry mój sąd o tych ludziach oparty był na znanych nam wówczas faktach. Jeśli zaś chodzi o stosunek mój dzisiejszy do przeszłości polsko-litewskiej, to żałuję, że istniały błędy i niewłaściwe działania Polaków w stosunku do Litwy; niemniej żałuję, że istniało po stronie niektórych czynników litewskich usposobienie, pochodzące w dużej mierze z infiltracji rosyjskiej przed 1914, a niemieckiej z czasów wojny. Jeżeli mamy tę kartę historyczną zamknąć, winniśmy wiedzieć błędy i niedociągnięcia obu stron, a nie tylko jednej — polskiej.

Podobnie, moja wzmianka o żydowskim udziale w Tarybie i jej delegacji nie dotyczy stosunku do Żydów; nie mówiąc już o tym, że pisałem mój dziennik w 1919, więc nie stosowałem się on w niczym do tragedii żydowskiej z lat ostatniej wojny. Jeżeli jednak rozpatrywać obiektywnie kwestię wzajemnego stosunku Polaków i Żydów w przeszłości, przed pierwszą wojną światową, to nie podobna zamknąć oczu na fakt istnienia na ziemiach polskich pewnej liczby Żydów rosyjskich — tzw. Litwaków — których stosunek do Polski i do Polaków był nie tylko wrogi, ale przewrotny. Zarówno

Żydzi jak Polacy winni dojrzeć do tego, aby tę przeszłość móc badać bezstronnie.

Ponieważ zaś p. Hostowiec czyni mi ten zaszczyt, że w jednym ustępie swego listu wiąże moje nazwisko z imieniem Józefa Piłsudskiego — wówczas dopiero co wróconego z więzienia pruskiego w Magdeburgu — więc w tej ostatniej sprawie, żydowskiej, przytoczę epizod, głęboko zapisany w mej pamięci. Gdy w intymnym przyjaciół gronie, na kilka lat przed wielką wojną, rozmowa zeszła na Żydów i na ich drażliwość w stosunku do każdej polskiej krytyki, Piłsudski powiedział: „mówię czasem bardzo brzydkimi i dotkliwymi wyrazami o Polakach, czyż ma mi być wzbronionem krytykować Żydów?”

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Michał SOKOLNICKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście moim z 25. 11. 1953 r. zaszła pewna niedokładność, która może skrzywdzić p. ppłka Ślabickiego. Otóż pisałem, że „Ks. Dr Starostka zaprotestował publicznie przeciw sadyzmowi dowódcy”. Z kontekstu wyglądać może jakoby miał na myśli p. ppłka Ślabickiego, który był wyznaczony do zorganizowania obozu, który jednak podzielał poglądy ks. Starostki.

Protest ks. Starostki odnosił się do dowódcy nie obozu, lecz plutonu wartowniczego i komendanta więzienia, p. kpt. Korkiewicza, co niniejszym prostuję.

Łączę wyrazy szacunku,

Józef GAWLINA, Arcybiskup.

Londyn, dnia 3 marca 1954.

Szanowny Panie Redaktorze,

W sprawie obozu dyscyplinarnego, istniejącego w Szkocji 1940-1941, i poruszonej na łamach „Kultury” (nr 11/73 i nast.), „Syreny” i „Dziennika Polskiego”, jako ówczesny dowódca oddziałów i obozów W.P. w Szkocji a następnie I. Korpusu wyjaśniam co następuje:

Oboz powstał na podstawie zarządzenia władz centralnych z 13 września 1940, w czasie gdy nie było jeszcze umowy polsko-brytyjskiej w sprawie polskiego sądownictwa wojskowego i wykonywania jego wyroków. Miał służyć jako areszt centralny, do którego miano odsyłać skazanych przez sądy czy dyscyplinarnie na kary więzienia czy aresztu, czy wreszcieodejrzanych przeciw którym toczyło się dochodzenie a areszt był wymagany. Obóz był najpierw w miejscowości Kingledors (Lanarkshire) pod namiotami. Dwukrotnie wizytował obóz zastępca dowódcy korpusu gen. Zajac.

W Kingledors zaszedł (29 października) tragiczny wypadek zastrzeżenia więźnia, Edwarda Jakubowskiego, przez wartownika, kaprała żandarmerii M. Przybylskiego, który po dochodzeniu sądowym został zwolniony od odpowiedzialności. Dochodzenie ustaliło, że użył broni w wykonaniu obowiązku służbowego.

Obóz został przeniesiony 23 listopada do Shinafoot koło Auchterarder, do budynków. W końcu grudnia doszły dowództwo Korpusu wiadomości o kilkakrotnym pobiciu więźniów przez profosa, chorążego Edwarda Bogackiego. Żandarmeria stwierdziła 9 wypadków znęcania się. Dnia 7 stycznia 1941 dowódca Korpusu zarządził usunięcie Bogackiego i wojenne postępowanie karne. Wyrok 11-go Sądu polowego 4 listopada tegoż roku skazał go na 9 miesięcy więzienia i degradację do stopnia szeregowca.

W dniach 11 i 12 lutego zaszły nowe wypadki pobicia kilku aresztantów i karania „stupkiem” w związku z próbą zbiorowej ucieczki i demolowaniem pomieszczeń. Dowódca korpusu, a także bezpośrednio Wódz Naczelny, zarządzili kilkakrotnie inspekcje obozu, przy czym delegowani wyżsi oficerowie rozmawiali z więźniami w cztery oczy, żaden jednak nie przyznał się, by się nad nim znęcano. Gdy jednak doszły wiadomości ze szpitala Dupplin Castle o relacjach chorych z Shinafoot i przesłuchaniem ich ustalono fakty, dowódca korpusu zarządził 19 marca wojenne postępowanie karne przeciw podejrzanym o te nowe nadużycia, przeprowadzono zmiany w obsadzie, obóz przesunięto do Abernethy, w pobliżu dowództwa. Odtąd nie było już zająć ani nadużyć. Gdy Wódz Naczelny, głęboko tymi wypadkami poruszony, odbył za bytności w Szkocji inspekcję obozu i odprawivszy wszystkich oficerów sam rozmawiał z więźniami, nie było skarg. Zdecydował się wtedy znieść zupełnie obóz, w którym pozostawało już tylko kilku więźniów istniał już wówczas oddział polski brytyjskiego więzienia w Coatdyke. General zarządził przedterminowe zwolnienie więźniów będących wtedy w obozie.

Jak z powyższego wynika, obóz dyscyplinarny powstał z zarządzenia władz, nie miał być niczym innym jak aresztem. Wypadki znęcania się były nadużyciem ze strony kadry; w stwierdzonych wypadkach takich nadużyć władze wojskowe wkraczały, usuwały winnych i wdrażały postępowanie sądowe.

Z poważaniem,

M. KUKIEL, gen. dyw.

Dnia 26 listopada 1953.

Szanowny Panie Redaktorze :

Pan Maciej Feldhuzen w swym bardzo interesującym i dobrze napisanym artykule pt. „Rubens miał filię w Szkocji” (Nr 11/73) wydał wyrok potępiający na Wojsko Polskie jako instytucję. Wojsko, zdaniem p. Feldhuzena musi pachyć charaktery gdyż jest w nim „system oparty na dwóch monstrualnych absurdach, na specjalnie zorganizowanym braku odpowiedzialności i na tak zwanej drodze służbowej, która wymaga, aby ze skargą na swego prześladowcę petent zgłaszał się do raportu wprost do tegoż prześladowcy”...

„Absurdy” p. Feldhuzena są rzeczywiście tak „monstrualne” że — moim zdaniem wymagają omówienia. Nie chcę w swym liście bronić stonków w Wojsku Polskim poza granicami Kraju. Były one rzeczywiście bardzo niewesołe. Nie chcę również bronić wojska jako instytucji a pragnę jedynie udowodnić, że swe częściowo słuszne wnioski p. Feldhuzen podparł fałszywymi i krzywdzącymi Wojsko Polskie argumentami.

Zacznijmy od „tak zwanej drogi służbowej”. Pan Feldhuzen jest w błędzie, że droga służbowa wymaga aby pokrzywdzony musiał się zgłaszać ze skargą na swego prześladowcę wprost do tegoż prześladowcy. Wręcz przeciwnie. Oto co mówi na ten temat Regulamin Służby Wewnętrznej W. P. „Skład Osobowy Siły Zbrojnej i przepisy o zależności”, rozdział F. pt 44 : „O ile zażalenie jest skierowane przeciwko przełożonemu, przez którego prowadzi droga służbowa, bezpośrednio niższy od niego podwładny omija go, a zażalenie skierowuje wprost do przełożonego wyższego...”

O ILE ZAŻALENIE JEST SKIEROWANE PRZECIWKO BEZPOŚREDNIEMU PRZEŁOŻONEMU, NALEŻY GO OMINĄĆ, WNOSZĄC ZAŻALENIE WPROST DO NASTĘPNEGO PRZEŁOŻONEGO...

Wobec tego co mówi regulamin zgłaszanie się do raportu z zażaleniem do swego prześladowcy byłoby przekroczeniem przepisów wojskowych. Oso-

biście nigdy nie słyszałem aby ktoś przekroczył ten właśnie punkt Regulaminu. Punkt 45 tegoż regulaminu dalej mówi, że szeregowi niezawodowi składają zażalenie przy pomocy pośrednika, którym zwykle jest oficer (znający z obowiązku Regulamin). Postanowienie punktu 45 bodaj uniemożliwia w wypadku szeregowych przekroczenie punktu 44 Reg.

Myli się dalej p. Feldhuzen, że system wojskowy opiera się na „specjalnie zorganizowanym braku odpowiedzialności. Wręcz przeciwnie. Wojsko Polskie opierało się na specjalnie zorganizowanej odpowiedzialności. I znowu można przytoczyć na potwierdzenie tego chociażby tylko wyżej cytowany Regulamin a zwłaszcza jego punkty : 2. Stanowisko oficera, 18. Troska o dobro państwa, 30. Działalność na własną odpowiedzialność itp.

Oficer czy szeregowy przekraczający prawo czy przepisy wojskowe był zwykle pociągany do odpowiedzialności dyscyplinarnej (Reg. St. Wew. „Przepisy Dyscyplinarne”) lub sądowej. Przykładem tegoż jest chociażby los jaki spotkał „Lagerfuera Korkiewicza” i towarzyszy z opowiadania p. Feldhuzena. W tym wypadku ubolewać jedynie należy, że odpowiedzialność nie sięgnęła gen. Kukieła, który nie wykazał zbytniego zainteresowania swymi nielegalnymi w tym czasie oddziałami i że trzeba było interwencji p. Feldhuzena aby zlikwidować zło do którego zaistnienia nie powinien był dopuścić.

Odpowiedzialność więc w Wojsku Polskim była zorganizowana, a że działo się pomimo to czasami źle to dlatego, że ramy określone przepisami i regulaminami wypełnili nieodpowiedni ludzie, którzy przepisy i regulaminy a często i poczucie honoru i przyzwoitości poświęcali dla celów egoistycznych.

Nie wydaje mi się aby wymienieni przez p. Feldhuzena pp. Strumph, Borkowski czy Śniński zmanierowali się dopiero w wojsku. Raczej przypuszczam, że istniejące ich cechy charakteru uwidoczniły się jedynie silniej gdy przywdziali mundury oficerskie. Prawdziwych charakterów nie zdołały złamać ani nawet spacyfikować ciężkie lata rosyjskich łagrów, niewoli niemieckiej czy okupacji.

Wojsko jest częścią społeczeństwa, wywodzi się z tego społeczeństwa i nie może być dużo lepsze ani dużo gorsze od tegoż społeczeństwa. Innymi słowy takie wojsko jakie społeczeństwo. Natomiast, nie trzeba zapominać, że te ujemne cechy jednostek, na które nie zwraca się większej uwagi w społeczeństwie cywilnym, uwidaczniają się więcej w odzianym w mundur wojsku.

Poziom Wojska Polskiego — musimy to sobie nareszcie otwarcie powiedzieć — był bardzo obniżany przez oficerów, którzy jak np. wymieniony przez p. Feldhuzena pułkownik Sikorski pisali jedynie po rosyjsku, a o ile po polsku pisać i mówić się nauczyli to nigdy nie stracili mentalności i moralności wachmistrzów czy rotmistrzów kawalerii rosyjskiej. Dlaczego pomimo to do tej pory, po prawie trzydziestu latach istnienia odrodzonego Wojska Polskiego (licząc do demobilizacji) ludzie wyszkoleni w Moskwie carskiej (nie odmawiając niektórym z nich pewnych zasług i dzielności) a nie oficerowie wychowani i wyszkoleni w Polsce niepodległej stoją na jego czele pozostaje dla mnie zagadką. Zagadką tym większą, że staramy się przecież tu na emigracji uwypuklić nasz związek z Zachodem a nie ze Wschodem. Tym bardziej jest to przykre, że tam za żelazną kurtyną dowodzą Polakami również wychowankowie Moskwy, innej tylko w kolorze od tamtej carskiej.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

W. M. DRZEWIENIECKI, U. S. A.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W swym świetnie napisanym artykule „Czerwone drzewa i polski las” p. Juliusz Mieroszewski obala szereg uprzedzeń, powodujących oddalenie się emigracji od kraju.

Nie mogę się wszakże powstrzymać od uwagi, że artykuł zyskałby wiele, gdyby jego autor podał jasną ocenę zasadniczych cech sytuacji, panującej w Polsce. Co prawda p. Mieroszewski pisze (na stronie 4), że w Polsce nastąpiło zderzenie cywilizacji zachodniej z komunizmem, a następnie stwierdza, że chrześcijaństwo i wolność reprezentują cywilizację zachodnią a materializm oraz dyktatura partii i doktryny reprezentuje komunizm.

Ale z drugiej strony upatrywanie w chrześcijaństwie jednego z dwu najbardziej reprezentatywnych elementów cywilizacji zachodniej napotyka na krytykę samego autora, który na poprzedniej stronie stwierdza, że: być tylko katolikiem, to tyle co: nie wiele mieć wspólnego z Zachodem. Wobec tego, że prawosławie nie reprezentuje chyba „zachodniości” a protestantyzm nie jest głównym reprezentantem chrześcijaństwa w Polsce, czytelnik na dwu kolejnych stronach artykułu wyczytuje dwie sprzeczne opinie o stosunku między chrześcijaństwem a Zachodem.

Poza tym za jedno z kryteriów „zachodniości” p. Mieroszewski uważa uprzemysłowienie, konsekwentnie powinien więc przyznać, że komunizm, przeprowadzając proces uprzemysłowienia Polski, reprezentuje częściowo ową „zachodniość”.

Ujęcie istoty cywilizacji zachodniej czy „zachodniości” wymaga odpowiedzi na co najmniej dwa następujące pytania: czy chrześcijaństwo reprezentuje istotę cywilizacji zachodniej, czy jest tylko jej ubocznym przejawem? czy uprzemysłowienie to drugorzędna czy istotna cecha cywilizacji zachodniej? Gdyby autor artykułu miał jedną, zdecydowaną odpowiedź na te pytania, wiele niejasności nie wkradłoby się do artykułu.

Dorzuć wreszcie wątpliwość, czy rzeczywiście p. Mieroszewski potrafi obronić swą tezę, że w starciu dwóch cywilizacji materializm stoi tylko po komunistycznej stronie bariery.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

S. W. SZABŁOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W 1/75-2/76 numerze „Kultury” Juliusz Mieroszewski stwierdził: „zachodnia technologia z chrześcijaństwem nie ma nic wspólnego”.

Wszystko w cywilizacji zachodniej — uważa Mieroszewski — wywodzi się z chrześcijaństwa, z wyjątkiem technologii. Dziwny jest ten wyjątek. Dziwne też jest, dlaczego inne cywilizacje (np. grecko-rzymska, indyjska, chińska) nie doszły do podobnych osiągnięć technicznych. Nie brakło na to czasu starszym od naszej cywilizacji Wschodu, a jeśli rzeczywiście Pitagoras i Hipokrates są ojcami nowoczesnej techniki i medycyny, trudno zrozumieć, dlaczego doczekali się potomstwa dopiero w naszej cywilizacji.

U podstaw wszystkich osiągnięć technicznych zachodniej cywilizacji można zobaczyć pewne akty wiary, z których najważniejsze chyba są następujące:

1. Wiara w wartość bezinteresownego wysiłku, w to, że są rzeczy, które warto robić bez względu na cel i wynik pracy, bez rachuby na doczesną zapłatę. Jest truizmem twierdzenie, że wszystkie najpraktyczniejsze wynalazki techniczne stały się możliwe jedynie dzięki zupełnie bezinteresownym, czysto teoretycznym dociekaniom.

2. Wiara w wartość czynu. Chrześcijaństwo wprawdzie, podobnie jak wszystkie wielkie religie, daje prymat kontemplacji nad akcją, nie ma w nim jednak między nimi przepaści, droga Marty jest tylko trochę gorsza od drogi Marii. Warto zestawić tu czynny ideał miłości chrześcijańskiej z hinduską „a-himsą” (nieczynienie zła).

3. Wiara w wartość pokory. Czy pokora uczonego wobec tajemnic natury, jego ascetyczny obiektywizm, jego nieufność wobec wszelkiego wartościowania („nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni”) — nie dadzą się wyprowadzić z chrześcijańskiego ideału pokory?

Nie twierdź, by bezinteresowność, czynna miłość i pokora były wyłącznym wynalazkiem chrześcijaństwa. Ale w takim właśnie zespole, tak silnie i tak powszechnie nie występują nigdzie indziej.

Nie mniej wątpliwości nasuwa dalsze twierdzenie Mieroszewskiego, że „zniesienie niewolnictwa, demokracja, tolerancja religijna, wspaniały rozwój nauk humanistycznych, literatury i sztuki — to wszystko dokonało się w „po-chrześcijańskiej” fazie naszej cywilizacji”.

Niewolnictwo zostało zniesione z chwilą, gdy pierwszy niewolnik stał się chrześcijaninem. Bo wtedy w własnych oczach przestał być rzeczą. Zupełnie zniesione zostało z chwilą, gdy pan niewolnika przyjął chrześcijaństwo. To że w XIX wieku zniesiono ostatecznie „niewolnictwo” jako pojęcie prawne, zastępując je ekonomicznym pojęciem „siły roboczej”, nie ma istotnego znaczenia.

Jeśli demokracją nazywać pewien stosowany dzisiaj system wmawiania rządzonemu, że rządzi się sami — zgoda. Warto odświeżyć sobie, co na ten temat ma do powiedzenia Chesterton w „Short History of England”, której polski przekład wyszedł przed kilku tygodniami. Dość porównać średniowieczne cechy z dzisiejszymi związkami zawodowymi, by się znów tak bardzo współczesną demokracją nie szczyścić.

Chrześcijaństwo (nie chrześcijaństwo) mają rzeczywiście na sumieniu sporo grzechów przeciw tolerancji. Potępiając je najkategoryczniej mogę jednak zrozumieć, że więziono i mordowano ludzi, którzy głosili „błędne” poglądy w tak zasadniczych sprawach jak interpretacja Objawienia, nigdy natomiast nie pojmę, że można tyle zapалу wkładać w obronę (przy pomocy gilotyn i komór, więzień i łagrów) ideologii, których ważność kończy się dla każdego ich wyznawcy w chwili jego śmierci.

Jeśli za Toynbee'm za słup graniczny między erą chrześcijańską a „po-chrześcijańską” przyjąć koniec wieku XVII, uderzyć musi to, że w 250 latach przed tym słupem powstało i więcej, i większych arcydzieł sztuki, niż w 250 latach po nim, oraz — co może jeszcze ważniejsze — że tyle arcydzieł ostatniego ćwierćtysiąclecia mimo wszystko wyszło z bezpośredniej chrześcijańskiej inspiracji (Goethe, Mickiewicz, Dostojewski, Tolstoj — by wymienić kilka największych nazwisk, z literatury tylko).

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego poważania.

Michał SAMBOR

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Zajmując się historią uniwersytetów emigracyjnych w Europie (*), z niemalym zdziwieniem przeczytałem w „Kulturze” Nr 1-2, 1954, str. 125, w artykule p. Wojciecha Zaleskiego pt. „Uwagi i wnioski w sprawie

(*) Por. „Slavic and Baltic Universities in Exile”, Winnipeg 1949; „Hochschulen in Exil”, Bulletin of Can. Society G. R., Winnipeg, 1953, i inne.

Kolegium Wolnej Europy" o tym, że „idea wyższej uczelni dla uchodźców z żelaznej kurtyny zrodziła się w pierwszych latach po wojnie. Trzeba tu przypomnieć zarówno pierwsze próby w Niemczech (Uniwersytet U.N.R.R.A., Uniwersytet Bałtycki, Uniwersytet Ukraiński), jak i inicjatywę „Kultury” podjętą przez Kongres Wolności Kultury w Berlinie i Brukseli 1950 r.”

Mimo że jestem pełen uznania i szacunku do inicjatywy i kreacji uniwersytetów uchodźczych po drugiej wojnie światowej, to niemniej jednak muszę stwierdzić, że ta idea zrodziła się o wiele wcześniej i znalazła swą realizację jeszcze przed drugą wielką wojną. Mam tutaj na myśli Wolną Wszechnicę Ukraińską (Ukraiński Wyższy Uniwersytet) założony w roku 1921 we Wiedniu, przeniesiony w roku 1922 do Pragi (czeskiej), a w roku 1945 do Monachium. Właśnie kiedy U.N.R.R.A., Bałtowie i inne grupy uchodźcze poczyniły organizowanie swoich uniwersytetów na wygnaniu wspomniany uniwersytet ukraiński obchodził ćwierć stulecie swego istnienia i owocnej pracy. Nic więc dziwnego, że Ukraińcy mogą się słusznie szczycić twierdzeniem: *our university... has realized for the first time in the history of European culture the idea of free university teaching, thus giving impetus to other free universities, such as, for instance, the Baltic University in Hamburg, and the Free German University in Berlin* (cytat z mowy Rektora Prof. dra I. Mirczuka, 1948).

Uniwersytet ukraiński w Monachium istnieje po dziś dzień, choć po szumnych uniwersytetach U.N.R.R.A. i innych, nie ma żadnego śladu. Tym bardziej trzeba się dziwić, że profesorowie ukraińscy nie zostali — o ile mi wiadomo — zaproszeni do współpracy w „Kolegium Wolnej Europy” koło Strassburga. Jeśli kolegium to ma pójść śladami uniwersytetów U.N.R.R.A., bałtyckiego i innych, to może „nie ma w tym niczego złego co by na dobre nie wyszło” przynajmniej dla opinii członków ukraińskiej Alma Mater na obczyźnie.

Z wyrazami głębokiego szacunku,

Jarosław B. RUDNYCKYJ, Winnipeg.



Szanowny Panie Redaktorze,

W czytanej obecnie książce generała H. H. Arnold'a, dowódcy lotnictwa U.S.A. pt. „Global Mission” znalazłem bardzo ciekawe, może niebyle znane, podkreślenie metod Stalina, rozstrzeliwania oficerów-jedaków.

Na konferencji w Teheranie, kiedy rozmawiano jak postępować z Niemcami po wojnie (str. 466) „Stalin rzucił jak grom z jasnego nieba: „Ja wiem, że zastrzelę 60.000 niemieckich oficerów!” Po czym Churchill powstał, cygaro w ręku i szybko chodząc tam i z powrotem poprzez pokój mówił, że to nie może się stać, to nie jest po chrześcijańsku, my jesteśmy ludzie cywilizowani, to jest przeciw prawu cywilizowanej wojny zastrzelenie 60.000 oficerów! Tam i z powrotem maszerował Churchill, kiedy Stalin siedział przy stole nie mówiąc ani słowa. Ostatecznie, Churchill wrócił na swoje miejsce i kiedy wszystko się uspokoiło, Stalin jeszcze raz, przez swego tłumacza, powiedział: „Ja wiem, że 60.000 niemieckich oficerów jestem gotów zastrzelić, kiedy wojna będzie skończona!”

Sądzę, że jest to bardzo à propos Kozielska-Katynia.

Łączę wyrazy szacunku

S. ZOCHOWSKI

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Juliusz MIEROSZEWSKI évoque dans son essai sur *L'Allemagne* sa propre enfance sous le charme de la langue allemande, de livres allemands. Mais la politique allemande a le don de transformer ceux qui subissent ce charme en spécialistes de la lutte contre l'Allemagne. Mieroszewski entreprend un plaidoyer amical, en tâchant de démontrer aux Allemands combien ils auraient à gagner s'ils réussissaient à vaincre leur nationalisme étroit.

Le texte de Georges BERNANOS sur *Le Frère Martin* devient d'une actualité poignante dans une heure en laquelle tant de catholiques doivent accepter « la souffrance par l'Eglise », s'ils veulent éviter le désespoir de la révolte.

Paweł HOSTOWIEC nous donne une série de notes où l'érudition est toujours dirigée par un humanisme très personnel : elles ont toutes trait à l'art de l'écrivain, romancier ou poète.

Le poète et romancier Jozef WITTLIN a commencé à traduire *l'Odyssée* il y a 40 ans. Cette traduction lui valut le prix du PEN Club en 1953. Mais voilà qu'il se remet à l'ouvrage, en tissant à nouveau, comme Pénélope, les mots polonais qui pourraient donner l'équivalent des chants d'Homère. « Kultura » publie pour la première fois deux longs passages de cette nouvelle traduction. Et Wittlin y joint un essai, *Pro domo mea*, dans lequel il évoque sa longue intimité avec *l'Odyssée*.

Jan ULATOWSKI nous parle de l'œuvre solitaire et de la personnalité attachante de Constant Brandel, le peintre polonais qui habite la Butte Montmartre depuis de longues années.

Karol ZBYSZEWSKI est un écrivain satirique d'un esprit mordant. Il construit une théorie cynique de renommée littéraire qui selon lui ne serait qu'une conséquence de la puissance d'un pays. Le Mississipi, la Volga — voilà des fleuves importants! L'ouvrage le plus ennuyeux qui les évoque devra intéresser le lecteur dans le monde entier. Mais à quoi sert le talent, si l'on ne peut parler que de la Vistule?

Lukasz WINIARSKI termine ses *Lettres de Yougoslavie* en analysant l'affaire Djillas et toutes les contradictions intérieures que doit rencontrer la Yougoslavie sur sa route vers une évolution démocratique. L'auteur termine en affirmant que les mots de « démocratie », « liberté », « socialisme » ont repris en Yougoslavie la signification qui leur est accordée dans le monde de notre civilisation.

Le correspondant de « Kultura » à Londres analyse le livre du Dr Hubert Ripka, « A Federation of Central Europe ». Il lui semble que le livre de Ripka est d'une importance fondamentale. « Kultura » se prononce aussi sur l'accusation de « communisme » dirigée contre le Dr Ripka par le truchement d'intrigues de milieux réactionnaires émigrés, à la suite de laquelle Ripka a été convoqué devant le sous-comité Jenner du Sénat Américain. « Kultura » dit entre autres : « si l'action contre le Dr Ripka réussit à le « compromettre », ce sera le signal pour tous les

réactionnaires des autres émigrations d'Europe Centrale et Orientale, leur démontrant qu'il est possible de « liquider » les hommes politiques et les écrivains émigrés libéraux ou de gauche, en les accusant devant les Américains de sympathie envers le communisme. Le danger de tout « maccarthysme » consiste entre autres dans ce procès d'élimination politique, à la fin duquel seuls les réactionnaires les plus farouches représentent l'idéal de « l'anticommuniste ».

Les autres ne sont pas si sûrs, et il faut s'en débarrasser... »

S. ZARZEWSKI nous donne une analyse de la situation économique des Etats-Unis, en tâchant de voir si la crise annoncée entre autres par Colin Clark est inévitable. Il pense que l'Amérique peut éviter la crise en introduisant une réelle libéralisation du commerce mondial (non pas selon le plan Randall) et en créant, selon la proposition de « Foreign Affairs », une Banque Centrale Mondiale, qui serait à même de financer des investissements importants dans toutes les régions sous-développées du monde libre.

Deux livres — un en français, l'autre en allemand — ont été publiés récemment sur l'économie polonaise d'après guerre. « Kultura » analyse le « Memento Economique, la Pologne » et l'ouvrage allemand de R.P. Rochlin.

SPROSTOWANIA

W poprzednim numerze „Kultury” nie zaznaczono, na skutek przeoczenia (poza streszczeniem w języku francuskim), że „Przyczynę do biografii Rokossowskiego” oparty jest, w transkrypcji Juliana Gorkina, na osobistych wspomnieniach gen. El Campesino.

W numerze marcowym „Kultury” w wierszu Czesława Miłosza pt. „W Sabaudii”, w drugiej zwrotce przedstawione zostały wiersze. Zwrotka ta powinna brzmieć :

Jablecznik pachnie z beczek. Wapno miesza
Proboszcz łopatą przed budynkiem szkoły.
Mój syn tam biegnie ścieżką. Chłopcy niosą
Worki zebranych na zboczu kasztanów.
Jeśli zapomnę ciebie Jeruzalem
Niech, mówi prorok, uschnie mi prawica.
Podziemne drżenie wstrząsa tym co jest,
Pękają góry i łamią się lasy.
Przez to co było i przez to co będzie
Dotknięte, pada w popiół to co jest.
Czysty, gwałtowny wróć na nowo świat
I nie ustaje pamięć ni dążenie.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV*).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 2^e trimestre 1954

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Serrano 2076, Buenos Aires.	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney.	5 sh. (a.)	£A.1.7.6.	£A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekinder, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guará 139, vila Pompeia, Sao Paulo.	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV*	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar- cil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winni- peg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybata, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkow- cie” (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann- heim-Schoenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
St. Mikliczuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 2-32-92.	3 kr.	15 kr.	28 kr.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Malvin.			
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, «Gryf Publ.», 615, Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew- Oszetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali- fornia; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziwanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Bar- bara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokolowski, 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; Polish Ame- rican Book Center, 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169 171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trie- ste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru : 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. (okładka +50%)

Już jest w druku

VII. TOM

„BIBLIOTEKI KULTURY”

STEFANA KORBOŃSKIEGO

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

Spis rozdziałów:

POCZĄTKI POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO ♦ PODZIEMNA ŁĄCZNOŚĆ RADIOWA WARSZAWA-LONDYN ♦ PODZIEMNY WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI ♦ WALKA O UTRZYMANIE ŁĄCZNOŚCI ♦ KIEROWNICTWO WALKI CYWILNEJ ♦ „ŚWIT” — TAJEMNICA NACZELNEGO WODZA ♦ WALKA CYWILNA ♦ ŚMIERĆ ZIUTKA ♦ WÓDA ! WÓDA ! GORZAŁA ! ♦ ŻYDZI POD OKUPACJĄ ♦ P.P.R. — PŁATNE PACHOLKI ROSJI ! ♦ NOWI LUDZIE I PRACA ♦ JEDNOŚĆ W WALCE ♦ EMISARIUSZ SALAMANDRA ♦ UDERZENIE W ŁĄCZNOŚĆ ♦ SPOTKANIE Z MIŃCZUKIEM ♦ WSYPA W K.W.C. ♦ ZABAWA W CHOWANEGO ♦ POWSTANIE WARSZAWSKIE ♦ KONIEC OKUPACJI NIEMIECKIEJ ♦ POCZĄTKI OKUPACJI SOWIECKIEJ ♦ OSTATNIE MIESIĄCE DELEGATURY RZĄDU I R.J.N. ♦ POBYT W BEZPIECIE.

Książka zawierać będzie około 500 stron.

Cena egzemplarza 1.250 frs (dol. 3,50; sh. 25)

*Zamówienia można już nadsyłać do Redakcji „Kultury”
(1, av. Corneille, MAISONS LAFFITTE (S.-et-O.) France
oraz do Przedstawicielstw.*

Cena 180 frs.